ANATOL FRANCE

WYBÓR PISM

1.

PISMA KRYTYCZNE.

Tłómaczył Jan Sten.

Lwów 1904
Polskie Towarzystwo Nakładowe.

http://rcin.org.pl

Pisma krytyczne - całość

Anatole France

Polskie Towarzystwo Nakładowe, Lwów, 1904

Pobrano z Wikiźródeł dnia 22 września 2025

ANATOL FRANCE

WYBÓR PISM

I.

PISMA KRYTYCZNE.

Tłómaczył Jan Sten.

Lwów 1904

Polskie Towarzystwo Nakładowe.

Prócz krótkiego zbioru sześciu nowel »Clio« i kilku obrazków rozproszonych po czasopismach nie tłómaczono u nas France'a wcale. Najwytworniejszy stylista, wcielenie

geniuszu i klasycznej kultury Francyi, artysta subtelny a przekorny, myśliciel i erudyta zdumiewający — jest u nas prawie nie znany. Może dlatego, że sława jego rosła zdala od gwaru i zgiełku dnia, że twórczość jego — dobra i mądra — nie należała właściwie do żadnej z modnych nowinek...

A jednak i dawniej i dziś warto było i należało tłómaczyć France'a, właśnie dlatego, że jego sztuka, typowo francuska, a jednocześnie kosmopolityczna przez swą czystą doskonałość, jasność i klasyczne tradycye, jest nam obca, że z tylu naszych wybitnych artystów żaden go nie przypomina i nawet przypominać nie może. Przekładając France'a wzbogacamy nasz dobytek ducha.

To usprawiedliwia, dlaczego przystępujemy do wydania »Wyboru Pism«, Anatola France'a.

I nie to jedno tylko. Przekładem tym pragnę spłacić pewien dług dawny. Cierpiałem był okrutnie, źle — bardzo. Wtedy tylko poznałem, że książka może być druhem bliskim. Dla mnie była nim książka France'a. Znajdowałem ukojenie w jej filozofii wyniosłej a litościwej, w jej pięknie wytwornem, harmonijnem, nieskalanem... Dziś próbuję powtórzyć te karty w mowie polskiej. Komuś nieznanemu chciałbym też dać — przyjaciela.

Jan Sten.

BUDDYZM.

Nie myślę zupełnie, by Europa mogła uwierzyć w nirwanę; przyznaję jednak, że buddyzm — dziś już lepiej znany — ma szczególny urok dla umysłów wyzwolonych i ciekawych, że łaska Sakya-Muni'ego udziela się z łatwością sercom nieuprzedzonym. Rzecz zadziwiająca: źródło etyczne, które wytrysnęło przed rozkwitem geniuszu helleńskiego u stóp Himalajów, zachowało dotąd całą swą niewyczerpaną czystość i świeżość upajającą. Dla naszej starej cierpiącej ludzkości mędrzec z Kapilawastu jest jeszcze dziś najlepszym doradcą i najmilszym pocieszycielem.

Buddyzm prawie nie jest religią; — właściwie nie ma on swej kosmogonii, ani bogów, ani obrządków. Jest to nauka moralna najpiękniejsza ze wszystkich; światopogląd, który zgadza się z najśmielszemi dociekaniami nauki współczesnej. Bez przelania kropli krwi buddyzm ogarnął Tybet, Birmę, Nepal, Syam, Kambodżę, Annam, Chiny i Japonię. W Indyach samych utrzymał się tylko na Ceylonie, i tak jednak liczy w Azyi czterysta milionów wyznawców. Nie mniej dziwne są jego losy w Europie — w przeciągu ostatnich lat sześćdziesięciu. Pod jego to wpływem najpotężniejszy filozof współczesnych Niemiec stworzył odrazu system, któremu nie można odmówić trwałej wartości. Wiadomo powszechnie, że Schopenhauer oparł teoryę woli na podstawach filozofii buddyjskiej. Wielki mistrz pessymizmu sam do tego się przyznawał; w jego skromnej sypialni stał złoty posążek Buddy.

Rozwój gramatyki porównawczej i nauki religii

znakomicie pogłębiły naszą znajomość buddyzmu. Trzeba przyznać, że i kółko teozoficzne, którego poglądy są tak niezwykłe, przyczyniło się w ostatnich latach do rozszerzenia we Francyi i w Anglii zasad Sakya-Muni'ego. Jednocześnie na Ceylonie wielki kapłan Kościoła Południowego, Sumangala składał hołd wiedzy europejskiej. Ten starzec o twarzy z jasnego bronzu, majestatycznie okryty żółtą szatą, żując betel, czytał dzieła Herberta Spencera. Buddyzm, głoszący powszechną miłość, jest życzliwie usposobiony dla wiedzy, a do świętych swych chętnie zaliczył Sumangala Darwina i Littrè'go, gdyż na równi z ascetami dżungli mieli oni żarliwe serce, dobrą wolę i pogardę dóbr doczesnych.

Wogóle Kościół Południowy, na którego czele stoi Sumangala, jest racyonalistyczniejszy i liberalniejszy, niż Kościół Północny ze swą stolicą duchowną w Tybecie. Może być, że przy bliższem zbadaniu okaże się, iż oba wyznania są zeszpecone przez śmieszne obrządki i grube przesądy, ale w swej treści wewnętrznej buddyzm opiera się wyłącznie na mądrości, miłości i litości.

Było to pierwszego maja 1890 roku: agitacya — szczęśliwie powściągnięta — wionęła kurzem wiosennym na stolice Europy, i w powszechności swej objawiła się jako nowa potęga, z którą liczyć się trzeba, — w ten dzień pierwszego maja traf zawiódł mię do cichych sal muzeum Guimet. Tam, samotny, otoczony bożkami Azyi, w cieniu i w ciszy przebiegałem jeszcze myślą sprawy współczesne, od których nikomu nie sądzono się oderwać; rozmyślałem o twardych koniecznościach życia, o prawach pracy, o bólu

istnienia; tam to zatrzymałem się przed posągiem starożytnego mędrca, którego głosu dziś jeszcze słucha czterysta milionów ludzi. Przyznaję, porwała mię chęć, by modlić się doń, jak do bóstwa i błagać o tajemnicę dobrego życia, której napróżno szukają rządy i ludy.

I zdawało mi się, że łagodny, wiecznie młody asceta, z nogami skrzyżowanemi na legendowym lotusie, — symbolu czystości — z prawą ręką wzniesioną jak do nauczania, odpowiedział mi dwa słowa tylko: litość i rezygnacya. Cała jego historya, prawdziwa czy legendarna, ale w każdym razie tak piękna mówiła za niego:

> »Jam był syn królewski, wychowany w pałacach wspaniałych, w kwitnących ogrodach, gdzie pod bijącymi wodotryskami pawie rozpościerały na murawie centkowane wachlarze. Wysokie mury ukrywały przedemną niedole tego świata, lecz serce me ogarnął smutek, bo jedna myśl była we mnie. Gdy nałożnice moje, skąpane w wonnościach, tańczyły przy dźwiękach muzyki, w oczach mych harem przemieniał się w kostnicę, a jam mówił do siebie: »Otom jest na cmentarzu«.
>
> »Czterykroć opuściłem swe ogrody: spotkałem starca i uczułem, że ogarnia mię zgrzybiałość; spotkałem chorego i dotknęło mię jego cierpienie; spotkałem trupa, i śmierć zagościła we mnie. Spotkałem wreszcie ascetę i pojąłem, że on to posiadł spokój ducha; postanowiłem iść za jego przykładem. Pewnej nocy, gdy w pałacu wszyscy byli uśpieni,

rzuciłem ostatnie spojrzenie na żonę i dziecię me śpiące, dosiadłem konia i uciekłem w dżungle, aby rozmyślać nad niedolą ludzką, nad jej przyczynami niezliczonemi i nad sposobem jej usunięcia.

»Zapytałem o to dwóch słynnych pustelników, a ci mię objaśnili, że przez udręczenie ciała człowiek może posiąść mądrość. Przekonałem się jednak, że nie byli oni wcale mędrcami, ja sam po długim poście tak byłem wycieńczony, że pasterze z gór Gaya wołali na mój widok: »O! co za piękny pustelnik: czarny, siny, skóra na nim jak na rybie madżura«. Źrenice moje błyskały w zapadłych oczodołach, jak dwie gwiazdy odbite w głębi studni; byłem bliski zgonu, a mimo to nie zdobyłem upragnionej wiedzy. Dlatego to zaszedłszy nad brzeg jeziora Nairandżanâ, spożyłem polewkę z miodu i mleka, którą mi dała młoda dziewczyna. Wzmocniony tem, usiadłem wieczorem u stóp drzewa Boddhi i spędziłem tam noc na rozmyślaniu. Przed wschodem słońca umysł mój zakwitł, jak lotos biały i zrozumiałem, że cała niedola nasza powstaje z pożądań, które nas zwodzą co do prawdziwej natury rzeczy; gdybyśmy istotnie przejrzeli wszechświat, okazałoby się, że niema czego pragnąć, a wtedy znikłyby też wszystkie nasze cierpienia.

»Od dnia tego wytężyłem wszystkie siły, by w sobie zabić pragnienie, i pouczałem ludzi, by niszczyli je w swych sercach. Głosiłem równość i prostotę, mówiłem: »Ani włosy trefione, ani bogactwa, ani

urodzenie nie tworzą bramina. W kim jednoczy się prawda i sprawiedliwość — ten zaiste jest braminem«.

Mówiłem jeszcze: Nie bądźcie pyszni, nie bądźcie zarozumiali; bądźcie łagodni. Zduście namiętności, te wysłannice śmierci, jak słoń depce namiot trzcinowy. Wszystko, czego pożądacie, nie nasyci was, tak jak bezmiar wód oceanu nie może ugasić pragnienia. Duszę nasycicie jedynie mądrością. Nie znajcie nienawiści, ani pychy, ani obłudy. Bądźcie pobłażliwi dla niewyrozumiałych, łagodni dla gwałtownych, obojętni wszystkiemu pośród tych, którzy do wszystkiego się przywiązują. Czyńcie zawsze to, co chcielibyście, by czynili inni. Nie wyrządzajcie krzywdy żadnemu stworzeniu.

»Oto, co głosiłem bogatym i biednym w ciągu lat czterdziestu pięciu, a po ich upływie dostąpiłem błogosławionego spoczynku, którego zażywam wiecznie«.

I złocone bóstwo uśmiechnięte, z wzniesionym palcem, z otwartemi pięknemi oczami — zamilkło.

Niestety! Sakya-Muni, jeżeli istniał, jak w to wierzę, był najlepszym z ludzi. »To był święty!« zawołał pono Marco Polo, słuchając jego dziejów. Tak, był to święty mędrzec. Ale jego mądrość nie stworzona jest dla żywotnych ludów Europy, dla pokoleń tak potężnie odczuwających życie. Lek niezawodny, który on na cierpienie powszechne zaleca, nam się nie przyda. Nawołuje do wyrzeczenia — my chcemy działać; uczy niczego nie pożądać — a pożądanie jest w nas

silniejsze nad życie. Jako nagrodę wysiłków obiecuje nam nirwanę, spokój bezwzględny, — sama myśl takiego spokoju zdejmuje nas trwogą niewypowiedzianą. Nie dla nas przyszedł Sakya-Muni, nie on nas zbawi. Nie mniej jednak może być przyjacielem, doradcą dla ludzi najlepszych i najmędrszych. Tym, którzy umieją go słuchać, udziela ważnych i pięknych nauk, a chociaż nie pomaga nam w rozwiązaniu kwestyi społecznej, to balsam jego słów uleczy niejedną skrytą ranę, złagodzi niejeden ból tajemny.

Przed opuszczeniem muzeum Guimet zaszedłem do pięknej sali okrągłej, w której umieszczone są książki. Przeglądałem tam: »Historyę religij indyjskich« przez L. de Milloué, uczonego współpracownika pana Guimet, »Historyę literatury indyjskiej« przez Jana Lahora i inne jeszcze. Czytałem tam między różnemi legendami buddyjskiemi jedną zachwycającą opowieść, którą pozwolę sobie przytoczyć, nie tak, niestety, jak jest napisana, ale tak, jak ją zdołałem zapamiętać. Niezmiernie mię zajmuje, i muszę koniecznie tu ją powtórzyć.

Opowieść o nierządnicy Wasawadatta i o kupcu Upagupta.

Żyła w mieście Mathura, w Bengalu, nierządnica wielkiej piękności imieniem Wasawadatta; spotkawszy raz młodego Upaguptę, syna bogatego kupca, zapłonęła gorącą dlań miłością. Posłała do niego służebną, by mu powiedzieć, że z radością przyjmie go w swym domu. Upagupta jednak nie przyszedł. Był on niewinny, łagodny,

pełen litości; posiadał wiedzę, przestrzegał zakonu i żył według przepisów Buddy. Dlatego też wzgardził miłością tej kobiety.

Zdarzyło się, że wkrótce potem Wasawadatta popełniła zbrodnię; sędziowie skazali ją na obcięcie rąk, nóg, uszu i nosa. Zaprowadzono ją na cmentarz, gdzie wyrok spełniono. Wasawadattę pozostawiono w miejscu, gdzie poniosła karę; żyła jeszcze.

Służebnica, przywiązana do Wasawadatty, została przy niej i odpędzała muchy wachlarzem, by poćwiartowana spokojnie umrzeć mogła. Gdy spełniała te miłosierne usługi, ujrzała człowieka, który się zbliżał, nie jako ciekawy, lecz tak jak uprzejmy gość wybiera się w gościnę. W istocie, pacholę niosło parasol nad jego głową. Poznawszy młodego Upaguptę, służebna zebrała odrąbane członki swej pani i ukryła je pośpiesznie pod płaszczem. Syn kupca zbliżył się do Wasawadatty, zatrzymał się i przyglądał w milczeniu tej, której piękność niedawno w mieście błyszczała, jak perła. Tymczasem nierządnica poznała ukochanego i rzekła doń konającym głosem:

— Upagupto, Upagupto! Gdy ciało moje, ozdobione złotymi pierścieniami i przejrzystą tkaniną, było słodkie jak kwiat lotosu, napróżno oczekiwałam cię — nieszczęsna. Póki wzbudzałam pożądanie, nie przyszedłeś! Upagupto, Upagupto! czemu przychodzisz teraz, gdy ciało moje krwawiące i okaleczone przejąć może tylko wstrętem i zgrozą?

Upagupta odpowiedział z niezmierną słodyczą:

— Siostro Wasawadatto, w znikomych dniach twej

piękności czcze pozory nie uwiodły mych zmysłów. Oczami ducha widziałem cię już taką, jaką dziś jesteś. Wiedziałem, że ciało twe jest jedynie naczyniem zepsucia. Zaprawdę mówię ci siostro: dla tego, kto prawdę widzi, tyś nic nie straciła. Porzuć więc żal, nie opłakuj cieniów radości i rozkoszy, które cię opuszczają; daj zniknąć złej marze życia. Pojmij, że wszystkie uciechy ziemskie są niby odbicie księżyca w wodzie. Za wiele pożądałaś i stąd twe cierpienie, nie pożądaj już niczego, bądź łagodna dla siebie samej, a będziesz warta więcej od bogów. O! nie chciej już żyć; żyje się tylko wtedy, gdy się tego pragnie, a widzisz, siostro, że życie jest złe. Kocham cię: wierz mi, siostro Wasawadatto, ukój się i spocznij.

Nierządnica wysłuchała tych słów i uznając, że są prawdziwe, umarła bez pragnień i opuściła świętobliwie ten świat ułudny.

MISTYCYZM I WIEDZA.

Jestem tylko marzycielem i dlatego zapewne sprawy ludzkie widzę niby w półsennej medytacyi, ale czuję, że obecna pora roku — porównanie wiosenne — jest epoką pojednania i miłości i że porze tej przystoją wyrazy nadziei i wesela. I czy mam się przyznać? — wrażenie to wywołuje u mnie zwyczaj dzielenia się jajkiem wielkanocnem,

zwyczaj datujący się od zamierzchłych czasów cywilizacyi pierwotnych a do dni naszych przechowany u ludów chrześcijańskich. Ta dawna tradycya nietylko świadczy o konserwatyzmie ludzkości, ale dowodzi zarazem, że można zgodzić ze sobą wiele rzeczy takich, które początkowo do pogodzenia niemożliwemi się zdawały.

Słuchajmy, czego uczy nas kalendarz.

W tej porze wiosennej, którą przed kilkoma dniami zaledwie przekroczyliśmy, tajemnice przyrody i tajemnice religii łączą swe czarodziejstwa, duch i materya wielbią wieczystość zmartwychwstania, ołtarze i lasy zakwitają razem. Kościół głosi: *Dic nobis Maria*... »powiedz Maryo, co widziałaś na swej drodze? Widziałam całun i odzież, widziałam świadków anielskich i chwałę Zmartwychwstałego«.

I słowa te cudne wyrażają z jednaką potęgę powrót wiosny i zwycięstwo Chrystusowe, w wyrazach uniesienia i chwały łączą nieśmiertelnego Adonisa z Bogiem czasów naszych. Gdy w dymie kadzideł od ołtarza płyną słowa radosne »Powiedz Maryo, co widziałaś na swej drodze?«, ptaszki, ścielące gniazda na dzwonnicy kościelnej, świergotem swym odpowiadają: »Maryo, Maryo, na drodze swej widziałaś, jak pierwsze promyki słońca zmieszały się z deszczem wiosennym, niby uśmiech ze łzami i zamieniły się na listki i kwiaty. Światło wnikające do serc naszych, w miłość się przeistacza; to też gorliwie ścielemy gniazdka, pracowicie w dzióbkach znosimy źdźbła słomy; tak, ożywcze ciepło rozbudza miłość i pożądanie«.

Dowodzi to właśnie jedności w układzie wszechświata;

chemik Berthelot poczyna już domyślać się rzeczy, które starzy alchemicy dawno przed nim odgadli. Skąd jednak z tej jedności wyłoniła się taka rozmaitość, — to przechodzi pojęcia zarówno uczonego chemika, jak i ptasząt.

»Oto co Marya widziała na swej drodze. Widziała chwałę Zmartwychwstałego, który umiera i zmartwychwstaje rokrocznie. I długo jeszcze, gdy nas już nie stanie, odradzać się będzie — nie wiecznie jednak, bo choć jest słońcem, niemniej jest tylko iskrą zawieszoną w przestrzeni bez końca. A czemże my jesteśmy, my ptaszki? Niczem i światem zarazem — kochamy, składamy jaja, żywimy swe pisklęta, jesteśmy cząstką w życiu wszechświata. A na świecie wszystko jest potrzebne, o ile wszystko nie jest tylko próżnem złudzeniem: oba te poglądy zaś są jednako rozumne. Ale ptaszki sądzą, że są potrzebne i stosownie do tego też postępują«.

Taką oto rozmowę organów z ptakami zasłyszałem, przechodząc w pewien ranek wielkanocny przed wiejskim kościółkiem. Rozmowa ta zda mi się prawdziwie pobożna.

We wszystkich krajach i po wszystkie wieki powrót wiosny wiąże w radosnej uroczystości nadzieje mistyków z weselem przyrody. Chrześciaństwo w swych czarownych obchodach wielkanocnych nie wyzbyło się — zwłaszcza po wsiach — pozostałości pogańskich, które koło niego się wiją, jak koło kamiennego krzyża bluszcz i ciernie.

Kamil Flammarion mówił mi, że w Bassigny, jego stronach rodzinnych, chłopi dziś obchodzą powrót wiosny, tak jak za czasów Joanny d’Arc, łącząc z ceremoniami katolickiemi obchody pogańskie, pełne pogodnego

naturalizmu. Wszędzie spotkanie Maryi z mistycznym ogrodnikiem staje się jednocześnie symbolem radości ziemskiej i niebiańskiej nadziei. — *»Dic nobis Maria?* — powiedz nam Maryo, co widziałaś na swej drodze.« Te słowa liturgiczne spotkałem przed kilku dniami w miesięczniku, poświęconym literaturze i sztuce. Umieszczono je na czele jednego z artykułów krytyczno-etycznych, w których czuć było mistycyzm dorastającego pokolenia. »Maryo, co widziałaś na swej drodze« powtarzał niespokojnie Paweł Desjardins, pisząc o jednym z mistrzów[1], w którym młodzi wielkie pokładają nadzieje. Słowa jego, przepojone szczerością i szlachetnem odczuciem, zdradzały zarazem taki niepokój, że mnie poważnie zastanowiły. Słowa: *»Dic nobis Maria«* stawały się tam dewizą jakiejś niejasnej palingenezy, jakiejś religii niewyraźnej, symbolem czegoś nieokreślonego, lepszego, co się dopiero ma narodzić. Artykuł p. Desjardins, to jedno z tysiącznych znamion dzisiejszego niepokoju i rozterki ducha.

Wszystko tu jeszcze zmącone i bardzo niejasne. Ale warto iść za tym poczynającym się ruchem, śledzić go troskliwie i przychylnie, tak, jak byłem usposobiony pisząc te słowa. Starajmy się poznać, ku czemu dążą i jakiemi drogami kroczą młodzi. Niech dzielniejsi i rozumniejsi odemnie oświecają tych, co wstępują obecnie w życie duchowe i umysłowe; co do siebie, pragnę tylko odszukać drogę w tych niejasnych jeszcze nowinkach. Zrobić to muszę, gdyż piszę — a pisanie, gdy się nad tem zastanowić, jest rzeczą straszną.

Najwidoczniejsza w tem wszystkiem, że zaufanie do wiedzy, niedawno tak silne, jest przeważnie stracone. Byliśmy przekonani, że za pomocą dokładnych badań doświadczalnych, dobrze dokonanych obserwacyi stworzymy prędko racyonalizm powszechny. I prawie wierzyliśmy, że od wieku XVIII. poczyna się nowa era ludzkości — ja wierzę w to jeszcze. Trzeba jednak przyznać, że nie idzie to tak szybko, i, że sprawa nie jest tak prosta, jak nam się zdawało. Ernest Renan, nasz mistrz, który silniej od innych ufał i wierzył wiedzy, nie wyrzekając się swej wiary przyznaje, iż złudzeniem jest przypuszczać, by już dziś ludzkość wyłącznie mogła się oprzeć na racyonalizmie i doświadczeniu. Młodzież współczesna czego innego szuka. I skoro odrzuca tę wiedzę, którą uważaliśmy za objawienie najwyższe, należy poznać, dlaczego tak czyni.

Przedewszystkiem zarzuca się wiedzy, że jest niezupełna. Wiedza sama — mówią nam — nie istnieje; wy uczeni stworzyliście tylko nauki, a to jest różnica zasadnicza. I cóż to są dla was nauki? Powiększające szkła, szkła — nic więcej! Wzmacniają wasz wzrok i pozwalają wam dokładniej przyjrzeć się niektórym zjawiskom, na to zgoda!

Lecz czyż to rzecz ważna?

Zbadawszy kilka zjawisk więcej w tej przepaści złudzeń, z których świat się składa, czy poznaliście samą przyczynę rzeczy, choć jedno z tych rządzących światem praw, któreby poznać należało? I czy sądzicie, że odkrycia chemiczne i fizyologiczne odsłoniły nam choć jedną prawdę etyczną?

Wiedza wasza nie może rościć prawa, by rządzić nami, bo sama przez się obca jest moralności, a te zasady czynu, któreby z niej czerpać można, byłyby niemoralne.

Wiedza jest nieludzka, okrutna; unicestwia nas w przyrodzie, zbliża nas do zwierząt i roślin, ukazując to, co mamy wspólnego z nimi, a wspólnem nam jest wszystko: zmysły, radości, smutki, nawet myśli. Wraz z innymi tworami jesteśmy dla niej niczem na tej bryle, ziemią zwanej: głosi ona zuchwale, że losy ludzkości całej we wszechświecie nie znaczą nic.

Próżno wołamy, że w nas samych odnajduje się nieskończoność. Wiedza niewzruszenie uczy nas, że Ziemia nie jest nawet maleńką komórką w tej żyle Uranosa, którą drogą mleczną zwiemy. Wiedza każe nam rumienić się, że mogliśmy kiedyś uważać się za środek świata, za najpiękniejsze dzieło Boże, gdy w rzeczywistości krążymy około marnej gwiazdy, milion razy mniejszej, niż Syryusz.

Nasza ledwie dostrzegalna cząstka wszechświata, o ile sądzić można, jest dość nędzna: ma jedno tylko słońce, gdy wiele innych układów gwiezdnych ma ich dwa, lub nawet trzy. Słońce nasze oglądane z układów sąsiednich nie ma zapewne silnego blasku; jest czerwonawe, co dowodzi, że nie płonie już z żarem gwiazd młodych, biało świecących. Niedługo, za kilka milionów stuleci, słońce mieć już będzie tarczę przyćmioną, pokrytą dużemi czarnemi plamami i to będzie jego końcem. Ziarno piasku, które dziś ziemią się zwie, a wówczas żadnego już miana mieć nie będzie, zapadnie wraz z słońcem w noc wieczystą.

Ludzkość na długo zapewne przed tą chwilą wygaśnie.

Tymczasem uczymy się, że zmierzamy do Gwiazdozbioru Herkulesa, i że prochy nasze dotrą tam kiedyś w ciemnościach i w milczeniu. Oto, co nam wiedza o losach ludzkości odsłonić może.

Podróż tę odbywamy w towarzystwie innych planet, z których jedne, jak Wenus i Merkury, giną w blasku słońca, inne, jak Uran i Neptun — w ciemnościach przestworza. Zdaje się, że Wenus jedną tylko stroną zawsze zwrócona jest do słońca, ale przypuszczenie to nie jest pewnikiem. Jedyną planetą, której powierzchnię obserwować mogliśmy, jest Mars; łatwo rozróżnić na nim lądy, morza, obłoki i śniegi na biegunach. Flammarion nakreślił jego mapę, Schiaparelli dostrzegł na nim kanały; powstają one tam, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej i, jeśli są dziełem przemysłu rąk ludzkich, trzeba przyznać, że inżynierowie tej planety o wiele są zdolniejsi od naszych. Niewiadomo tylko, czy istotnie są to kanały; być może, że powierzchnia jest tam bardziej ruchoma i mniej trwała, niż na ziemi, i że to jest powodem ciągłych zmian i przekształceń.

Bardzo to możliwa, że Mars jest zamieszkały, lecz nie dowiemy się nigdy, jakie formy przybiera tam życie; wolno nam przypuszczać, że jest równie ciężkie, jak na ziemi; przynajmniej takie przypuszczenie będzie nam pociechą, której nam wiedza nawet nie zabierze.

A jakże wiedza obeszła się z człowiekiem? Wyzuła go z cnót, które były jego dumą i pięknością, kazała mu wierzyć, że wszystko w nim i poza nim ulega koniecznym ślepym prawom przyrody, że wolna wola jest złudzeniem, że sam on jest maszyną, nie znającą własnego mechanizmu.

Zburzyła nawet poczucie jego własnej jaźni, na czem tak piękne pokładał nadzieje; nieraz ukazała mu w człowieku dwa oddzielne a współrzędne istnienia, dwie dusze w jednej osobie.

Tak oto nasze pokolenie przeciw wiedzy się burzy i odmawia jej prawa rządzenia ludzkością. Czem zamierza ona zastąpić nauki ścisłe? Na to pytanie odpowiedzi szukać należy koniecznie.

1. ↑ Wicehrabia Eugeniusz Melchior de Voguë.

O SCEPTYCYZMIE.

Szczęśliwe chwile przeżywałem zdala od biurka. Wiodłem samotne, pełne rozmyślań życie, którego wspomnienie napawa mię jeszcze słodyczą. Ponieważ nic wtedy nie studyowałem, uczyłem się dużo. W istocie na przechadzkach właśnie robi się piękne odkrycia filozoficzne i etyczne; to zaś, co zdobywamy w laboratoryach i pracowniach, po większej części mało ma wartości; — rzecz szczególna — uczeni zawodowi są bardziej ciemni, niż większość innych ludzi.

W owym to czasie pewnego poranka błądziłem bez celu po krętych alejach »*Jardin des Plantes*« wśród owiec i sarn, które wyciągały głowy z za krzewów, prosząc o chleb.

Marzyłem właśnie, że ten stary ogród zamieszkany przez zwierzęta, przypomina nieco raj ziemski na starych sztychach. Wtem spostrzegłem zbliżającego się ku mnie księdza L., który z brewiarzem w ręku szedł wesół tą męską radością, właściwą duszom czystym. Był to rzeczywiście święty a przytem uczony człowiek, o sercu spokojnem, lecz myśli wytężonej bezustannie. Trzeba go było znać, by wiedzieć, jak połączyć można dumę kapłana z prostotą świętego. Od chwili, gdy skończył mszę, dysputował dzień cały. Cokolwiek o teologii, etyce i metafizyce napisano i oprawiono w cielęcą skórkę z czerwonymi brzeżkami — wszystko to on przewertował; nie zliczyć szpargałów, których marginesy pozasypywał uwagami swemi i tabaką. W rozmowach na ulicach i w ogrodach marnował swą wymowę, godną nieporównanego mistrza. Był dość źle widziany w konsystorzu; zwierzchnicy szanowali w nim czystość obyczajów, lecz lękali się pychy jego rozumowań. Być może, nie mylili się bardzo. Tego dnia ksiądz L. tak mówił do mnie:

»Jan Diakon wspomina, że święty Grzegorz gorzko płakał na myśl, iż cesarz Trajan został potępiony, a Bóg, któremu podobało się wysłuchać nieśmiałej prośby, uwolnił duszę Trajana od mąk wieczystych. Dusza ta pozostała w piekle, ale odtąd nie odczuwała tam bólu. Można przypuszczać, że przybrany syn Nerwy błądzi po tych mglistych łąkach, na których Dante widział bohaterów i mędrców starożytności. Spoglądali oni na siebie wolno i poważnie, mówili głosem cichym. Pielgrzym florencki poznał Anaxagorasa, Talesa, Empedoklesa, Heraklita i

Zenona. Jakże się stało, że nie widział był Pyrrona — wśród tych dusz, winnych tylko o tyle, że żyli w nieświadomości Świętego Zakonu? Ze wszystkich filozofów starożytnych Pyrron był najmędrszy. Posiadał nietylko cnoty, uświęcone przez chrześciaństwo: był nietylko skromny, cierpliwy, uległy, zamiłowany w ubóstwie, ale głosił też naukę najprawdziwszą w całej starożytności pogańskiej, jedyną, która się w zupełności zgadza z teologią chrześciańską. Urodzony w mrokach pogaństwa, poznał, że brak mu światła; i chwalić go należy za to, że przyznawał się do swej nieświadomości. Jeszcze dziś, skoro się ma to nieszczęście nie być chrześcianinem, rozum nakazuje być wyznawcą Pyrrona. Co mówię? Filozof chrześcijanin we wszystkiem, co nie jest artykułem wiary, sam jest pyrronistą: przebywa w niepewności. Samo tylko Objawienie nie podpada wątpliwościom. A warto się nawet zastanowić, czy nie chrześciaństwo właśnie dostarczyło sceptycyzmowi nowych jeszcze argumentów, czy wiara w tajemnice i w cuda nie uczyniła przyrody bardziej jeszcze niepojętą, a rozum — bardziej zawodnym«.

Ksiądz zatrzymał się na chwilę przed zagrodą zebr. Uderzył się w piersi i mówił dalej:

»Świat niewidzialny objawia mi dopiero istnienie świata widzialnego. Wierzę w rzeczywistość człowieka dlatego jedynie, że wierzę w istnienie Boga. Że żyję, wiem tylko stąd, iż Bóg mi tak powiedział. Przedwieczny mówił do mnie, *»locutus est patribus nostris, Abraham et semini ejus in saecula«*. A ja odpowiedziałem: »Oto jestem, boś Ty mię przywołał«. Po za Objawieniem w świecie ciał i w świecie

ducha wszystko jest przedmiotem zwątpienia; wszystko jest niewyraźne, a przeto też jest niezajmujące; jedynie religia świetlanemi rękami wyrywa mię z pyrrońskiej martwoty, z ataraksii. Bez miłości Boga, nie kochałbym nic; nie mógłbym wierzyć niczemu, gdybym nie wierzył w rzeczy niemożliwe i niedorzeczne. Dlatego właśnie uważam Pyrrona za najmędrszego z pogan!«

Tak mówił ksiądz L.

Pamiętam dokładnie jego słowa, wywarły na mnie bowiem głębokie wrażenie. Takich myśli nie słyszałem z ust księdza nigdy, ani przedtem ani potem. Nie mylę się może twierdząc, że Kościół nie dowierza obrońcom, którzy — tak jak ksiądz L. — umieją rozumować z logiką śmiałą i niepowszednią. Kościół przypomina sobie w porę pamiętne słowa szatana: »I jam też mistrz w logice«. Tak mówiąc, dyabeł nie chełpił się daremnie: ostatecznie jedyny to mistrz, którego nie obalono dotąd. Co do mnie przyznaję, że tam przed zagrodą zebr, słuchając księdza L., zacząłem wątpić o wielu rzeczach, które dotąd wydawały mi się godne wiary.

Niestety! ksiądz L. umarł na probostwie w małej wiosce w Brie, i spoczywa teraz na skromnym cmentarzu w cieniu wysmukłego kościoła z XIII. wieku. Na kamieniu grobowca wyryto napis, świadectwo gorącej wiary: *»Speravit anima mea«*. Czytając te słowa, myślałem o dyalogowym napisie grobowym, ułożonym dla Pyrrona przez jakiegoś dowcipnisia bizantyjskiego:

»Czyś ty zmarł Pyrronie? — Nie wiem«.

I przyszedłem do wniosku, że z wyjątkiem jednej jedynej

kwestyi, filozof i ksiądz zgadzali się w sądach.

Wszystkie te wspomnienia opadły mię chmarą, gdym czytał studyum o Pyrronie w doskonałem dziele Wiktora Brocharda o sceptykach greckich. Trudno o coś więcej zajmującego. Ci pomysłowi Grecy wynaleźli niezliczoną ilość systematów filozoficznych. Szkoły zabawiają się błyskotliwą znikomością dysput, umysły są rozstrzelone, ogłuszone; wtedy to rodzi się sceptycyzm. Zjawia się on nazajutrz po śmierci Aleksandra wśród orgii wojennej, która potwornemi zbrodniami kala klasyczną ziemię piękna i prawdy.

Nie żyją Demostenes i Hyperides. Focyon zażywa truciznę.

Niema się już nadziei znikąd, ani od ludzi ani od bogów. Wolność i starożytna cnota pogrzebane. Wprawdzie warunki polityczne narodu nie określają jeszcze osobistego stanu mieszkańców. Życie bywa niekiedy zupełnie znośne nawet wśród klęsk publicznych, ale czasy Kassandra i Demetryusza były rzeczywiście straszne. Zresztą należy pamiętać, że tyrania — nawet łagodna — wstrętną była długo duchowi Hellenów.

Pyrron był rodem z *Elis* w Elidzie; z początku malarz i poeta, posiadał żywą wyobraźnię i duszę wrażliwą. Ale z biegiem lat zmieniło się zupełnie jego usposobienie. Obrawszy zawód filozofa — a zawód to był wówczas w Grecyi na pół zakonny — wraz z mistrzem swym Anaksarchem podążył za wyprawą Aleksandra. W Indyach poznał magów, nagich pustelników, zwanych przez Greków gimnosofistami. Ich pogarda dla świata i jego czczych ułud,

ich życie samotne i jednostajne, podążanie nicości i zapomnienia, wszystkie te cechy cichego i pokornego pesymizmu zajęły młodego Pyrrona; wiele pomysłów w nauce filozofa z Elis indyjskie właśnie ma pochodzenie.

Po śmierci Aleksandra Pyrron wrócił do rodzinnego miasta. Tam na uroczych brzegach Penejosu, w kwiecistej dolinie, gdzie nimfy schodzą się co wieczór na wspólne pląsy, wiódł on żywot świętego. Żył zbożnie, tak wyraża się jego biograf, razem z siostrą swą Filistą, z zawodu akuszerką. Sam nosił drób i młode prosięta do miasta na sprzedaż; zamiatał mieszkanie i czyścił sprzęty.

Taki to przykład dawał ów mędrzec swym uczniom. Własne jego życie było świadectwem jego nauki o zaparciu się siebie i obojętności. Nauczał on, że wszystko jest jednakowo niepewne i sporne. Zrozumieć nie daje się nic. Nie powinniśmy dowierzać ani zmysłom, ani rozumowi. Należy o wszystkiem wątpić i na wszystko być obojętnym. W subtelności Pyrron się nie zapuszczał. Nauka jego, jak mówi Brochard, była przedewszystkiem regułą etyczną, prawidłem życia.

Według Pyrrona »nie mieć zdania ani o dobrem, ani o złem« — oto sposób, by uniknąć wszystkich przyczyn niepokoju. Ludzie są nieszczęśliwi przeważnie z własnej winy; cierpią albo dlatego, że pozbawieni są czegoś, co uważają za dobro, — albo dlatego, że gdy je nawet posiadają, boją się je utracić, — albo dlatego wreszcie, że zmuszeni są znosić coś, co za złe uważają. Zniweczcie wszystkie sądy: co dobre, co złe? — a znikną wszelkie niedole.

Najwyższem dobrem dla Pyrrona, tak samo jak dla Demokryta, jest dobry humor, brak trosk, spokój.

»Zamknąć się w sobie, — mówi Wiktor Brochard, — aby ile możności najmniej narazić się na nieszczęście; żyć skromnie, w pokorze, bez żadnych wymagań; być obojętnym wobec świata i znosić tę część niedoli, której nikomu nie podobna uniknąć; — oto ideał sceptyka«.

Pyrron utrzymywał, że nie przywiązuje żadnej wagi zarówno do życia, jak i do śmierci.

— Dlaczego więc nie umierasz? — pytano go.

— Dlatego właśnie, że życie i śmierć są mi zarówno obojętne — taką była jego odpowiedź.

Podczas wielkiej nawałnicy na morzu, jego jednego tylko nie przeraziła burza. Widząc podróżnych w smutku i trwodze, prosił ich spokojnym tonem, by przyjrzeli się małemu prosiakowi, który tymczasem w korycie smacznie jak zwykle zajadał.

— »Patrzcie — mówił im — jaką powinna być obojętność mędrca«.

Zgoda. Prosiak był mądry, ale niewielką miał w tem zasługę. Niewrażliwym trudno być, gdy się szybko myśli; dla większości ludzi pogoda prosięcia jest tylko odstręczającym przykładem. Pozwólcie mi powtórzyć (dla analogii) słowa, które wyrzekł pewien uczeń Lamettrie'go do pięknej mistress Elliott, arystokratki, wtrąconej do więzienia przez patryotów wersalskich. Dozorca więzienia przeznaczył młodej Szkotce za towarzysza celi starego lekarza z Ville-d'Avray, zaciekłego materyalistę i ateusza.

Lekarz płakał. Łzy spłukiwały kurz, którym pokryte były

jego policzki, i cała twarz biednego filozofa była zamorusana.

Pani Elliott wzięła gąbkę, otarła twarz swego towarzysza i jęła go pocieszać.

— Panie — mówiła — rzecz to możliwa, że zginiemy oboje. Ale czemuż pan jesteś smutny, gdym ja wesoła. Czyżbyś pan, tracąc życie, tracił więcej odemnie?

— Pani — odpowiedział lekarz — jesteś młoda, bogata, zdrowa i piękna, i tracisz wiele, tracąc życie; ale, nie będąc zdolna do zastanowienia, nie wiesz pani, co tracisz. Ja zaś jestem biedny, stary i chory; gdy mnie życia pozbawią, zabiorą mi niewiele; ale jestem filozof i fizyk; znam — czego pani nie wie — doniosłość istnienia i wiem dokładnie, co tracę. Oto, dlaczego jestem smutny, gdyś ty, Pani, wesoła.

Ten stary lekarz z Ville-d'Avray, znacznie mniej mądry od Pyrrona, daleko więcej nas wzrusza. I naprawdę jego łzy, choć nieco ślamazarne, są bardziej ludzkie, niż cnotliwa niewrażliwość mędrca z Elidy.

Przytaczają wspaniały przykład tej niewrażliwości.

Pyrron, widząc, że mistrz jego Anaksarchos wpadł do rowu, przeszedł obok niego i nie raczył mu nawet podać ręki, by go podźwignąć. Mistrz nietylko się nie użalał, ale pochwalił jeszcze obojętność swego ucznia.

Bayle, opowiadając to zdarzenie, dodaje: »Cóż bardziej zadziwiającego mógł był zrobić któryś z Trapistów?«

Brochard bardzo trafnie nazwał Pyrrona »ascetą greckim«. Rzeczywiście, tylko w żywotach świętych pustelników spotykamy podobneż wysiłki, by człowieka

wszelkiego pozbawić człowieczeństwa. Współobywatele Pyrrona w Elidzie czcili go za przykładne życie i powierzyli mu godność kapłańską. Te obowiązki swoje pełnił on sumiennie i godnie, jak człowiek szanujący bóstwa rzeczypospolitej. Tak postępując, w niczem nie sprzeniewierzał się swej filozofii: sceptycyzm nie twierdził nigdy, jakoby należało nie stosować się do panujących zwyczajów i nie wykonywać powszednich obowiązków. Nie czekając pewności, brał udział w tych wprawach. Podobnie mógł i nasz Gassendi wykładać teologię, nie wierząc w Boga — a był to przecie bardzo zacny człowiek.

CNOTA WE FRANCYI.

W Atenach, u stóp Akropolu, jest mała urocza świątynia, poświęcona Zwycięstwu. Świątynia ta na jednej ścianie ma płaskorzeźbę; na niej wyobrażona jest bogini, rozwiązująca rzemienie swych sandałów. W ten sposób oznajmia ona chęć pozostania wśród potomków Temistoklesa i Miltiadesa. Napróżno jednak bose ma nogi: skrzydlata przecież jest Nike. Już blizki dzień, gdy odleci zdala od Ateńczyków. Żaden naród, z samych choćby bohaterów złożony, nie trzymał długo w swych ramionach tej krwawej zdrajczyni. I pocóż miałaby być stałą? Wie, że z chwilą, gdy wróci, przebaczą jej. Rzeźbiarz ateński zawarł w tem

piękną allegoryę. Pragnę naśladować go i dać allegoryę prawdziwszą.

Wyobrażam sobie już nie Zwycięstwo, lecz Cnotę, siedzącą przy skromnem ognisku naszej Francyi i zrzucającą z ramion płaszcz podróżny, już jej niepotrzebny. Umieszczam w myśli tę postać na czele nowej książki Maksyma du Camp, jako symboliczną kartę tytułową. Cnota, bez wątpienia, należy do wszystkich krajów i wszystkich epok. Wszędzie jest jednakowo potrzebna; przez nią tylko narody istnieją; ale słusznie można powiedzieć, że ona kocha Francuzów, że ziemia ich jest jej umiłowaną ziemią. Cnota! długie już czasy, jak jest między nami. Nie znam narodu, w którym okazałaby tyle mocy, a zarazem tyle wdzięku. Prowadziła ojców naszych za rękę, a dziś dążymy za nią jeszcze. Tak, dziś jeszcze!... Mimo, iż wyciągano na jaw skandale, wiemy, że po za tą powierzchnią wstydu są w rzeczywistości cnoty wojenne i obywatelskie ludności uczciwej, która pracuje i dąży. Trzeba chwalić P. Maksyma du Camp, że napisał i teraz właśnie ogłosił książkę o cnocie we Francyi, książkę pełną przykładów, skromny zbiór prawdziwych opowiadań.

Wiadomo, że P. Maksym du Camp stał się od lat kilku kronikarzem współczesnego miłosierdzia. Z uczuciem głębokiem i z niesłychaną dokładnością prowadzi rachunek dobrych uczynków. Jego prace o instytucyach dobroczynnych, to wzory jasności i dokładności. Wszystko sam widział — podobno chcąc lepiej zbadać to, co miał przedstawić, przyłączał się nieraz do biedaków w przytułkach noclegowych: potężna siła ciągnie go do

wszystkich siedzib nędzy i miłosierdzia. Ta siła właśnie połączona z prawdziwym patryotyzmem, skłoniła go do napisania nowej książki »O cnocie we Francyi«.

»Bedąc małym chłopcem, — pisze on — czytałem »Moralność w czynach« i przekonałem się, że dla napisania tego tomu przewertowano roczniki wszystkich epok i wszystkich ludów. Zadałem sobie pytanie, czy nasze współczesne dzieje, t. j. od początku wieku aż do dni naszych, nie dostarczą też szeregu opowiadań, zdolnych wykazać, że nasza zbyt osławiona epoka nie ustępuje czasom minionym, czy nie byłoby możliwe zebrać w niej szeregu faktów analogicznych do tych, które oddawna wzbudzają nasz zachwyt?«

Szukał i znalazł. Po sto razy spotykał na drogach naszych dobrego Samarytanina. Podpatrzył wiele pięknych czynów nieznanych i opowiedział najpiękniejsze. Bo cnota jest wszędzie, wśród pól, na przedmieściach, po ulicach Paryża.

Pojmijmy dobrze, co znaczy cnota. To szlachetna siła życia. Cnota nie jest niewinna. Uwielbiamy świętą niewinność, ale ona nie we wszystkich wiekach i wszelkich warunkach istnieć może; nie jest przygotowana na wszelkie spotkania. Wystrzega się zasadzek, które przed nią stawia człowiek i przyroda. Niewinność lęka się wszystkiego, cnota niczego się nie boi. Ona potrafi, jeśli tego potrzeba, zanurzyć się z wzniosłym bezwstydem we wszelkie nędze, aby im ulżyć, we wszelkie występki, aby je uleczyć. Ona wie, co jest wielkiem zadaniem człowieka, i wie, że trzeba niekiedy zbrukać sobie ręce. *Inquinandae sunt manus*. W

walce czy w pokoju, zawsze jest uzbrojona. Ona nabija karabin żołnierza i kładzie skalpel w ręce chirurga. P. Maksym du Camp tak właśnie ją pojmuje. Chce, by była czynna i silna. W istocie to, co napisał, jest »moralnością czynu«. Jego poprzednicy: Blanchard, Bouilly, byli jedynie ckliwymi apologetami czułostkowości. Książka pana Maksyma du Camp, przeznaczona dla młodzieży, pełna jest dzielnych myśli.

Jeżeli porównamy ze sobą skromnych i wzniosłych przedstawicieli miłosierdzia i poświęcenia, których nam wskrzesiła ta książka, to nie wiemy, komu przyznać palmę pierwszeństwa; wahamy się między włościanką, która umiera przez swą nieuleczalną dobroć, a siostrą miłosierdzia, wspaniałomyślną służącą, marynarzem, żołnierzem. Jednak być może, że żołnierzom i marynarzom przypada zaszczyt najwznioślejszych i najcięższych poświęceń. Bohaterski Gordon powiedział przecież: »Żołnierz nie może zrobić nic więcej nad swój obowiązek«. Posłuchajcie, co p. du Camp mówi o poruczniku Bellot, który po niebywałych trudach, zginął wśród lodów: »Jego świetne czyny nie były dziełem jednej chwili, trwały całe lata i żadne widoczne osłabienie ich nie zmniejszyło. Tak wysoko cenił honor swego narodu i swego munduru, że nic nie mogło ostudzić jego męstwa. Gdy w maju 1852, po długich trzymiesięcznych poszukiwaniach wsiadł z powrotem na pokład »Księcia Alberta«, napisał: Odbyłem ciężką naukę; tu wszyscy, z wyjątkiem mnie, znali z doświadczenia trudy podobnych podróży, a dla mnie było to zupełnie obce. Jakich cierpień moralnych doznałem —

prócz materyalnych przykrości! Ale zdusiłem w sobie te walki chwilowe i nikt nie może powiedzieć, że oficer francuski ugiął się tam, gdzie inni nie tracili odwagi«.

Oto przykłady, zdolne podnieść najbardziej zniewieściałe serca. Jakże szczęśliwą myśl miał P. Maksym du Camp, kreśląc je z należytem umiarkowaniem i prostotą!

Książka ta, jak już powiedziałem, przeznaczona jest dla młodzieży. Skończywszy ją czytać, zauważyłem — młodzież na szczęście nie dostrzeże tego — że jest smutna. Wyznać to muszę — o wielkich sprawach człowieka i życia trzeba mówić z zupełną szczerością. Tylko pod tym warunkiem ma się prawo przemawiać do ogółu.

Gdy się czyta o czynach tylu ludzi, którzy poświęcili swe życie, uderza nas wzniosła bezsilność ich męstwa, bezpłodność ich ofiary. Poświęcenie i bohaterstwo są jak wielkie dzieła sztuki: same dla siebie są celem. Możnaby prawie rzec, że w tej bezużyteczności leży ich wielkość. Poświęca się zawsze dla samego poświęcenia. Przedmiot najszczytniejszych ofiar jest często niegodny i marny. Zapał, pewien rodzaj wzniosłego egoizmu czyni miłosierdzie podobnem do miłości. Niewątpliwie cnota jest siłą; jest nawet jedyną ludzką siłą. Ale fatalne przeznaczenie każe, iż zawsze musi być pokonana. Szermierzy swych wieńczy niezrównaną pięknością zwyciężonych. Jakże dawno cnota podwojone razy zadaje niedoli; ale zło jest nieśmiertelne i szydzi z naszych ciosów.

Tak, zło jest nieśmiertelne. Szatan, ten geniusz w dawnej teologii zło w sobie wcielający, przeżyje ostatniego człowieka i zostanie sam ze złożonemi skrzydłami na

szczątkach wygasłych światów. A my nie mamy nawet prawa pragnąć śmierci Szatana. Wzniosła filozofia ubolewać nie będzie nad nieśmiertelnością zła powszechnego. Przeciwnie — pozna, że zło jest konieczne, że powinno istnieć, bo bezeń człowiek nie miałby co czynić na świecie. Tak, gdyby zła nie było, życie nie miałoby treści i byłoby zupełnie nierozumne. Dlaczego? Dlatego, że w złem ma swą racyę bytu dobro, a dobro jest racyą bytu człowieka. Gdy trafem — ale nie obawiajmy się zbytnio — zło zniknie na zawsze, to uniesie za sobą wszystko, co stanowi wartość życia; ziemię pozbawi krasy i czci. Wyrwie z niej pełną niepokoju miłość matek i wiarę synów, wypędzi wiedzę i pilność, pogasi wszystkie światła ducha. Zabije honor świata. Nie ujrzymy już więcej ciekącej krwi bohaterów, ani łez kochanków, łez słodszych niż pocałunki.

Wśród wiecznych złudzeń, które nas ogarniają, jedyna rzecz jest pewna — cierpienie. Ono jest kamieniem węgielnym życia. Na niem ludzkość opiera się jak na niewzruszonej opoce. Po za niem wszystko niepewne. Ono jest jedynem świadectwem rzeczywistości, która po za tem nam się wymyka. Wiemy, że cierpimy — i nie wiemy nic nadto. To jest podstawa, na której człowiek wszystko zbudował. Na piekącym granicie cierpienia ugruntował miłość i odwagę, bohaterstwo i litość, zbiór praw boskich i szereg cnót strasznych lub wzniosłych. Gdyby tego gruntu zabrakło, wszystkie te piękne postacie wpadłyby w otchłań nicości. Ludzkość ma niejasną świadomość konieczności cierpienia. Świętym swoim policzyła smutek pobożny za cnotę. Szczęśliwi którzy cierpią, i biada weselnym! Przez to

hasło Ewangelia dwa tysiące lat panowała nad światem.

Mówiłem raz, że można sobie wyobrazić, iż nasza planeta, nasza biedna mała ziemia otoczona jest istotami niewidzialnemi i myślącemi. W istocie, atmosfera może być zamieszkana przez jestestwa o budowie zbyt subtelnej, by podpaść mogły pod zmysły nasze. Jestto tylko marzenie, ale i marzenie ma swoje prawa. Chcę marzyć o duchach napowietrznych, unoszących się w przestrzeniach eteru. Wyobrażam sobie, że są inteligentniejsze i łagodniejsze niż te Elohimy, które, według Renana, krążą koło namiotów koczującego Izraela. Chciałbym też, żeby były mniej płoche, mniej obojętne, mniej radosne, niż te lekkie cienie, którymi starożytna Grecya zaludniała swe lasy i góry. Te widma moje — to anioły, ale anioły-filozofowie i uczeni, to znaczy anioły zupełnie nowego rodzaju. Nie będą śpiewały ani uwielbiały: obserwować będą. Przypuszczam, że jeden z nich, leżąc na kraju obłoku, zwraca ku ziemi swe oczy, potężniejsze od szkieł naszych teleskopów i patrzy na życie ludzi. Oto bada nas rozumnie i ciekawie, jak John Lubbock śledzi mrówki. Ten trzeźwy i rozumny anioł nie widzi nic godnego podziwu w małych istotach, których ruchy bada. Nie jest wrażliwy ani na siłę mężczyzn, ani na piękność kobiet. Nie wzbudzamy w nim ani zachwytu, ani wstrętu; gdyż jego czysta myśl wznosi się z odrazą ponad pożądanie. Śledząc nasze czyny, pozna, że są gwałtowne i podstępne i przerazi się ogromem zbrodni, zrodzonych nieustannie wśród nas przez głód i miłość. I powie: »Złośliwe są to stworzonka. Wzajem się pożerając, tylko sprawiedliwość sobie czynią«. Ale wkrótce spostrzeże, że

cierpimy i wtedy przejrzy naszą wielkość. Wówczas zacznie szeptać: »Rodzą się ułomni, cierpiący, zgłodniali, skazani na wzajemne pożeranie się. A jednak nie wszyscy się pożerają. Widzę nawet wśród nich takich, którzy w wielkiej swej niedoli podają sobie ręce. Pocieszają się i podtrzymują wzajemnie. Jako ulgę wynaleźli rzemiosła i sztuki, mają nawet poetów, którzy ich bawią. Bóstwo ich stworzyło choroby; oni stworzyli lekarzy — i wedle sił pracują nad poprawieniem przyrody. Natura zrodziła zło — i to było bardzo źle; oni czynią dobro. Tego dobra jest niewiele, ale jest ono ich dziełem. Ziemia jest zła, jest nieczuła. Ale człowiek jest dobry, ponieważ cierpi. Wszystko, nawet genialność swą wyhodował z bólu«.

W ten sposób mówiłby, zda mi się, anioł wzrosły w zasadach prawdziwej filozofii. I nie pragnąłby już, gdyby miał władzę, wytępić na tym świecie gorzki zaczyn jego wielkości i piękna.

Nauczylibyśmy się od niego, że trzeba umieć cierpieć i że umiejętność cierpienia jest jedyną sztuką życia. Nauki jego budziłyby w nas cierpliwość, to najtrudniejsze bohaterstwo, bohaterstwo stałe. Nauczyłyby nas pobłażania i przebaczenia; nauczyłyby nas rezygnacyi, ale rezygnacyi usiłowań, gotowości by ciągle zwalczać zło mimo jego niedosiężnej nieśmiertelności.

Pod takim wpływem najlichsze istnienie mogłoby się stać dziełem sztuki znacznie doskonalszem od najpiękniejszych symfonii i najpiękniejszych poematów.

Czy nie są bowiem najlepsze te dzieła sztuki, które sami w sobie urzeczywistniamy? Inne, wyrzucane na zewnątrz,

na płótno, na papier, są to zaledwie obrazy, cienie. Dzieło życia jest rzeczywistością. Prosty człowiek, o którym nam mówi P. Maksym du Camp, biedny tandeciarz z przedmieścia Saint-Germain, który z życia swego uczynił poemat miłosierdzia, wart więcej od Homera.

LISTY MARYI LUDWIKI.

Piśmiennictwo bieżące karmi się niekiedy wspomnieniami i szuka rozmowy z umarłymi. Będziemy obcowali dziś z księżniczką, której korespondencya świeżo ogłoszona obudziła pewne zaciekawienie.

W Wiedniu pod tajną redakcyą hrabiego Falkenhayna, ministra rolnictwa, wydrukowano właśnie wybór listów, które Marya Ludwika pisała od r. 1799 do 1847 do swej długoletniej przez lat dziesięć wychowawczyni, hrabiny Colloredo, i do jej córki, Wiktoryi de Pontet, hrabiny de Crenneville.

»Dołożyliśmy wszelkich starań w wyborze tych listów, — mówi wydawca niemiecki — by mieć pewność, że wywołamy niemi zaciekawienie publiczności; będziemy szczęśliwi, jeżeli uda nam się zwrócić uwagę ogółu na trumnę księżniczki Parmeńskiej. Obyśmy w dzień Zaduszny, kiedy tłum tłoczy się w krypcie cesarskiej, mogli usłyszeć te słowa: »Oto grobowiec arcyksiężniczki Maryi

Ludwiki, która w r. 1810 poświęciła się dla dobra monarchii i ojca!« Hrabiego Falkenhayna zawiedzie jednak ta zbożna nadzieja. Ogłoszone przezeń listy nie zmienią wcale uczucia czytelników. Zarówno po ich wydaniu, tak jak i przedtem, pamięć córki cesarza Franciszka I. nawet w ojczyźnie swej nie zdobędzie czci należnej wielkim duchom. Gdziekolwiek prawe serca biją, tej, która stała się niewierną w niedoli, wszędzie odmówią wzniosłego miana ofiary.

Listy Maryi Ludwiki do hrabiny Colloredo i do panny de Pontet pisane są po francusku; nie ma w nich poprawności, wdzięku, świetności stylu; jest tylko dostateczna jasność wysłowienia.

Od siódmego roku księżniczka umiała równie zrozumiale wyrażać się po francusku, jak i po niemiecku. Później przyzwyczaiła się myśleć w języku swej przybranej ojczyzny. Mając lat dwadzieścia jeden, umiała już lepiej po francusku niż po niemiecku. »W korespondencyi z ojcem, — mówi baron Menneval, — często musiała uciekać się do wyrażeń francuskich, gdyż brakowało jej odpowiednich słów w ojczystej mowie«.

Pierwsze listy, — trzeba to przyznać, — są dosyć miłe. Wtajemniczają nas w życie na dworze wiedeńskim, świadczą o panujących tam prostych, rodzinnych obyczajach. »Mama, — mówi mała Ludwika o młodej macosze, — rozmawia i czyta cały wieczór ze mną. Cesarz robi z córkami wycieczki na wieś«. Te małe podróże niezmiernie bawią Ludwikę, «gdyż, — mówi ona, — drogi mój ojciec łaskawie uczy mię mnóstwa rzeczy«. Jeden list z

dziesiątego roku życia tak się zaczyna: »Czytałam ku wielkiej radości, że synogarlice ścielą gniazdka«. Ludwika robi ręczne robotki: szyje ubrania dla lalek, haftuje chustki.

W czternastym roku pisze, że czytała podróże Zimmermann'a i dodaje:

> »Wyhaftowałam także pugilares dla papy, który wczoraj obchodził urodziny; następnie zaczęłam nową robotę, o której ci później napiszę, bo to jest niespodzianka dla mamy; wieczorami robię na drutach spódniczkę«.

Przyszła cesarzowa Francuzów była wówczas nieśmiałem, spokojnem, posłusznem i powolnem dzieckiem, mającem na zawołanie śmiech i łzy. Charakter jej był już ukształtowany. Na cierpienie miała jedną tylko odpowiedź: wybuch łez i nerwów. Zresztą życzliwa dla wszystkich, uległa względem ludzi i zdarzeń, była pieszczotliwa dla rodziców, przyjaciół i dla wszystkich boskich stworzeń. Karmiła żaby i obłaskawiła małego zajączka. Była to »dobra Ludka«. Ale ci, co ją dobrze znali, dopatrzyli, że miała ona w charakterze wrodzoną przebiegłość i nieoczekiwane sposoby wycofania się z trudnej sytuacyi. (Świadczy o tem list z d. 23 grudnia 1809 — str. 132).

Nie była przyzwyczajona do samodzielnego myślenia; mimo to, mając siedmnaście lat, pozwoliła sobie na własny sąd o książkach. Ośmieliła się uważać, że powieści Augusta

Lafontaine’a, któremi rozkoszowała się jej macocha, są mdłe. *Mnogość światów* nasunęła jej słuszną uwagę.

> »Trzeba, — mówi ona po przeczytaniu tej książki — Francuzom przyznać w tem przewagę nad Niemcami; potrafią oni wszystkie nauki, najbardziej oderwane i najpoważniejsze przedstawić tak mile, że podobają się one wtedy nawet kobietom, — a dowodem tego Fontenelle«.

Ma ona zamiłowanie do malarstwa, robi ładne akwarele. Nie poprzestaje jednak na tem:

> »Moi wujowie, którzy są doskonałymi malarzami, i mój nauczyciel męczyli mię, aż postanowiłam malować również olejno. I natychmiast nabrałam do tego ochoty; maluję smutny krajobraz, który mi się dlatego właśnie podoba«.

Potem zabiera się do »ogromnego obrazu, przedstawiającego świętą Barbarę« i próbuje portretować hrabiego Edlinga. »Hrabia Edling nie jest piękny, a właśnie na brzydocie można studyować sztukę malarską«.

Arcyksiężna Ludwika śpiewa, gra na klawikordzie, skomponowała nawet sześć walców, »ale nie może ich zaprodukować«. Lubi tańczyć i dużo tańczy. Walc, taniec szkocki, kadryl zachwycają ją jednakowo. Bardzo jest zmartwiona, gdy to ona właśnie musi grać do tańca dla zaproszonych gości.

W 1809 roku wypędzona z Wiednia przez zwycięstwa Francuzów, ukrywa się z cesarzową w Erlau; mieszka w pustej ruderze i śpi na łóżku pełnem robactwa. Mimo to jest zadowolona, bo »to jest jakby wiejski domek«. »O trzeciej z rana budzą nas świnie, pędzone na pastwisko«. Wielką przyjemność miała tam w kupowaniu wisien dla wieśniaczek.

Napoleon, wydaje jej się wówczas potworem. Przecież to on jest prześladowcą jej rodziny i jej ludu. Czyż nie doprowadził domu habsburskiego prawie do zguby? Czyż to nie przed nim ucieka ona wraz z rodziną z miasta do miasta? Nie dziw więc, że słucha chętnie wszystkich bajek krążących o tyranie, że z dobrą wiarą opowiada o nim, że w Egipcie porzucił chrześciaństwo i przyjął islam, że podczas wielkiej porażki 22 maja 1809 roku, zabił własną ręką dwóch swych generałów. W rzeczywistości dnia 22 maja 1809 roku cesarz zwyciężał pod Essling, i płakał, całując śmiertelnie rannego marszałka Lannes'a. Dla Ludwiki Napoleon to prawdziwy Antychryst; (List z d. 8 lipca 1809); drży na samo jego imię.

> »Zapewniam panią, że widok tego człowieka, byłby dla mnie męczarnią, gorszą niż wszystkie katusze, a nie wiem, czy mu i to nie przyjdzie do głowy«.

Wkrótce dowiaduje się ona ze wszystkich stron, że potwór porzuca żonę, aby pojąć inną na jednym z dworów europejskich. »Lituję się, — mówi ona, — nad biedną księżniczką, którą on wybierze«. Ale, gdy w końcu

podejrzewa, że tą biedną księżniczką jest właśnie ona sama — łatwo poddaje się losowi. Marya Ludwika stworzona już była do rezygnacyi.

> »Od czasu rozwodu Napoleona, każdą gazetę z Frankfurtu otwieram w nadziei, że znajdę tam imię nowej małżonki, i przyznaję, że to opóźnienie przyprawia mię o mimowolny niepokój; składam me losy w ręce Opatrzności, Ona jedna wie, co może nam zapewnić szczęście. Gdyby los tak zrządził, gotowa jestem poświęcić osobiste szczęście sprawie państwa w tem przekonaniu, że prawdziwej szczęśliwości zaznać można jedynie w spełnieniu swych obowiązków, nawet gdy sprzeczne one z naszemi skłonnościami. Nie chcę o tem więcej myśleć; jeżeli jednak tak być musi, postanowienie moje jest nieodwołalne, chociaż to będzie podwójna i bardzo ciężka ofiara. Módl się pani, by tak się nie stało. (22 — 23 stycznia 1810)«.

Znacie bajkę o »Pięknej i Potworze«. Piękna bardzo się bała »Potwora«, ale zobaczywszy go, pokochała. Napoleon, któremu pochlebiało małżeństwo z arcy-księżniczką, przyjął narzeczoną z gwałtowną niecierpliwością; miłem to było tej młodej Niemce, która zbliżała się do niego biała, jasnowłosa, pulchna. »Płonął takim zapałem, — mówi jedna z pokojówek cesarzowej, — że tylko z trudem zgodził się zatrzymać kilka chwil w Soissons, choć poprzednio tam nocować postanowiono. Natychmiast

udano się jednak do Compiégne. Zdaje się, że prośby Napoleona wraz z naleganiami królowej Neapolu skłoniły Maryę Ludwikę, by niczego nie odmawiała swemu nad wyraz szczęśliwemu mężowi«. Listy pisane z Francyi do hrabiny Colloredo i do hrabiny Crenneville świadczą o niezachmurzonej niczem radości.

»Czuję, — pisze ona, — jak słodko jest mówić o swem szczęściu«.

Niewinna macierzyńska duma przebija się w listach:

»Mój syn zmienia się w oczach, robi się uroczym, zdaje mi się nawet, że słyszałam, jak mówił »papa«; tak przynajmniej wmawia we mnie miłość macierzyńska« (2-go września 1811).

Wiemy jednak od naocznego świadka, że nie umiała się ona obejść z dzieckiem; że obawiała się nosić je lub pieścić. Cesarz przeciwnie, zawsze brał je na ręce, pieścił, żartował, trzymał przed lustrem i pokazywał mu różne miny. Gdy jadł śniadanie, brał synka na kolana, maczał palec w sosie, pozwalał mu oblizywać i mazał mu twarzyczkę. Piastunka łajała, cesarz śmiał się, a dziecku zda się przyjemne były hałaśliwe pieszczoty ojca. Przez trzy lata Marya Ludwika ciągle wychwala swe szczęście małżeńskie:

»Najprzyjemniejsze chwile są, które spędzam z cesarzem lub też gdy pracuję sama. Karnawał będzie dość smutny, ale to mię nie wzrusza, gdyż straciłam

zamiłowanie do tańca; lubię natomiast konną jazdę«. (1 stycznia 1811).

Rozłączona z mężem, sentymentalna Germanka tęskni i narzeka. Ani ojciec, ani syn nie mogą rozerwać jej smutku, spowodowanego nieobecnością cesarza.

»Może sobie pani wyobrazić szczęście, jakiego doznaję, znajdując się wśród rodziny, bo wie pani, jak ją kocham; tę radość jednak zakłóca smutek rozstania z cesarzem. Mogę być szczęśliwą tylko przy jego boku. (Praga, 11 czerwca 1812). Nie będę zadowolona ani spokojna, dopóki go nie zobaczę: oby Bóg chronił Panią od takiego rozłączenia; zbyt to okrutne dla kochającego serca, i jeżeli dłużej potrwa, nie oprę się boleści. (Praga, 28 czerwca 1812).

Zastałam mego syna piękniejszym i większym; jest tak rozwinięty, że obecność jego przy mnie nie nuży mię. Ale słodycz tego dziecka nie da mi jednak zapomnieć, choćby na kilka chwil, o nieobecności jego ojca. (Saint-Cloud, 2 października 1812).

Co stało się z tą miłością w dniach próby? Regentka, żona i matka, Marya-Ludwika opuszcza stolicę 29 marca 1814 r. wówczas, gdy wojska sprzymierzone były jeszcze w znacznej odległości. Krok to opłakany i nieszczęsny; nie wyrzucamy go jej, bo wyjechała jedynie na kilkakrotny rozkaz Napoleona. Potężny on jeszcze, więc słucha go Marya Ludwika. Wkrótce strącony z tronu, wygnany jest na Elbę. Ta niedawno czuła małżonka nie podąży za nim. Zaledwie udaje, że pragnie mu towarzyszyć. Tuż na wstępie

pozwala zatrzymać się w drodze i uprowadzić do Wiednia. Nieszczęsny bohater wzywa ją i oczekuje. Nie jedzie do niego. Pisuje doń listy o tyle, o ile jej pozwalają. Nie odpowiada mu już nawet więcej, skoro ojciec zabronił jej tego: posłuszna to bowiem córka.

Opowiadają, że w Wiedniu spotkała ona swą babkę, królowę Karolinę, nieprzyjaciółkę Bonapartego. Córka Maryi Teresy spytała Maryę Luizę, dlaczego tak opuściła męża. Ta nieśmiało tłumaczyła się przeszkodami, stawianemi ich połączeniu.

— »Moja córko, — odrzekła stara królowa — należało choćby wyskoczyć przez okno!«

Ale dobra Marya Ludwika nie myślała skakać przez okna. Była na to za dobrze wychowana. W tym czasie grywała sobie spokojnie na gitarze. Od niej samej dowiadujemy się o tem:

> »Ciche to życie bardzo mi się podoba. Wierz kochana Wiktoryo, że nigdy nie lubiłam wielkiego świata, a teraz jeszcze więcej go nienawidzę. Jestem szczęśliwa w swym zakątku, widuję ciągle mego syna, który z każdym dniem pięknieje i staje się coraz przyjemniejszym.
>
> Jestem zupełnie zdrowa...
>
> Niesłusznie ci powiedziano, że zaniedbuję muzykę, grywam jeszcze często. Zaczynam nawet grać na gitarze, co prawda bardzo źle. (Schönbrunn, 3 marca 1815)«.

Powrót z Elby zakłócił jej spokój; dopiero Waterloo i Święta Helena mogły ją uspokoić. Dość dobrze załatwiła swoje drobne interesy i zapewniła sobie spokój: przyznano jej księstwo Parmeńskie pod warunkiem, że nie będzie więcej widziała syna. Tam, po długiej agonii cesarza, ta czuła i cnotliwa Niemka obdarzyła króla rzymskiego małymi czysto już germańskimi braciszkami. Nowym jej panem był szlachcic wirtemberski, w austryackiej służbie. Był to człowiek pewny: z ramienia Metternicha. Czterdziestoletni przeszło blondyn, nosił szeroką czarną przepaskę na jednem oku, które był utracił. Hrabia Neipperg miał z zacną Ludwiką troje dzieci i administrował jej księstwem. Ale Marya Ludwika była kobietą pobożną. Pragnęła uświęcić swój związek przez cichy ślub kościelny; jeżeli odwlekła to aż do 1821 r., to już wina Napoleona, że za późno dla niej umarł.

Wreszcie skonał. Marya Ludwika dowiedziała się o tem z gazety, i wieść ta, wstrząsająca dla wszystkich, rozdrażniła księżnę Parmy. Pisze ona dnia 19 lipca 1821 roku do hrabiny de Crenneville:

> »Jestem obecnie w wielkiej niepewności. »Gazeta Piemoncka« oznajmiła o śmierci Napoleona tak stanowczo, że niepodobna prawie o tem wątpić.
>
> Przyznaję, że niezmiernie mię to dotknęło. Pomimo że nie żywiłam dlań nigdy żadnego jakiegobądź żywszego uczucia, nie mogę zapomnieć jednak, że jest on ojcem mego syna i że wbrew temu, co wszyscy sądzą, obchodził się ze mną bardzo dobrze i miał dla

mnie względy, — jedyną rzecz, której pragnąć można w takim związku politycznym. Byłam więc tem bardzo zasmucona; chociaż należy się radować, że nieszczęsny żywot skończył jak chrześcianin, byłabym jednak życzyła mu jeszcze długich lat życia i szczęścia, byle zdala odemnie«.

Dodaje zarazem, że żołądek jej się wzmocnił, może jeść »nawet melony«. Ponieważ komary pokąsały ją po twarzy, jest zadowolona, że może się nie pokazywać.

Wreszcie mogła poślubić hrabiego Neipperga.

»Wdowa po Hektorze, niestety! i żona Hellenusa!«.

I Neipperg jednak umarł jej jakby na złość; zastąpił go pan de Bombelles.

Wreszcie księżna Parmy opuściła tę ziemię, na której szukała jedynie własnego spokoju. W grudniu 1847 r. zdziwiono się wiadomością o zgonie Maryi Ludwiki; miano ją bowiem za dawno umarłą.

U szczytu losu przeciętna, ani zła, ani dobra należy ona do nieprzeliczonego stada tych dusz powszednich, które niebo odpycha a które nawet piekło, jak mówi poeta, wyrzuca ze wstrętem.

KSIĄŻĘ BISMARK.

Dziś o szóstej godzinie niebo było ciemne. Rzęsisty deszcz, smagany wiatrem, pobudkę dzwoni o szyby, wichura dmie w kominy jakby w olbrzymie melancholijne flety, i zgina w alei wysoką topolę, a ta zgięta wydaje się niby łuk Nemroda. Młode listki lip marzną i rozwijać się nie mają odwagi. Ptaki milkną... Doprawdy, do myśli mych odpowiednia to pogoda. Przeczytałem wczoraj jednym tchem życiorys księcia Bismarka, napisany z dużym talentem przez panią Maryę Dronsart; od książki tej przygnębienie mię ogarnia i mam w duszy tyleż świstów i chmur, ile ich przebiega po zwichrzonem przedemną niebie. Otton Bismark! Co za człowiek! co za przeznaczenie!

Urodził się, jak wiadomo, w sercu Prus, na tej rozległej piasczystej równinie, gdzie panują ciężkie a długie zimy i rosną gęste, ponure lasy. Był to junkier, to znaczy szlachcic, ziemianin, potomek długiego szeregu rycerzy, zawołanych myśliwych i pijaków o tęgich głowach. Jednego z nich, Rulona wyklęto w r. 1309 za to, że otworzył szkołę świecką; syn jego był wielkim politykiem. Na grobie jego wyryto ten skromny napis: *»Nicolaus von Bismark, miles«*. Każdy z nich żołnierz, kirasyer, dragon, piechur chociażby. Zarówno zdolni do obrad jak i do bitwy; z żelazną ręką łączą bystry umysł; gwałtowni są a chytrzy. Te dwoiste cechy odnajdują się w największym z ich rodu. Otton Bismark od wczesnej młodości zdradzał temperament nieposkromiony. Wysłany przez ojca w 1832 r. na uniwersytet do Getyngi, po upływie niespełna dwudziestu czterech godzin od przybycia popełnił mnóstwo szaleństw.

Zawezwany na sąd przez rektora zjawił się z ubraniem w nieładzie, z dzikim dogiem bez kagańca. W Berlinie, dokąd się udał następnie, nie słuchał wykładów profesorów i nie uczęszczał nawet na kursa prawne znakomitego Savignyégo. Cały ten czas pił, palił i pojedynkował się na szable. W ciągu trzech semestrów miał 28 pojedynków. Za każdym razem poranił przeciwnika, a sam raz tylko otrzymał cięcie, po którem pozostała mu blizna na policzku. Ten to sport natchnął go zuchwałem do siebie samego zaufaniem. Był żołnierzem jak jego przodkowie; ale po to, by rozkazywać jak oni, nie zaś po to, by słuchać. Wstąpiwszy w 1838 r. do kirasyerów gwardyi, nie umiał poddać się dyscyplinie wojskowej. Jeden z jego przełożonych kazał mu długo czekać na przyjęcie. »Przyszedłem, — powiedział doń Bismark — prosić o urlop, ale podczas tej długiej zwłoki rozmyśliłem się. Podaję się do dymisyi«. W życiu publicznem cechowała go ta sama niecierpliwość, której wiek nawet nie ułagodził. W 1863 r. w Izbie, przywołany do porządku przez prezydenta, odrzekł: »Nie mam zaszczytu być członkiem tego Zgromadzenia; nie układałem waszego regulaminu; nie brałem udziału w wyborze waszego prezydenta; nie podlegam zatem przepisom dyscyplinarnym Izby. Władza pana prezydenta nie sięga do miejsca, które zajmuję. Nie uznaję innej władzy nad sobą, prócz władzy Jego Królewskiej Mości... Przemawiam tu nie na mocy waszego regulaminu, ale na mocy władzy, jakiej mi udzieliła Jego Królewska Mość i na mocy paragrafu konstytucyi, który opiewa, że minister w każdym czasie, jeżeli tego żąda,

powinien otrzymać głos i być wysłuchanym«.

W owej chwili podniosły się szemrania w Izbie. Bismark poskramia je słowami: Nie macie prawa mi przerywać.

W 1865 r. jako minister zachowuje wciąż wojowniczy temperament studencki. Wobec pełnej Izby zaproponował przecież dzielnemu człowiekowi i uczonemu Virchow'owi, by ten spór z nim rozstrzygnął w polu pojedynkiem.

Nawet wiek nie uśmierzył jego gwałtowności. Kiedy jedyny władca, którego uznawał, król opierał się, Bismark nie umiał skrywać swego gniewu. Pewnego dnia, wychodząc z gabinetu cesarza zamknął drzwi z taką siłą, że została mu klamka w ręce. W sąsiednim pokoju cisnął żelazem w porcelanową wazę, która też stłukła się z trzaskiem. Wówczas dopiero odetchnął z ulgą i mruknął:

— »Teraz mi lepiej!«

Dzika gwałtowność jego usposobienia to zatrzymuje go wśród ludzi, którymi rządzi lub których zwalcza, to znów gna go do swobodnego życia wśród lasów, pól ojczystych, których pożąda jego niepohamowana dusza. W Warcinie szczerze się oddaje życiu wiejskiemu. Potrzebne mu powietrze i przestrzeń. Jego potężne muskuły wymagają ciągle nużących ćwiczeń. Jest to rycerz godny starych centaurów Elby, od których pochodzi. Ojciec jego, widząc go na koniu, mawiał:

— »Istny z niego Pluvinel«.

Ale naprawdę, mistrz klasyczny, który wpajał sztukę konnej jazdy Ludwikowi XIV. nie uznałby nigdy za ucznia tego szalonego jeźdźca, który zamęczał konia i pędził bez opamiętania przez zagony, leśne wręby i trzęsawiska.

Bismark, podobnie jak jego ojcowie, był zawołanym myśliwym. Przez czterdzieści lat strzelał jelenie, łosie, kozły, daniele, niedźwiedzie, kozice, lisy i wilki. Więcej niż kto inny z jego sfery, odczuwał on tę radość niszczenia, co podnosić ma rozkosz życia i służy zdrowiu myśliwych.

Niedawno, gdy już czuł nieodwołalny swój upadek przyszły mu na myśl powszednie dlań obrazy myśliwskie: własna działalność polityczna wydała mu się niby długie łowy, a sam porównywał siebie do zmęczonego i wyczerpanego już strzelca. Pływakiem był również, jak i myśliwym. Zanurzał się z rozkoszą w wodzie rzek, jezior i oceanów. Zdaje się, że morze było namiętnością tego surowego olbrzyma. Morze nazywa pięknem, uroczem. »Oczekuję z niecierpliwością chwili, — pisze pewnego dnia — kiedy do serca przycisnę jego pierś ruchliwą«. Dla swej posiadłości ziemskiej miał prawdziwą miłość właściciela — ziemianina.

W 1870 r. mówi jednego ranka w Wersalu: »Tej nocy, po raz pierwszy od dawna, spałem dwie godziny dobrym pokrzepiającym snem. Zwykle czuwam i różne niespokojne myśli snują mi się po głowie; później nagle ukazuje się jak w barwnym obrazie Warcin, świetnie wyraźny aż do najmniejszych szczegółów: zieleń drzew, promienie słoneczne na gładkiej korze pni, ponad tem błękit nieba. Mimo wysiłków, niepodobna mi uwolnić się od tej natrętnej wizyi«. Dziś podobno książe kanclerz jest najszczęśliwszy, gdy »w wysokich, dobrze wysmarowanych butach« przebiega swą wiejską posiadłość. Lubuje się wsią jak człowiek praktyczny: interesują go chore woły, zdechłe

lub źle żywione barany, stan dróg, nieurodzaje na paszę, słoma, kartofle, nawóz. Ale umie też kochać naturę dla jej tajemniczości nieskończonej. Ma poczucie piękna świata zewnętrznego. W 1862 r., w czasie opłakanego na przyszłość pobytu we Francyi, odwiedził Turenię. Wracając z Chambord, napisał był do żony: »Z tych gałązek, które ci posyłam, nie możesz mieć pojęcia o fioletowo-różowej barwie, w którą się przystraja w tym kraju mój kwiat ulubiony. Jedyny to gatunek, kwitnący tu w ogrodzie królewskim, tak jak jaskółka jest jedyną żyjącą istotą, zamieszkującą zamek. Jest on zanadto samotny dla wróbli«.

Organizm Bismarka jest fizycznie nadzwyczaj silny; i pojemność i wymagania ma też niepowszednie. Kanclerz był jednym z największych biboszów swego czasu. Piwo, wino szampańskie, wino burgundzkie, bordoskie, wszystko mu smakuje. Zadziwił kirasyerów brandenburskich, wypróżniając jednym haustem puhar pułkowy, mieszczący całą butelkę. Pewnego razu na polowaniu, połknął jednym tchem całą ilość wina szampańskiego, zawartą w olbrzymim rogu jelenim. Będąc w Bordeaux w 1862 r., godnie próbował win tej okolicy i później słusznie sie przechwalał: »Piłem, — pisze on — lafitte, pichon, mouton, latour, margaux, saint-julien, brame, laroze, armaillac i inne wina. W cieniu mamy 30 stopni, a w słońcu 55, ale nie myśli się o tem, gdy się dobrego wina dość wypije«. Jaki jest w piciu, taki i w jadle.

Podczas wojny 1870—71 r. stół jego był stale obficie zaopatrzony w pasztety, dziczyznę i wędzone półgęski. »Byliśmy zawsze wielkimi smakoszami w rodzinie —

mawiał, gdy go widziano przed tą sutą zastawą. Jeżeli mam dużo pracować, trzeba mię dobrze żywić. Nie zawrę korzystnego pokoju, jeśli mi nie dadzą dobrze jeść i dobrze pić«.

Ale jednocześnie, i to właśnie stanowi moc Bismarka, ten człowiek gwałtowny, o żądzach niepohamowanych, potrafi gdy chce, powściągnąć się i udawać. Umie pić, ale umie też dobrze innych zmusić do picia. Lubił w młodości grać w karty, ale zarzucił to po ślubie. »To nie przystoi ojcu rodziny«. Gra w karty stała się dlań jedynie środkiem podejścia ludzi. Busch podaje nam o tem ciekawą anegdotę: »W lecie 1865 r., zawierając umowę Gasteinską z Blome'm, dyplomatą austryackim; oddawałem się szalenie na pozór grze w »piętnaście« i widzów wprawiałem w osłupienie. Ale wiedziałem doskonale, com czynił. Blome słyszał, że ta gra jest pono najlepszą sposobnością do poznania charakteru partnera; chciał to sprawdzić na mnie. Ach tak! pomyślałem, a więc poczekaj! I przegrałem prędko kilka talarów, które mógłbym doprawdy reklamować, jako żem je wydał na usługi Jego Królewskiej Mości. Zmyliłem panu Blome drogę; wziął mię za ryzykanta i zbłądził«.

Bismark to człowiek niesłychanej pracowitości; pod tym względem można go równać tylko z Napoleonem. Wśród najważniejszych spraw znajduje czas na czytanie. W 1866 r., 2 lipca, w przededniu bitwy pod Sadową, zwiedzał pole walki w Sichrow, pełne trupów, rozpłatanych koni, złamanych furgonów i broni. Po powrocie pisze do żony: »Przyślij mi pistolet z olstrami i jaką powieść francuzką«.

Umiał na pamięć Szekspira i Goethego; znał doskonale historę powszechną. Odczuwał muzykę, zwłaszcza Bethoven'a. Jeden z najlepszych jego efektów krasomówczych jest nawet zapożyczony z libretta »Wolnego Strzelca«.

Było to w 1848 r., liberali ofiarowywali Fryderykowi Wilhelmowi IV koronę cesarską. Butny junkier, zawzięty ich wróg, zawołał: »To radykalizm ofiarowuje dar ten królowi; prędzej czy później stanie on przed królem, zażąda dla siebie zapłaty i, wskazując na orły cesarskich sztandarów powie: «Sądziłeś, że ten orzeł jest to dar bezpłatny?« Zupełnie te same słowa mówi dyabeł w operze, żądając duszy chana jako zapłaty za swe kule zaklęte.

Wymowa Bismarka jest dosadna i jędrna, dużo w niej malowniczych obrazów i świeżych wyrażeń. Raz, o szczerej dyskusyi w Izbie powiada: »Jest to polityka w majtkach kąpielowych«. Chwalił Lassalle'a, którego umysł mu się podobał: »Chciałbym być jego sąsiadem na wsi«. Rozmawiał z wymownym i upartym socyalistą, i tak go określił: »Znalazłem studnię frazesów«.

Podzielam całkowicie gust J. J. Weiss'a do jędrnej wymowy kanclerza. Przyznaję, że nie jest mowcą wytwornym; w mowach jego brak retoryki, ale jest nieoczekiwana obrazowość i żywotność wyrażeń, a to więcej warte. Oto przykład, jeden z tysiąca, jak obrazową była jego wymowa.

Było to na początku sesyi parlamentarnej 1884—85 r. Kilku posłów wniosło projekt, by wyznaczyć dla członków parlamentu dyety, tak jak się to dzieje we Francyi, gdzie jak

wiadomo, posłowie i senatorowie biorą wynagrodzenie. Projekt taki wynika z zasad demokratycznych, musiał się więc Bismarkowi nie podobać. W istocie jak najgorzej go przyjął; uważał, że musiał powstać pod wpływem socyalistów; nie dość mu było zwalczyć go — zapragnął pobić i tych, od których zdawał się pochodzić.

Wyrzucał im, że zwalczają wszystkie systemy rządu, a sami nie potrafią żadnego wynaleść. »Było ich sześciu przed wyborami — mówił — dziś jest ich dwunastu. Mam nadzieję, że będzie ich ośmnastu w przyszłej Izbie; uznają wówczas, że są dość liczni, by złożyć swe Eldorado na stole prezydyalnym Izby. A wtedy wszyscy poznają czczość ich żądań, i oni to stronników swych utracą. Tymczasem jednak mają jeszcze zasłonę proroka — tego proroka o tak wstrętnej twarzy, że jej nikomu nie pokazywał. Tak jak on, strzegą się, by nie podnieść zasłony«. Porównanie z zawoalowanym prorokiem, którem się kilkakrotnie posługiwał, jest uderzające. Co prawda, nie jest ono jego własne. Bismark wziął je z poematu Thomasa Moore'a (»*the veiled prophet*«). Jest to mały plagiat; ale takie cytaty, w właściwej chwili przytoczone, uwypuklają myśl i nadają mowie nieoczekiwaną siłę.

Widzimy więc kim jest Bismark; słyszeliśmy, co mówił; wiemy doskonale co zrobił. Ale co on myśli, w co wierzy? Jakie ma pojęcia o sobie, o życiu, o przeznaczeniu człowieka? Może nikt o tem nie wie. A jednak ciekawą rzeczą byłoby poznać filozofię księcia Bismarka.

Mówią, że ten umysł tęgi podziela wiarę religijną gminu, z którą łączył nawet starodawne i grube przesądy:

naprzykład pewne dni i daty uważał za fatalne. Ale nie przyznawał się do tego. »Zasiądę przy stole mówił — gdzie będzie trzynaście osób, ilekroć wam się podoba; załatwiam najdonioślejsze sprawy w piątek lub 13 dnia w miesiącu, jeżeli zachodzi tego potrzeba«. Zgoda! Pod tym względem nie ma on uprzedzeń. Za to jednak sam się przyznaje, że doznał zabobonnej trwogi, gdy go król obdarzył tytułem hrabiowskim. Pospolity to na Pomorzu przesąd, że rodziny, otrzymując tytuł, prędko wygasają. »Mógłbym wyliczyć dziesięć czy dwanaście takich rodów, mówił później Bismark; starałem się więc wszelkimi sposobami zaszczytu uniknąć, ale w końcu musiałem ustąpić. Lecz nie pozbyłem się niepokoju nawet teraz«.

Te słowa nie są żartem. Opowiadano także, że ukazywały mu się duchy w jakimś starym zamku Brandenburskim. W Boga zdaje się wierzyć szczerze i głęboko. Nawet z ust tego zuchwalca wiara chrześciańska wyrywała słowa pokory. Pisał przecież jawnie: »Należę do tej wielkiej liczby grzeszników, którym brakuje chwały Boskiej. Spodziewam się na równi z nimi, że Bóg w miłosierdziu swem nie odejmie mi kornej wiary, która jest mi podporą i pomocą, gdy szukam drogi wśród zwątpień i niebezpieczeństw mego położenia«. Nie mam zamiaru podejrzywać szczerości tych słów pobożnych. Nic w tem dziwnego, że Bismark jest tak religijnie nastrojony; posiada on bowiem silną wyobraźnię, a zarazem wrodzoną niechęć do nauk przyrodniczych i ścisłych. W każdej chwili chętnie się uciekał »do Biblii i do Nieba gwiaździstego« i jak umiał, składał dla siebie swą baśń ideału.

Mówią o nim, że jest smutny i to mię nie dziwi. Pogardza ludźmi, a jednak ciąży mu ich niechęć. Woła z goryczą: »Wielu mnie nienawidziło, a mało kto mię kochał (1866). Niema człowieka, któregoby tak niecierpiano jak mnie, od Garonny aż po Newę (1874)«. Wie, że nawet w Prusach przeklinanoby go, gdyby zwycięstwo nie było uwieńczyło jego zamiarów. »Niech nas tylko pobiją — mówił przed Sadową — a kobiety berlińskie zatłuką mię mokremi ścierkami«.

Na domiar nieszczęścia ten człowiek niesłychanie czynny przychodzi do wniosku, że w ogóle nie warto działać na tym świecie. Nie widzi nawet możliwego celu w życiu. »Niech się stanie wola Boska«, pisze w r. 1856. »Na tym padole płaczu wszystko jest tylko kwestyą czasu; rasy ludzkie i jednostki, szaleństwo i rozum, pokój i wojna, zjawiają się i przechodzą jak fale, a morze pozostaje niezmienione. Na ziemi nie ma nic, prócz obłudy i oszustwa. Prędzej czy później choroba albo kula zedrze z nas tę powłokę cielesną, a wówczas okaże się takie podobieństwo między Prusakiem i Austryakiem, że nie można będzie ich rozróżnić«.

Po upływie dwudziestu lat, w chwili uroczystego wzruszenia, trwoga i zgroza przed dziełem własnego życia zdjęły mu serce. Było to w Warcinie. O zmierzchu książe, jak zwykle siedział po obiedzie przed kominkiem w dużym salonie, gdzie wznosi się rzeźba Rauch’a: Zwycięstwo rozdające wieńce. Bismark w milczeniu rzucał od czasu do czasu szyszki do ognia i patrzył w jeden punkt; nagle zaczął się skarżyć na to, że cała działalność polityczna

przysporzyła mu mało zadowolenia, a jeszcze mniej przyjaciół. Nikt go nie kochał za jego czyny. Nie przyczynił się też do niczyjego szczęścia, ani swego własnego, ani swej rodziny.

Ktoś mu poddał, że stworzył szczęście wielkiego narodu.

»Tak; ale dla ilu ludów byłem sprawcą niedoli? Gdyby nie ja, nie byłoby trzech wielkich wojen, nie zginęłoby ośmdziesiąt tysięcy ludzi, nie okryliby się żałobą ojcowie, matki, bracia, siostry, wdowy. Sprawa to jest między mną, a Stwórcą — ale wszystkie moje dzieła przyniosły mi lichy plon radości«.

Nigdy Bismark nie był tak wielkim, jak tego wieczoru.

JULIUSZ LEMAITRE.

Juliusz Lemaitre ogłosił właśnie swe feljetony — felieton; forma bardziej zgodna brzmieniowo z franc. *feuilleton*, od którego pochodzi. dramatyczne p. t. »Wrażenia z teatru«. Czuć w nich pewną niewinność odczucia i niezwykłe doświadczenie rozumu. I że tak jest, jest dobrze: bo dobrze jest mieć serce naiwne, gdy myśl naiwną nie jest. Anioły, wcielenie czystości i słodyczy, napewno stworzyłyby marną literaturę, nie można sobie bowiem wyobrazić serafina, obdarzonego np. ironią filozoficzną.

Wobec spraw ludzkich Juliusz Lemaitre nie zawsze zachowuje powagę; można mu to jednak wybaczyć, tak czarującą jest jego wyobraźnia. Zdobywszy wszystkie godności, porzuca z ochotą biret doktorski, by tu i owdzie poswawolić jak student. Jest to jakby Fantasio, który łowi na wędkę najbardziej szanowane i uczone głowy. Mile to drażni, widzieć uczniowską swawolę połączoną razem z wielką erudycyą i z poetyckim talentem — rozkoszujemy się tem, jak rzadkiem bardzo widowiskiem. Pewna pedanterya cechuje zwykle umysły wybitniejsze; nie dziw więc, że stajemy oczarowani wobec człowieka wielce zasłużonego, który jednak posuwa swą naturalną prostotę prawie do bezczelności. Ile w tem zapomnienia siebie, ile szczerości i ile głębi zarazem!...

Najwięcej jednak pociąga u Lemaitre'a ów nieoczekiwany smutek, który go przejmuje na myśl o bezlitośnem okrucieństwe swej własnej drwiącej ironii, rozrzewnia się on wtedy nagle i niespodziewanie, bo w tej umysłowości ruchliwej, zmiennej, lekkiej a świetnej, znajdziemy wszystko, nawet melancholię — i to go czyni podobnym do jakiegoś Pucka-figlarza, który odbył poważne akademickie studya.

Juliusz Lemaitre — to umysł bardzo doświadczony i bardzo subtelny; jego miła przewrotność polega na tem, że wątpi on jawnie o wszystkiem. Do takiego to stanu doprowadziła go refleksya.

Myśl jest rzeczą straszną, i nie dziw, że ludzie instynktownie się jej boją. Ona to popchnęła Szatana do buntu, chociaż Szatan był jednym z synów Boga. Ona jest

kwasem, co roztwarza i przeżera świat; świat przestałby istnieć w tejże chwili, gdyby wszyscy ludzie zaczęli równocześnie myśleć. Ale o to nieszczęście niema obawy. Myśl jest największem złem, ale jest też i największem dobrem. Prawdą jest, że ona wszystko niszczy, lecz z równą słusznością można też twierdzić, że ona wszystko stwarza. Tylko myślą pojmujemy świat; gdy myśl nas poucza, że świat jest niepoznawalny, zdmuchuje tylko bańkę mydlaną, którą sama wydęła. Tem oto właśnie każdego poniedziałku zajmuje się J. Lemaitre z demonicznym wdziękiem. Mówi wszystko, a udaje, że nic nie powiedział. Zaprawdę upośledzony jest tem, że wszystko pojmuje. Jakąż stałby się »powagą«, gdyby był np. dwa razy mniej inteligentny! Ale niestety, widzi on odwrotną stronę każdego pojęcia, a to jest przenikliwość nie do wybaczenia. Umie pogodzić z sobą rzeczy zda się niemożliwe do pogodzenia; jego pięknej, ruchliwej duszy wrodzona jest głęboka filozofia Hegla: jeżeli napotyka wrogie sobie pojęcia, godzi je i łączy w bratnim uścisku. Potem rozstaje się z niemi bez żalu. Oczywiście tak czynić może tylko mądrość, a ta jest także błędem nie do przebaczenia. Jak w polityce, tak i w sztuce najwięcej w przyjaciołach swych cenimy stronniczość usposobienia i ciasnotę poglądów. Kto należy do stronnictwa, musi przedewszystkiem podzielać jego przesądy. Juliusz Lemaitre nie należy do żadnego obozu, myśl jego jest zupełnie niezależna. Uważam go za filozofa, oddanego kontemplacyi świata; teatrem zajął się niewątpliwie dlatego, że teatr jest dlań rodzajem mikrokosmu. W istocie teatr jest małym światem. Nie jest

że komedya np. szeregiem obrazów, powstałych z tajemnej głębi jednego umysłu?

Określenie takie mieści w sobie zarówno wszelki utwór dramatyczny, jak i cały kosmos nam dostępny. I tu i tam narzucają się nam obrazy; myśli kierującej nimi nie znamy — i tę musi nam ktoś wskazać. Filozof roztwiera przed nami boski plan świata; — krytyk skromniej tłumaczy nam np. dramatyczne plany pana Aleksandra Dumasa.

W swych fejletonach dramatycznych Lemaitre mówi także o teatrze — Franciszek Sarcey nie szczędzi mu za to pochwał. W tych studyach różnorodnych a zawsze nowych zajmuje się Lemaître jednak i wielu innemi sprawami, t. j. właściwie jedną jedyną: duszą ludzką. Do niej nawiązuje wszystko i na tem polega wielki urok tych utworów pisanych z dnia na dzień, a jednak swym nastrojem filozoficznym, niby nicią złotą, wiążących się w jedną całość. Juliusz Lemaitre nie jest doktrynerem, ale ma stałe przekonania moralne. Jego filozofia artystyczna jest gorzka i słodka zarazem, pobłażliwa i okrutna, ale przedewszystkiem dobra i mądra, jak pszczoła, która pokazuje swe żądło, gdy miód daje. Gdyby bez nienawiści można kochać, Lemaitre nie znałby nienawiści. Ale ta zmysłowo artystyczna natura nie wybacza brzydocie, że mąci radość życia; kocha ludzi i pragnie ich szczęścia; wierzy, że więcej jest cnót, niż podano w katechizmach. Jest on z tych, co nie pragną niczyjej zguby, nikomu źle nie życzą, a nie mając własnej wiary, współczują z wierzącymi. Ludzi takich zwiemy sceptykami: nie wierząc w nic, niczemu także nie przeczą; na równi z innymi podlegają

wszystkim złudzeniom zewnętrznego świata — są igraszką pozorów, i niekiedy czcza forma zewnętrzna sprawia im bolesne cierpienie. Daremnie spostrzegamy wciąż nicość życia: niekiedy kwiat jeden może nam ją zapełnić. Tak to właśnie Jul. Lemaître, to zmysłowiec, to asceta, igra ze sceną i tem złudzeniem złudzenia upaja się w teatrze. Ztamtąd rzuca nam swe przepyszne wrażenia, a te odbijając się we mnie dają mi rzeczywiście dziwną rozkosz.

Prawdziwie kocham teatr, gdy o nim mówi mi Lemaître: nauczył mię cenić Meilhac'a, tak jak bym tego sam nie potrafił zrobić, w dyalogach Gyp'a pomógł mi odszukać treść mistyczną i tajemną. Dał mi pojąć lepiej Corneille'a i Molière'a, gdyż nikt Lemaîtrowi nie dorówna w znajomości klassyków. On wreszcie odsłonił mi nowe strony geniuszu Racine'a, chociaż i sam znałem go dobrze. Choć nie jestem zarozumiały, poczytuję mu to wszystko za zasługę. Ale w tych szkicach najlepiej Lemaître daje poznać samego siebie: różne tu na siebie przybiera oblicza. Nie mam mu tego za złe; raczej chwalić go za to należy, w istocie bowiem krytyka tyle warta, co pisarz który ją daje: im bardziej jest osobista — tem więcej zajmująca.

Krytyka, tak jak filozofia i historya, jest rodzajem powieści, przeznaczonej dla umysłów wyrobionych i ciekawych, a każda powieść w gruncie rzeczy jest tylko autobiografią. Dobry krytyk opowiada przygody swej duszy, błądzącej wśród arcydzieł.

Zdaje się, że już poprzednio próbowałem wyjaśnić, że niema krytyki przedmiotowej tak samo, jak niema przedmiotowej sztuki; kto się chełpi, że daje w swych

działach coś więcej niż siebie, jest jedynie igraszką ułudnego rozumowania. W istocie nie możemy nigdy wyjść z samych siebie — i to jest jedno z największych naszych nieszczęść. Ileż dalibyśmy za to, by módz choć przez chwilę widzieć niebo i ziemię oczami muchy, lub ogarnąć świat pierwotnym, prostym mózgiem orangutanga! To jednak na zawsze nam niedostępne. Nie można być mężczyzną, a wspominać jak Teirezyasz, że się było kobietą; jesteśmy zamknięci w swej jaźni, jak w wiekuistem więzieniu. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko bez gniewu znieść tę smutną konieczność i uznać, że mówimy zawsze o sobie, ilekroć nie mamy dość siły, by milczeć.

Krytyka jest najpóźniejszą formą literacką i może w przyszłości wszystkie inne pochłonie. Odpowiada doskonale społeczeństwom wysoce kulturalnym, posiadającym bogate wspomnienia i dawną tradycyę. Jest ona najwłaściwszą sztuką dla ludzkości badawczej, mądrej i ogładzonej. Wymaga dla swego rozkwitu większego wyrobienia umysłów niż wszystkie inne formy literackie. Twórcami jej byli: Saint-Evremond, Bayle i Montesquieu. Źródła swe czerpie jednocześnie w filozofii i w historyi; dla swego rozwoju wymaga koniecznie absolutnej wolności umysłowej. Zastępuje teologię; czyż bowiem Sainte-Beuve nie był rzeczywiście Tomaszem z Aquino, doktorem uniwersalnym dziewiętnastego wieku?

GUSTAW FLAUBERT.

Było to jesienią 1873 roku. Szedłem do Flaubert'a bardzo wzruszony; nieśmiało, z ręką na sercu dzwoniłem do drzwi małego mieszkania, które zajmował wówczas przy ulicy Murilla. Sam mi otworzył. Póki życia nie widziałem podobnej postaci: wysokiego wzrostu, szeroki w ramionach, był to olbrzym, szumny i wybuchowy. Miał na sobie rodzaj opończy brązowej, istny płaszcz zbójecki; spodnie szerokie jak spodnica zakrywały mu nawet obcasy. Łysy a z zarostem, z czołem pełnem zmarszczek, o jasnych oczach — zdawać się mógł jednym z dawnych wodzów skandynawskich, których krew (nie bez domieszek jednak) płynęła w jego żyłach.

Ojciec jego pochodził z Szampanii, matka zaś — ze starej rodziny normandzkiej; Gustaw Flaubert był przedewszystkiem synem swej matki. W każdym calu był Normandem, nie tym Normandem lądowym, wassalem korony francuskiej, zwyrodniałym i spokojnym potomkiem współtowarzyszy Rolfa, nie mieszczuchem lub wieśniakiem, prokuratorem lub rolnikiem, a zawsze chciwym i przebiegłym, nie mówiącym wyraźnie ani tak, ani nie — on, Flaubert, był to Normand mórz, król bojów, dawny Duńczyk, przybyły drogą łabędzią, nie znający noclegu w chacie, ani puharów piwem pełnionych przy ognisku domowem, morderca księży i rozbójnik zamków i złotych kościołów, żeglarz i poeta, pijak niepohamowany, lecz zarazem wspaniałomyślny nawet w rozboju,

wielkoduszny z sercem pełnem mglistych bogów północy. Powierzchowność Flauberta nie zawodzi nas: takim on był istotnie — w swych marzeniach.

Podał mi piękną rękę wodza i artysty, przemówił kilka miłych słów i od tej chwili daną mi była radość: kochać człowieka, którego podziwiałem. Gustaw Flaubert był niezmiernie dobry; posiadał cudowną zdolność zapału i współczucia, dlatego właśnie był zawsze rozzłoszczony. Wszczynał bój co chwila, bo wciąż niby don Kichot, którego też bardzo cenił, miał jakąś krzywdę do pomszczenia. Gdyby don Kichot mniej kochał sprawiedliwość i piękno, gdyby mniej miał litości dla słabych, nie rozbiłby był pewnie głowy mulnikowi z Biskai i nie byłby rżnął niewinnych baranów. Szlachetne to były serca; sen swego życia śnili oni z bohaterską dumą, z której łatwiej jest szydzić, niż jej dorównać. Pięć minut zaledwie bawiłem u Flauberta, a mały jego salonik, wysłany wschodnim dywanem, ociekał już krwią dwudziestu tysięcy zakłutych filistrów. Przechadzając się wszerz i wzdłuż, ten dobry olbrzym miażdżył obcasami czaszki radców miejskich miasta Rouen.

Ręce obie zanurzał w trzewiach Saint-Marc Girardina, ćwiartował drgające członki Thiersa, który, o ile pamiętam, zawinił tem, że wyprowadził grenardyerów na pozycye rozmokłe od deszczów. Później, przechodząc nagle z wściekłości do zapału, Flaubert głosem silnym, lecz niedźwięcznym i jednostajnym jął deklamować początek dramatu Leconte de Lisle’a »Erynie«, który wystawiono właśnie w Odeonie. Strofy te w istocie były bardzo piękne,

i Flaubert słusznie je wychwalał. Ale zachwyt swój przeniósł też na aktorów: mówił z ogromną i gwałtowną serdecznością o pani Maryi Laurent, która w tym dramacie grała rolę Klitemnestry. Gdy mówił o niej, zdawało się, że pieści jakieś potworne zwierzę. Doszedłszy do aktora, grającego rolę Agamemnona, Flaubert wybuchnął. Aktor ten był stałym »powiernikiem« w tragedyach i zestarzał się grając swe skromne role. Był to człowiek zmęczony, przygnębiony, trapiony reumatyzmem; w grze jego odbijały się bardzo te fizyczne i moralne niedole. Bywały dnie, gdy ten biedny człowiek zaledwie mógł poruszać się na scenie. Ożenił się był niedawno wówczas z dozorczynią miejsc w widowni; miał nadzieję, że teraz wraz z nią wkrótce odpocznie na wsi, zdala od desek i kulis. Nazywał się — o ile pomnę — Laute; był cichy i pragnął jedynie spokoju, obiecanego na ziemi ludziom dobrej woli. Ale nasz zacny Flaubert był innego zdania: żądał, by poczciwiec Laute zdobywać teraz począł nową świetną karyerę.

— On jest kolosalny! — krzyczał Flaubert. To istny wódz barbarzyński, władca Argiwski; on jest archaiczny, przedhistoryczny, legendowy, homeryczny, epiczny! Ma uroczystą nieruchomość! Nie porusza się wcale... To jest wielkie! to cudowne! Wygląda jak posąg Dedala, ubrany przez dziewice. Czyś pan widział w Luwrze małą azyatycką płaskorzeźbę w stylu staro-greckim, znalezioną w Samotracyi i wyobrażającą Agamemnona, Tathybiosa i Epeusa z wypisanemi na boku imionami. Agamemnon siedzi na tronie (w kształcie X) u stóp dębu; brodę spiczastą i włosy skędzierzawione ma na modę assyryjską. Podobnież

i Tathybios. To są straszne postacie; mają rybi wyraz twarzy i zdają się pochodzić z bardzo dawnej epoki. Zda się, jakoby Laute wyszedł z tego głazu. On jest wspaniały, na Boga!

Do takiej przesady posuwał Flaubert gorący zapał. Całą poezyę Homera i Ajschylosa widział ucieleśnioną w postaci poczciwego Laute, zupełnie jak pomysłowy *hidalgo* Cervantesa upatrywał w zwykłym baranie nieustraszonego Brandabarbarana z Boliszy, władcę trzech Arabii, co zamiast pancerza miał skórę węża, a za tarczę pono bramę, którą Samson uniósł z Gazy. Jestem przekonany, że mylili się obaj, ale by módz tak się mylić, nie można być człowiekiem przeciętnym.

Ludzie głupi nie mają nigdy takich złudzeń. Zdawało mi się, że Flaubert szczerze żałuje, iż nie żył w czasach Agamemnona i wojny Trojańskiej. Wygłosiwszy hymny pochwalne na cześć tego bohaterskiego wieku i wogóle na cześć wszystkich epok barbarzyńskich, zasypywał zarzutami banalną jego zdaniem teraźniejszość. Tu rozumowanie jego wydaje mi się błędnem: koniec końców każda epoka jest banalna dla tych którzy w niej żyją; w jakimkolwiek czasie się urodzimy, nie możemy uniknąć wrażenia pewnej powszedniości, zawsze cechującej sprawy, wśród których stale się obracamy. Bieg życia był zawsze bardzo jednostajny i po wsze czasy ludzie nudzili się przestając z sobą. Barbarzyńcy, których życie było prostsze od naszego, nudzili się jeszcze więcej, niż my: to też zabijali i mordowali dla rozrywki. My mamy obecnie kluby, przyjęcia, książki, pisma, teatry — to wszystko bawi nas

nieco. Nasze rozrywki są bardziej urozmaicone. Flaubert, zdaje się, sądził, że starożytni sami odczuwali to wrażenie niezwykłości, którego nam dziś dostarczają. Jest to złudzenie nieco naiwne, ale bardzo naturalne. Flaubert w istocie nie był tak nieszczęśliwy, jak się zdawać mogło z pozoru. Pessymizm jego w każdym razie był nader szczególny: pessymista to był bowiem, ale pełen zapału dla wielu spraw ludzkich i przyrodzonych. Szekspir i Wschód wprawiał go w zachwyt. Nie żałuję go zatem, uważam go nawet za szczęśliwego, bo posiadł lepszą cząstkę tego świata: — umiał podziwiać.

Nie mówię o szczęściu, którego doznawać mógł, gdy w dzieła sztuki wcielał swój ideał literacki; nie umiem bowiem rozstrzygnąć, czy radość powodzenia dorówna w tym razie trudom i mękom tworzenia. Nierozwiązane to pytanie, kto doznał doskonalszego zadowolenia, czy Flaubert, pisząc ostatnie wiersze »Madame de Bovary«, czy majtek, o którym wspomina Maupassant, kiedy przytwierdzał ostatni maszt przy statku, zbudowanym w karafce z cierpliwością niesłychaną. Co do mnie, znałem tylko dwóch ludzi szczęśliwych ze swego dzieła: jeden z nich był to pułkownik, autor katalogu orderów; drugim był pewien woźny, który z korków sporządził mały model kościoła Św. Magdaleny. Arcydzieła pisze się nie dla własnego zadowolenia, lecz pod naciskiem nieubłaganej konieczności. Przekleństwo Ewy spada również i na Adama: mężczyzna też rodzi w bólu. Jeśli jednak gorzko jest tworzyć, za to słodko jest podziwiać, a tej słodyczy do syta doznał Flaubert; pił ją też pełnem gardłem. Podziwiał z

wściekłością, i zapał jego jest pełen szlochów, bluźnierstw, warczeń i zgrzytania zębów.

W »Listach«, których pierwszy tom dopiero co się pojawił, odnajduję Flaubert'a takim, jakim go widziałem przed czternastu laty w małym tureckim saloniku przy ulicy Murilla: szorstki jest i dobry, zapalony i pracowity, teoretyk mierny, pracownik wyśmienity a niezmiernie zacny człowiek.

Te wszystkie przymioty nie czynią zeń bynajmniej doskonałego kochanka, nic więc dziwnego, że najchłodniejsze listy z tego zbioru są to listy miłosne. Są one pisane do poetki, która wzbudzić też miała długotrwałą i gorącą miłość pewnego wymownego filozofa. Była to osoba piękna, jasnowłosa i zamiłowana w dysputach. Flaubert, gdy został wybrany przez tę muzę, miał już w dwudziestym trzecim roku życia zamiłowanie do pracy i wstręt do wszelkiego przymusu. Dodajmy do tego, że ten człowiek przez całe życie był niezdolny do najmniejszego kłamstwa, a zrozumiemy, że trudno mu było sadzić się na piękną korespondencyę. Mimo to, są tam i listy kunsztowne; przykładał się do nich tak pilnie, że doszedł aż do wcale porządnego zamętu. Oto co pisze np. w dniu 26 sierpnia 1846.

> Dla swego użytku przepołowiłem świat i siebie samego: z jednej strony zewnętrzność; tę chcę mieć różnostronną, barwną, harmonijną, niezmierzoną; jest ona dla mnie tylko widowiskiem, którem się napawam; z drugiej zaś strony — wewnętrzność, którą

zbieram, aby stała się gęstszą: do niej przez otwarte okno inteligencyi, pełnymi potokami wpuszczam czyste promienie myśli.

Taki styl nie leży w naturze Flauberta, znużył się nim wkrótce, zaczął więc pisać listy stylem jaśniejszym, ale ostrym a nawet nieco brutalnym. W rzadkich chwilach czułości mówi do ukochanej prawie tak, jak do dobrego psa: »Twoje dobre oczy, twój dobry nos«. Muza prawdopodobnie pragnęłaby wzbudzić bardziej poetyczne słowa.

Przytaczam list z dnia 14 grudnia, jako pyszny przykład szpetnego nastroju:

Zrobiono mi wczoraj małą operacyę na policzku z powodu wrzodu; twarz mam owiniętą płótnem i dostatecznie pokraczną. Niedość więc jeszcze, że rodzimy się i umieramy w zgniliźnie i obrzydliwości, ale i za życia prześladuje nas bezustannie, goni wytrwale rozkład ciała i zgnilizna. Dziś tracimy ząb, jutro włosy; tu rana się otwiera, tam tworzy się wrzód; kładą nam wizykatorye, to stawiają bańki. Dodajmy do tego odciski na nogach, złe odory naturalne, wydzieliny wszelkiego rodzaju i wyglądu, a będziemy mieli bardzo zachęcający obraz istoty ludzkiej. I taką całość kochamy! I kochamy siebie nawet — i ja, na przykład, śmiem oglądać się w lustrze, nie wybuchając śmiechem! Czyż sam widok pary starych butów niema w sobie jakiegoś głębokiego smutku, jakiejś gorzkiej

melancholii? Kiedy myślimy o wszystkich krokach, zrobionych w nich nie wiadomo dokąd, o wszystkich zdeptanych trawach, o błocie, gdzieśmy brnęli w tych butach, szeroko pęknięta skóra zdaje się wołać: »Dalej głupcze, kupuj sobie nowe buty świecące, połyskujące, pięknie skrzypiące, czeka je to samo, co mnie, a i ciebie kiedyś, gdy pobrukasz i zniszczysz dość przyszew i cholewek«.

Nie można mu przynajmniej zarzucić ckliwości. Wyznaje w dalszym ciągu, że ma »grubą skórę na sercu« i w istocie nie odczuwa pewnych subtelności. Ale natomiast ma znów kiedyindziej dziwnie niewinną słodycz. Zapewnia np. panią X. o dziewiczości swej duszy. Oto rzeczywiście wyznanie, które mogło istotnie wzruszyć sawantkę. Zresztą nie jest wcale zaślepiony w sobie i mówi otwarcie, że na grze miłości się nie zna. Istotnie zawsze godną pochwały jest jego szczerość. Żądają odeń, by przyrzekł wieczną miłość, on jednak wytrwale nic nie obiecuje. I w tem też jest to człowiek bardzo uczciwy.

Miał on bowiem w istocie rzeczy jedną tylko namiętność — literaturę. Możnaby słusznie umieścić na jego pomniku te słowa, które August Barbier zwraca do Michała Anioła: »Sztuka była twą jedyną miłością i zabrała ci całe życie«.

W dziewiątym roku życia pisał Flaubert do swego małego przyjaciela Ernesta Chevalier:

Napiszę powieści, które snują mi się po głowie, a mianowicie: »Piękna Andaluzyjka«, »Bal maskowy«,

»Cardenio«, »Dorota«, »Maurytanka«, »Ciekawy impertynent«, »Przezorny mąż«.

Już wtedy odgadł tajemnicę swego powołania i przez wszystkie dni życia szedł tą wskazaną drogą. Pracował jak wół. Jego cierpliwość, odwaga, dobra wiara, rzetelność, świecić będą zawsze przykładem. Autor to najsumienniejszy. Jego listy świadczą o szczerej, o nieustannej pracy. Oto co pisał w 1847 r.:

> Im dalej idę, tem trudniej mi pisać rzeczy najłatwiejsze i tem jaśniej widzę marność tych, które miałem za najlepsze. Na szczęście wciąż wzrasta mój zachwyt dla mistrzów, i to miażdżące porównanie nie przyprawia mię o rozpacz, lecz przeciwnie ożywia mój nieposkromiony zapał do pisania.
>
> Trzeba podziwiać, trzeba czcić tego człowieka; siłą woli, przez wytrwałą pracę i przez gorliwe dążenie do piękna wyzwolił swą twórczość z przyrodzonej ciężkości i niejasności, ciężko i mozolnie, w pocie czoła opracowywał wspaniałe dzieła — i sztuce poświęcił życie swe całe.

CZEMU NAM SMUTNO?

Piotr Loti wydał pamiętnik kilku tygodni, spędzonych w Japonii; jest to rzecz wyborna i nieskończenie smutna. Czy opisuje święte miasto Kioto, ze świątyniami zamieszkałemi przez odwieczne posągi potworne, czy ukazuje nam wyższe towarzystwo z Jeddo, przebrane po europejsku i tańczące nasze kadryle, czy mówi o cesarzowej Haru-Ko, pełnej tajemniczego, egzotycznego wdzięku: — Loti roztacza zawsze nieokreślny, subtelny i przenikliwy smutek, który nas ogarnia jak mgła i pozostawia na dnie duszy cierpką gorycz. Czemu jest tak znękany i czemu sam nas nęka? Co tak do głębi przejmuje go bólem życia? Może ta nużąca jednostajność kształtów i barw, którą dokoła siebie roztacza ów dziwny naród? Może ten wieczny uśmiech ładnych małych stworzonek, o skośnych oczach, tych *musmé* tak bardzo podobnych do siebie, z długiemi szpilkami we włosach, i z wielkim węzłem w pasie? Czy też nieuchwytna emanacya rasy żółtej, to coś niewytłomaczonego, co duszę japońską czyni tak obcą naszej duszy? Może smutno mu, bo czuje się osamotnionym wśród milionów istnień, albo dlatego może, że jest przechodniem tylko i znikając z oczu, zginąć musi dla wszystkiego co widział? Bez wątpienia, to wszystko potrosze miesza go i zasmuca. Niepokój go ogarnia na widok istot, które ludźmi będąc, nie są mu bliźnimi. Tęsknota uroczna i okrutna chwyta go wśród tylu dziwnych zjawisk, których znaczenie na zawsze dlań jest skryte.

Gdy w świątyni »ośmiu sztandarów« podziwia suknię, haftowaną w ptaki, którą przed ośmnastu wiekami nosiła

królowa, wojownicza Gzine-ju-Kojo, budzi się w nim bolesne pragnienie, by nasycić się całym bohaterskim urokiem tej nieuchwytnej mary; czuje się nieszczęśliwym, że nie może pochwycić w objęcia tego cudownego cienia. Są to zaiste cierpienia dość niepowszednie: ale Loti odczuwa je, a młode Japonki nie zdołały go pocieszyć. Od swej japońskiej kochanki żądał on czarów, których ona dać mu nie mogła. Miłostki europejczyka z temi małemi żółtemi istotami, na pół kobietami, na pół posążkami, nie mogą dostarczyć sercu kojącej radości. Są to niezbożne związki. Nie powtarza się bezkarnie zbrodni aniołów, którzy łączyli się z córami ziemi.

Niechęć ludzi białych do rasy żółtej jest wrodzona tak silnie, że potwornem prawie byłoby przeciw niej działać. A jednak jest w nas taka potrzeba sympatyi, tak chętnie przywiązujemy się i przyrastamy sercem, że niema rzeczy, którąbyśmy opuszczali bez bólu, a każdy odjazd bez powrotu napełnia nas goryczą. To wrażenie powstaje szybko i nieoczekiwanie — to też Loti najczęściej go doznaje. Jego duszę zmienną, niezdolną do długotrwałych wzruszeń, wstrząsają bezustannie drobne dreszcze, a te ciągłe wstrząśnienia krótkie i gwałtowne, podobne do drobnych twardych fal, które trwogę budzą w żeglarzach, — to jedna jeszcze przyczyna jego melancholii. Z jaką subtelnością odczuwa i opisuje on smutek odjazdu, ten smutek bez granic, streszczony w krótkich słowach: nie wrócę tu nigdy.

Oto np. w noc chłodną i ciemną, by dostać się do swego statku w przystani, zmuszony jest w drodze zatrzymać się

przez godzinę w małej nieznanej wiosce. Ujrzawszy na końcu ścieżki domostwo, wchodzi doń i zastaje piękną, bardzo gościnną *musmé*, która go częstuje ryżem i cygarami. I oto marzy:

> Okropny jest ten obiad!... Na ognisku dymią wstrętne szczapy i nie dają nic ciepła; palce mi tak zesztywniały, że nie mogę już w ręku utrzymać widelczyków. A wokoło nas, po za cienką papierową ścianką rozciąga się pustka tych pól uśpionych, milczących, tak lodowatych obecnie i ponurych. Ale obok mnie jest *musmé*, która usługuje mi z ukłonami markizy z czasów Ludwika XV; w uśmiechu mrużą się jej kocie oczy o długich rzęsach i wykrzywia się nosek już i tak zadarty — lubo mi patrzeć na nią...
>
> Jest ładna, bardzo młoda, a zwłaszcza niezwykle świeża i zdrowa; jest coś w jej spojrzeniu, co przyciąga mój wzrok, — i oto nagle rzucony jest urok na tę nędzną gospodę, w której upływa jej życie; prawie pragnąłbym tu zostać; nie czuję się tu już ani samotnym, ani wykolejonym; jakieś rozrzewnienie mię ogarnia. Zapomnę o niem za godzinę, — lecz jakże podobne ono do tego, co nazywamy miłością, tkliwością, uczuciem, co chcielibyśmy uważać za rzecz wzniosłą i wielką.

I za tą jedną chwilą osiada w nim żal. Jakże więc niema być śmiertelnie smutnym? Naskórek ma przedziwnie wrażliwy; — w głębi nie odczuwa nic. Wszystkie rozkosze

i cierpienia świata, jak bajadery przed swym radżą zawodzą koło niego krąg taneczny, a dusza jego jest wciąż pusta, ponura i obojętna. Do niej nic się nie przedarło. W takiem usposobieniu najlepiej pisać można dzieła, które przejąć mają czytelników. Chateaubriand bez swego wieczystego znudzenia, nie napisałby był »René'go«.

Jednocześnie z Lotiego: »Jesienią japońską«, Guy de Maupassant wydał zbiór nowel pod tytułem »Z lewej ręki«; ta nazwa tłomaczy rzecz samą. Nowele te są bardzo różne pod względem nastroju i formy. Nie wszystkie jednaką mają wartość, na wszystkich jednak znać rękę mistrza: jest tu pewność, siła, zwięzłość wyrażeń i to czujne panowanie nad sobą, które jest główną cechą talentu Maupassanta.

Gorączkowo czyta się ten tom — i zostaje po nim także uczucie smutku. Maupassant nie maluje, jak Loti melancholii zdarzeń, i zda się, nie razi go dysproporcya naszych sił, nadziei a rzeczywistości. Nie zna niepokoju, a mimo to obce mu jest wesele. Smutek jego jest prosty, surowy i łatwy do pojęcia. Ukazuje nam szpetność, brutalność, głupotę niezmierną, dziką przebiegłość ludzkiego zwierzęcia, i to właśnie nas wstrząsa. Postacie jego opowiadań są wogóle mało inteligentne, dość pospolite, ale strasznie prawdziwe. Jego kobiety ulegają instynktom, są naiwnie przewrotne, bardzo niepewne i przez to — są tragiczne. Działają pod wpływem popędów, słuchają jedynie niejasnych podszeptów krwi i ciała. Wyrafinowana paryżanka, jak pani Haggan (»Schadzka«), czy dzika dziewczyna jak Alluma (nowela pod tymże tytułem) — każda jest zarówno igraszką natury, i

nieświadoma sił, które nią kierują. Dlaczego pani Haggan zmienia kochanka? Bo nastała wiosna. Dlaczego Alluma uchodzi z pasterzem z południa? Bo zadęło sirocco.

> Jeden podmuch wystarcza! Czyż one wiedzą, nawet te najsubtelniejsze, te najbardziej złożone natury dlaczego postępują tak, a nie inaczej? Są jak chorągiewki, co się obracają na wietrze. Nieznaczny powiew poczyna kręcić strzałką żelazną, miedzianą, blaszaną lub drewnianą, — niedostrzeżony bodziec, nieuchwytne wrażenie poruszy i skłoni do postanowienia zmienne serce kobiety, czy to będzie mieszczka, czy chłopka, czy robotnica z przedmieścia, czy dzika na pustyni.
>
> Później, gdy pomyślą i zastanowią się, mogą odczuć, dlaczego tak mianowicie postąpiły; ale na razie nie znają przyczyn swych czynów, bo są igraszką wrażliwości, bo są płochemi niewolnicami przypadku, środowiska, wzruszeń swych, spotkań i wszystkich podrażnień, od których drży ich dusza i ciało! (Str. 62).

Taki jest pogląd jednego z bohaterów Maupassanta i zdaje się, że jest to też zdanie samego autora. Nie ma w tem nic nowego; już dziadowie nasi znali ułomność kobiet, — ale na tem tle układali facecye i anegdoty. Musiało się tu coś zmienić, skoro my zawodzimy nad tem, co ich tak śmieszyło.

Jesteśmy czulsi, subtelniejsi, skłonniejsi do samoudręczeń, wprawniejsi w cierpieniach. Zdobiąc swe

rozkosze, zarazem zaostrzyliśmy swe bóle. I oto dlaczego Maupassant nie opowiada anegdot, lecz smutne nad wyraz opowieści.

Nie pochlebiajmy sobie, że wynaleźliśmy sami choć jedno z naszych cierpień. Od dawien dawna ksiądz przystępując do ołtarza, szepce: »Czemu smutna jesteś duszo moja, i czemu mię niepokoisz?« Od dnia stworzenia idzie przez świat pątnica z zasłoniętem obliczem: Melancholia. Ale oddajmy i sobie samym sprawiedliwość. Niewątpliwie wzmogliśmy nieco żałobę duszy i do powszechnego skarbu moralnej niedoli wnieśliśmy i my swój udział.

Wspominałem wam już o starej biblii z rycinami, którą dzieckiem będąc podziwiałem wieczorami przy rodzinnym stole w łagodnem świetle spokojnie płonącej lampy. W biblii był rysunek raju ziemskiego, zupełnie podobny do krajobrazu holandzkiego. Na wzgórzach rosły dęby, pogięte przez wiatry morskie; łąki, zadziwiająco drenowane przecięte były rzędami pustych wierzb. Drzewem wiadomości złego i dobrego była jabłoń o omszonych gałęziach.

Wszystko to zachwycało mię niezmiernie. Nie rozumiałem tylko, dlaczego Bóg zabronił poczciwej flamandce, Ewie, zrywać owoce z drzewa, które dostarczać miało przecie pięknych wiadomości. Teraz rozumiem to i skłonny jestem wierzyć, że Bóg z tej starej biblii mojej miał racyę. Ten dobry starzec, miłośnik ogrodów, mówił sobie zapewne: »Wiedza nie daje szczęścia, ludzie, gdy dobrze znać będą historyę i geografię, posmutnieją«. I nie mylił się

wcale. Jeźli przypadkiem żyje jeszcze, musi sobie powinszować tej przenikliwości. Spożyliśmy owoce z drzewa wiadomości i pozostał nam w ustach smak popiołu. Zwiedziliśmy ziemię, poznaliśmy ludzi czarnych, czerwonych i żółtych, — i oto odkryliśmy z przerażeniem, że ludzkość jest bardziej rozmaita, niż przypuszczaliśmy, znaleźliśmy się wobec dziwnych braci, których dusza nie mniej się różni od naszej, niż dusza zwierzęcia. I zaczęliśmy się zastanawiać: czem-że jest ludzkość, jeśli stosownie do klimatu ma różną postać, różną duszę i bogów. Dopóki z ziemi całej znaliśmy jedynie pola, które nas żywiły, ziemia wydawała się nam wielką; poznaliśmy jej miejsce w wszechświecie, i oto wiemy, że jest drobna. Dowiedzieliśmy się, że jest ona tylko grudką błota i to nas upokorzyło. Musieliśmy uwierzyć, że przejawy życia i inteligencyi są nieskończenie liczniejsze, niż przypuszczano dawniej: że istoty myślące istnieją zapewne na wszystkich planetach, na wszystkich światach. I pojęliśmy, że rozum nasz jest nędzny i marny. Życie samo w sobie nie jest ani długie, ani krótkie; ludzie prości, mierząc według przeciętnego trwania życia, słusznie mówią, że kto siwy umiera, przeżył dość długo. Myśmy postąpili inaczej. Chcieliśmy odgadnąć wiek niepamiętny ziemi i słońca, — i oto życie ludzkie zestawiamy z okresami geologicznymi i z wiekami kosmicznymi — więc wydaje się nam w tem zestawieniu śmiesznie krótkiem. Pogrążeni w oceanie czasu i przestrzeni, ujrzeliśmy, że jesteśmy niczem, i to nas strapiło. Duma nie pozwoliła nam się do tego przyznać, ale zbledliśmy od tej myśli. Największe zaś zło — (stary

siwobrody ogrodnik z starej mojej biblii przewidział to niewątpliwie) — największe zło w tem, że z dawną nieświadomością zniknęła też wiara. Nie mamy żadnych nadziei i nie wierzymy już w to, co pocieszało naszych ojców. To boli nas najwięcej, bo nawet w piekło wierzyć było słodko. Nakoniec dla dopełnienia miary, materyalne warunki życia cięższe są, niż kiedykolwiek. Społeczeństwo teraźniejsze uprawnia do wszelkich nadziei i przez to wszystkie podnieca siły. Walka o byt dziś zacieklejsza niż kiedykolwiek, zwycięstwo — zuchwalsze, porażka — bardziej nieubłagana. Razem z wiarą i nadzieją zatraciliśmy miłosierdzie; te trzy cnoty, co jak trzy łodzie, z obrazem boskiej dziewicy na dzióbie wiozły dusze przez ocean życia — te trzy cnoty zatonęły w jednej zawierusze. Kto nam da nową wiarę, nową nadzieję i miłość?

GUY DE MAUPASSANT
Krytyk i powieściopisarz.

Guy de Maupassant zawarł w jednym tomie trzydziestostronicową rozprawę estetyczną i nową powieść. Nie zadziwi nikogo, gdy powiem, że powieść jest dziełem wielkiej wartości. Rozprawa zaś jest taka, jakiej należało oczekiwać od umysłu stanowczego i praktycznego, który skłonny jest kwestye oderwane uważać za bardziej proste,

niż są w rzeczywistości. Wśród pięknych myśli i najlepszych zamiarów odnajdujemy tu jakąś niewinną dążność, by rzeczy względne brać za pewniki. Maupassant daje teoryę powieści: tak zapewne lew wykładałby teoryę odwagi, gdyby umiał mówić. Zasada jego, jeśli się nie mylę, jest mniej więcej następująca: napisać dobrą powieść można na różne sposoby, ale oceniać ją można tylko sposobem jednym. Kto tworzy, jest człowiekiem wolnym; ten, kto krytykuje — jest helotą. Maupassant jest jednako przejęty prawdziwością obu tych twierdzeń. Według niego, niema żadnej reguły jak tworzyć dzieło oryginalne; natomiast są prawidła, jak je sądzić. I są to prawidła stałe i niezbędne. »Krytyk — mówi on — powinien oceniać dzieło tylko wedle zawartych w niem usiłowań«. Krytyk powinien »odnaleźć choćby najdrobniejsze podobieństwa do dawniejszych powieści«. Nie ma mieć żadnych »doktryn akademickich«; nie ma »troszczyć się o tendencyę«, a jednak ma »rozumieć, odróżnić i wyjaśnić wszystkie najsprzeczniejsze usiłowania i krańcowe indywidualności«. Ma jeszcze... Czegóż to on wreszcie czynić nie ma... Powtarzam, że istny to niewolnik. Wolno mu być niewolnikiem cierpliwym, stoikiem, jak Epiktet, ale nie będzie on nigdy wolnym obywatelem literackiej rzeczypospolitej. Ależ mylę się, pisząc, że jeśli będzie łagodny i dobry, spotka go los Epikteta, co »żył biedny i kaleki, lecz był miły bogom nieśmiertelnym«. Wszakże ten mędrzec zachował w niewoli skarb najdroższy — wolność wewnętrzną swego ducha.

A tę swobodę właśnie Maupassant odbiera krytykom;

chce ich zupełnie pozbawić odczucia. Rozumieć muszą wszystko; odczuwać nie wolno im nic. Nie mają oni znać ani zamętu zmysłów, ani wzruszeń serca; odarci z pragnień, wieść będą życie smutniejsze od śmierci. — Świadomość obowiązku jest niekiedy straszna; trwoży nas bezustannie trudami, niejasnością i sprzecznościami, które pociąga za sobą. Doświadczyłem tego w najrozmaitszych okolicznościach, ale dopiero słuchając poleceń Maupassanta, poznałem całą srogość praw moralnych.

Nigdy obowiązek nie wydał mi się równie trudnym, niejasnym i równie sprzecznym w sobie. I rzeczywiście, jakże trudno ocenić usiłowania autora, a nie baczyć zarazem, ku czemu zmierzają. W jaki sposób poprzeć nowe dążności, gdy się chce zachować jednakową miarę i dla tych, co idą nowemi drogami, i dla tych, co hołdują starym tradycyom? Jak poznać, a jednocześnie nie dbać o zamiary artystów? I jakiż to ciężar wyłącznie rozumowo oceniać dzieła, płynące jedynie z uczucia? A tego właśnie żąda odemnie mistrz, którego podziwiam i którego kocham. Czuję, że tego doprawdy zanadto i że nie można tyle wymagać od istoty człowieka i krytyka w jednej osobie. Przytłaczają mię te zadania — i jednocześnie — nie śmiem wyznać — jednocześnie podnoszą. Jak ów chrześcijanin, któremu Bóg nakazał prace miłosierdzia, czyny pokutne i zaparcie się siebie, mam ochotę zawołać: »Muszę być coś wart, skoro tyle odemnie wymagają«. Ta sama ręka, co mię poniżała, podnosi mię razem. Gdybym miał wierzyć swemu uczonemu mistrzowi... zaiste ziarna prawdy spoczywają w mej duszy. Gdy serce moje napełni się gorliwością i pokorą,

odróżnić potrafię w piśmiennictwie dobro od zła i oto będę krytyk dobry. Ale ta duma opuszcza mię równie prędko, jak powstała. Maupassant schlebia mi tylko. Znam własną i mych towarzyszy nieuniknioną słabość: zawsze dla poznania dzieł sztuki mieć będziemy tylko uczucie i rozum, t. j. najmniej bodaj dokładne przyrządy na świecie. I dlatego nie osiągniemy nigdy wyników pewnych, a krytyka nasza nie wzniesie się nigdy do surowego majestatu wiedzy. Niepewność będzie zawsze jej żywiołem. Prawa jej nie będą stałe, sądy nie będą ostateczne. Zasadniczo w tem różna od sprawiedliwości, mało przyniesie szkody i mało korzyści, jeżeli jednak małą korzyścią jest zająć na chwilę umysły subtelne i ciekawe.

Pozwólcie więc krytyce być wolną, choćby dla tego, że jest niewinna. Ma ona przecież pewne prawo do tych swobód, których jej tak zazdrośnie odmawiamy, a które ze słuszną wyrozumiałością przyznajemy t. zw. utworom oryginalnym. Nie jest że krytyka, jak i one, córą wyobraźni? Nie jest że ona do pewnego stopnia dziełem sztuki? Mówię o tem z zupełną obojętnością, gdyż z usposobienia nie przywiązuję wagi do dzieł tego świata i skłonny jestem każdego wieczora pytać wraz z Eklezyastą: »I cóż ma człowiek ze swych trudów«? Zresztą właściwie nie piszę wcale krytyk, a to już także powód, bym był bezstronny; a miałbym może do tego i inne ważniejsze.

A zatem bez złudzeń co do bezwzględnej prawdy wyrażanych przez krytykę poglądów, uważam ją za najznamienniejszą cechę epok prawdziwie intellektualnych; uważam ją za zaszczytną oznakę społeczeństwa

wykształconego, wolnomyślnego i ogładzonego. Uważam ją za jedną z najszlachetniejszych odrośli, ozdabiających w późnym okresie nikłe drzewo sztuki literackiej.

A teraz może Guy de Maupassant pozwoli, bym odstąpiwszy od jego przepisów powiedział, że nowa jego powieść »Piotr i Jan« jest utworem bardzo niepowszednim i zdradza potężny talent. Nie jest to właściwie powieść naturalistyczna, — i autor wie o tem dobrze: ma on odwagę swych czynów. W tym przypadku — a to już nie po raz pierwszy — wychodzi z pierwszej lepszej hipotezy. Powiedział sobie tak: Jeżeli jakiś fakt miał miejsce w pewnych warunkach, co z niego wyniknie? Punkt wyjścia w powieści »Piotr i Jan« jest tak niezwykły, a przynajmniej tak wyjątkowy, że tu obserwacyą nie możnaby zapewne poznać jego następstw. Chcąc je wykryć, trzeba się uciec do rozumowań i dedukcyj. Tak też postąpił Guy de Maupassant: na wzór dyabła mistrzem jest w logice. I oto co wymyślił:

Piękna i uczciwa pani Roland, żona poczciwego, ale bardzo pospolitego jubilera z ulicy Montmarte i matka jedynego synka odczuwa nadto boleśnie pustkę swego ciasnego życia. Człowiek nieznajomy, który przypadkowo zaszedł do sklepu po sprawunek, pokochał ją i ujął ją swem wyznaniem. Był to pan Maréchal, urzędnik rządowy. Czując i odgadując jego ostrożną tkliwość, pani Roland odpowiedziała miłością i oddaniem. Wkrótce miała drugiego syna; jubiler i to dziecko uważał za swoje, ale matka wiedziała dobrze, że zrodziło się ono ze szczęśliwszego związku. Głęboka skłonność serc wiązała tę

kobietę z jej kochankiem; ich stosunek tajemny był słodki i długotrwały. Zerwanie nastąpiło dopiero wówczas, gdy jubiler zwinął sklep i z żoną już starzejącą się i z dziećmi dorastającemi przeniósł się do Havru. Tam pani Roland w spokoju i ciszy żyła wspomnieniami, które nie miały w sobie nic goryczy, bo pono tylko po grzechach przeciw miłości gorycz pozostaje. Mając lat czterdzieści ośm, mogła z rozkoszą wspominać o stosunku, który dodał tyle uroku jej życiu, a nie naraził jednak na szwank jej czci, jako żony i matki rodziny. Wtem nagle przychodzi wiadomość o śmierci Maréchala, który spadkobiercą swym mianował młodszego syna Rolanda.

Taka jest sytuacya, takie przypuszczenie zkąd autor opowieść swą poczyna. Czyż nie miałem racyi twierdząc, że sytuacya to niezwykła? Maréchal za życia okazywał obu małym Rolandom jednakie przywiązanie; zapewne w głębi serca nie mógł kochać ich jednakowo, — nie dziwna, że przekładał tego, który był jego synem. Czuł jednak, że nie wolno mu okazywać tej różnicy w uczuciu; jakże więc nie rozumiał, iż uczucie to będzie jeszcze więcej kompromitujące, skoro nagle po jego śmierci objawi się w uroczystym zapisie? Czyż nie pojął, że darząc młodszego syna, naraża na podejrzenie dobrą sławę matki? Zresztą najprostsza delikatność powinna mu była poddać jednakowe objawy przywiązania dla obu braci, gdyż obaj zarówno byli dziećmi kobiety, która go kochała.

Mniejsza o to! Testament pana Maréchal jest faktem. Fakt ten nie jest zupełnie nieprawdopodobny; można, a nawet należy go uznać. Jakież będą jego konsekwencye?

Powieść od początku do końca jest napisana po to, by odpowiedzieć na to pytanie. Aż nadto wymowny zapis kochanka nie nasuwa żadnego podejrzenia staremu mężowi, bardzo prostodusznemu osobnikowi, który po za biżuteryą i łowieniem ryb na wędkę o niczem na świecie nie myślał i nad niczem się nie zastanawiał. Ten to odrazu bez trudów doszedł szczytów mądrości! Gdy trwał stosunek z Maréchalem, pani Roland, osoba wcale nieprzebiegła, mogła męża zdradzać, nie kłamiąc nawet — z tej więc strony nie ma się ona czego obawiać. Młodszy syn, Jan również za rzecz bardzo naturalną uważa zapis, z którego korzysta. Jest to chłopiec spokojny i bardzo przeciętny. Zresztą, gdy los nas wyróżnia, nie trapimy się zwykle pytaniem — dlaczego? Ale starszy, Piotr nie tak łatwo godzi się z krzywdzącem go rozporządzeniem. Rzecz cała zda mu się conajmniej dziwną. Po pierwszych lepszych gadaninach słyszanych na mieście, wszystko zdaje mu się już dwuznacznem.

Autor dał Piotrowi duszę uczciwą, ale twardą, zawistną, skłonną do udręczeń. Gdy podejrzenia zakradły mu się do głowy, nie ma już dlań spoczynku. Chcąc je rozprószyć, zbiera ciągle poszlaki nowe; urządza wreszcie istne śledztwo — gromadzi poszlaki, zestawia dowody; niepokoi, przeraża i męczy biedną swą matkę, którą przecież ubóstwia. W rozpaczy nad utraconą swą wiarą, nad swem uwielbieniem zawiedzionem, nie oszczędza matce pogardy, i zdradza bratu zrodzonemu w cudzołostwie tajemnicę, którą zdobył i którą powinien był ukryć. Postępowanie jego jest potworne i okrutne, ale logicznie wynika z jego

charakteru. Słyszałem takie zdania: »Gdy już zawinił, sądząc własną matkę, powinien przynajmniej ją usprawiedliwić, wie on przecież, co wart jest stary Roland i jaki on bałwan«. — To prawda, gdyby jednak Piotr nie był przyzwyczajony pogardzać ojcem, nie stałby się sędzią swej matki. A zresztą jest młody i cierpi, a te dwie przyczyny tłómaczą jego bezlitosność. — Jakież jest rozwiązanie? — zapytacie pewnie. — Niema go wcale; taka sytuacya rozwiązania mieć nie może.

Prawda nakazuje stwierdzić, że Maupassant rozwinął ten niewdzięczny temat pewną ręką artysty, który doskonale włada swem tworzeniem. Siłę, giętkość, miarę artystyczną — wszystko ma ten pisarz jędrny i wspaniały. Znać w nim moc czynną bez wysiłku. Artyzm jego jest skończony. Nie nastawajmy dłużej. Analizowanie utworów nie jest mojem zadaniem: będę się czuł zupełnie zadowolony, jeżelim tylko wzbudził w czytelnikach szlachetną ciekawość; muszę jednak powiedzieć, że Maupassant po nad wszelkie pochwały świetnie odmalował postać biednej kobiety, okrutnie pokutującej za swe szczęście, tak długo bezkarne.

Szybko rzucanymi i wytwornymi rysami, oddał nieco pospolity, ale nie pozbawiony uroku wdzięk tej »tkliwej duszy kasyerki«. Subtelnie a bez ironii przedstawił kontrast wielkiego uczucia a drobnych warunków bytu. O języku Maupassant’a to tylko powiedzieć mogę, że jest to język prawdziwie francuski — piękniejszej pochwały bowiem znaleźć nie umiem...

NASZE SERCE.

Maupassant ma słuszność: wierzenia, idee, zwyczaje, uczucia, — wszystko się zmienia. Każde pokolenie wnosi nowe mody i namiętności nowe, a ta nieustająca przemiana form i myśli jest wielką zabawą, ale i wielkim smutkiem życia.

Maupassant ma racyę: co było, nie jest już i nigdy więcej nie będzie; w tem kryje się potężny czar przeszłości. Maupassant ma słuszność. Co lat kilkadziesiąt mężczyźni i kobiety w inny sposób odczuwają miłość i życie i znajdują w nich coś dotąd niezaznanego. Prababki nasze były romantyczne: wyobraźnia ich lubowała się w namiętnościach tragicznych. Był to czas, gdy kobiety nosiły angielskie loki i bufiaste rękawy — i takiemi też je kochano. Mężczyźni nosili zawadyackie fryzury, mieli specyalny sposób zaczesywania, a raczej rozwichrzania włosów, i to nadawało im pozór rycerzy, błądzących po szczytach gór, po skałach nadbrzeżnych, i zawsze gotowych, jak Chateaubriand, stawić czoło burzom namiętności i nawałnicom, unoszącym państwa. Niemało zyskiwała na tem godność ludzka. Za Napoleona III obyczaje stały się luźniejsze, fizyognomie nawet — pospolitsze. Za czasów nieboszczki krynoliny, kobiety porwane wirem zabaw, chodziły z balu na bal, z kolacyjki

na kolacyjkę, żyły pospiesznie, kochały pospiesznie, i jak p. Benoiton nigdy nie bywały w domu. Po skończonej orgii zabaw niejedna z tych kobiet koiła morfiną żal za znikającą młodością i wdziękami; mało która miała rzadki talent zestarzeć się z godnością, zakończyć życie na wzór matron dawnych, które w końcu cnotliwe, a zawsze zalotne, pod skromną koronką zarzutki ukrywały szczątki swej piękności, resztki swego wdzięku, i zdala łagodnym uśmiechem witały młodzież, w której widziały wcielenie swych wspomnień. Dwadzieścia lat minęło od pięknych czasów p. Benoiton: nowe uczucia powstały w ludziach nowych. Obecne pokolenie na swój sposób czuje, rozumie, kocha i pragnie; ma swój kształt własny, ducha własnego, który rozpoznać i określić trudno.

Trzeba mieć dużo zmysłu obserwacyjnego, rodzaj instynktu, by uchwycić charakter epoki, w której się żyje, by wśród licznych zawikłanych szczegółów odnaleść rysy zasadnicze, formy typowe. Maupassant'owi lepiej niż komukolwiek udać się to może, bo ma oko spostrzegawcze i intuicyę pewną, ma prostotę i przenikliwość. W nowym swym romansie przedstawia nam mężczyznę i kobietę współczesną (1890), daje nam obraz miłości, odwiecznej miłości, pierworodnego dziecięcia bogów, w dzisiejszych jej kształtach, w ostatniej jej metamorfozie.

Jeśli malowidło prawdziwe, jeśli artysta dobrze swój wzór skopiował, to trzeba przyznać, że paryżanka dzisiejsza niezdolna jest wznieść się do wyżyn silnej namiętności i prawdziwego uczucia.

Michalina de Burne, tak ponętna w swej złotej aureoli, z

drobnym subtelnym noskiem, ze spojrzeniem, przywodzącem na myśl omdlałe kwiaty, jest prawdziwie światową kobietą. Ma zamiłowanie do sztuk, o ile te zbytkowi dodają wdzięku, uroku — jej piękności, i czynią ją wszechwładną panią ludzi wyrafinowanych. Pod tak modnymi obecnie pozorami swobodnego zachowania i minami łobuza, ukrywa instynkt dzikiego, przebiegłość indyanina, czem tak niebezpieczne są kobiety, to jest te prawdziwe kobiety, dla których piękność jest bronią. Po za tem umysł mierny, nieodczuwający rzeczy prawdziwie wzniosłych, istota ciągle zajęta błahostkami, lekkomyślna, pusta i wiecznie znudzona.

Jest wdową, ojciec pomaga jej urządzać zabawy i przyjęcia, te, o których piszą w gazetach. Ten ojciec, to także typ nowy — nie żąda zbytniego szacunku od córki, kocha ją jak amator z przymieszką odrobiny zmysłowości i zazdrości; bardzo *correct* zresztą, ale ojcostwo traktuje — mocno po dyletancku.

Pani de Burne w swej wspaniałej willi przy ulicy Generała Foy, przyjmuje muzyków, literatów, malarzy, dyplomatów, finansistów — słowem zwykłe towarzystwo wykwintnego salonu. W dzisiejszych czasach ludzie z talentem wszędzie są mile widziani — o ile zdołali już zdobyć sławę. Z biegiem lat coraz bardziej przekonywamy się, że najrzadszą odwagą jest myśleć; świat sądzi, że daje wielki dowód śmiałości, popierając sławy już uznane. Pani de Burne ma swego pisarza-naturalistę, którego dzieła rozchodzą się w tysiącach egzemplarzy, i swego muzyka, którego opera daną była naprzód w Brukselli, a potem w

Paryżu. Przed stu laty byłaby trzymała sobie papugę i filozofa.

Salon jej jest bardzo wykwintny, *select*, jak mówią dzienniki; p. de Burne, która lubi być uwielbiana, po kolei pozwalała się kochać wszystkim swym gościom, wszyscy przechodzili kryzys miłosny. Potrafiła jednak utrzymać na przyjacielskiej stopie całą świtę swych wielbicieli, bo nikogo nad innych nie wyróżniała. Ale nowy przybysz, Andrzej Mariolle, na którego właśnie przypadła kolej kochania pięknej wdowy, wyznaje jej swą miłość i naprowadza p. de Burne na myśl, że może i dobrze byłoby uczucie to odwzajemnić, więc bez ociągania oddaje mu się wspaniałomyślnie. Ta kobietka ma śmiałość i zacięcie, ale nie jest stworzona do kochania. Andrzej Mariolle bardzo prędko spostrzega, jak obojętna i roztargniona jest w miłości; cierpi nad tem, bo sam kocha prawdziwie i pragnie posiadać ją w zupełności. Po roku daremnych prób, by istotnie przykuć ją do siebie, zniechęcony, zrozpaczony, zrywa ten związek i wyjeżdża; niezbyt daleko jednak — do Fontainebleau tylko, gdzie młoda pokojówka zajazdu przekonywa go natychmiast, że nie wszystkie kobiety mają w miłości wykwintną obojętność p. de Burne. Oto cały romans; jest on okrutny, ale jam temu nie winien. Niektórzy z mych czytelników, ci, na których sympatyi najwięcej może mi zależy, z łagodnym wyrzutem nieraz się użalają, że im nic budującego nie daję, że nie mam słów dla smutnych pocieszenia, wiernych zbudowania i grzesznych zbawienia.

Nie należy winić mnie za to, że tyle goryczy i smutku

ukazywać im muszę. Myśl współczesna bo jest dziwnie cierpka: literatura nasza nie wierzy już w dobro. Czy to w utworach marzyciela Lotiego, czy intellektualisty Bourgeta, czy zmysłowca Maupassanta, na różne tony dźwięczy ta sama smutna nuta rozczarowania. Niema już owych Clelij i Mandan, cnotą zwyciężających słabości ducha i zmysłów. Sztuka XVII. wieku wierzyła w cnotę, przynajmniej aż do Racine'a, najśmielszego, najprawdziwszego i może pod pewnymi względami najniemoralniejszego z naturalistów. W wieku XVIII. sztuka wierzyła w rozum. Wiek XIX z Chateaubriand'em, George Sand'em i romantykami wierzył z początku w namiętność, obecnie wraz z naturalistami wierzy tylko w istynkt.

Na fatalizmie przyrody, na determinizmie powszechnym zasadzają najwięksi nasi powieściopisarze rdzeń myślowy i akcyę swych utworów; jedynie Alfons Daudet zdaje się niekiedy przyznawać rodzaj opatrzności wszechświatowej, imperatyw kategoryczny, coś, co przyjaciel jego, Gambetta, nieco radykalnie nazywał wewnętrzną sprawiedliwością rzeczy. Inni są najczystszej wody sensualistami, głęboko smutni tym bezdennym epikurejskim smutkiem, wobec którego smutek człowieka wierzącego jest prawie radością. Jest to fakt i muszę go rad nie rad, zaznaczyć, tak, jak mnich Raul Glaber notował w swej kronice głody i zarazy swego strasznego stulecia.

Maupassant nigdy nam nie schlebiał, bez skrupułu gwałcił nasz optymizm, ranił nasze marzenia o ideale. A czynił to z taką szczerością i prostotą, że zbytnio nie miało się doń żalu. Nie rezonuje, nie przekomarza się w

subtelnościach, ma taki potężny talent, taką pewność ręki, taką śmiałość, że trzeba godzić się na wszystko, co mówi i czyni. Z umysłu, czy bezwiednie w tej ostatniej powieści przedstawił i sam siebie, bo niepodobna nie poznać autora *Bel Ami* w tym Gastonie de Lamarthe, obdarzonym dwoma bardzo prostymi zmysłami: dokładnem widzeniem form i instynktowną intuicyą skrytych przyczyn. Portret Gastona de Lamarthe, czyż nie jest w każdym rysie wizerunkiem Maupassanta?

> »Gaston de Lamarthe był przedewszystkiem pisarzem, nielitościwym, okrutnym pisarzem; jego spostrzegawczy wzrok chwytał obrazy, pozy, ruchy, z dokładnością i szybkością aparatu fotograficznego. Posiadając niezwykłą przenikliwość i obdarzony, jak wyżeł węchem, tym specyalnym zmysłem pisarskim, od rana do nocy zbierał i notował spostrzeżenia zawodowe«.

Z tem wszystkiem jednak, czy Michalina de Burne jest tem, czem autor chciał ją uczynić, czy jest typem kobiety współczesnej? Przyznaję, że jest kobietą nową przez swe tualety, graciki, zegar umieszczony w karetce, — choć np. w podobnej powieści Bourgeta bohaterka zegarek swój specyalnie sprowadza z Anglii, — przez to, że ubiera się w magazynie D... jak aktorki z Gymnase i damy z plutokracyi. Nie śmiem odmawiać oryginalności jej przepaskom z gwoździków, girlandom niezapominajek i trzem storczykom u gorsu, które świadczą raczej o guście papużki

z południowej Ameryki, niż o zalotności kobiety, zrodzonej na brzegu Sekwany »w prawdziwym kraju chwały«. Ale to są kwestye bardzo trudne, na których znam się daleko mniej, niż na spoistości i barwie stylu. Widzę — i jest to punkt ważny — że przez te swoje »upstrzone« suknie, w których się więzi, przez te suknie »chronicielki zazdrosne, tamy kunsztowne i zalotne«, w które się ubiera nawet idąc na schadzki, p. de Burne przypommina Paulette Gyp'a i ową p. d'Houbly, której suknia zapinała się na 60 guzików, nie licząc haftek. I jestem naprawdę przekonany, że p. de Burne jest kobietą bardzo *nową* i bardzo od natury daleką. Jest też bardzo nowa, przez rodzaj swego umysłu, swój wyraz twarzy, przez to coś, czego określić nie umiem, a co właściwie jest wszystkiem.

I zgadzam się, że jest typem kobiety nowej, jakiemi są teraz wszystkie one, a jakich, dodajmy, jest bardzo mało; jest typem kobiety, którą wytworzyło próżniactwo, bezczynność, przesyt — te zaś są mniejszością tak znikomą, że liczebnie nie mogą być brane w rachubę, choć one tylko są widoczne, błyszcząc na powierzchni społecznej, jak lekka, srebrzysta pianka. One są połyskującym bryzgiem na szczycie głębokich fal ludzkości. Ich zadaniem błahem a potrzebnem jest tylko — być na widowni. Dla nich istnieją niezliczone wyroby przemysłu, kwiat pracy ludzkiej, dla podniesienia ich wdzięku i urody tysiące robotników tkają kosztowne materye, rżną drogocenne kamienie i złoto. Służą one ludzkości bezwiednie i mimowoli, są dziełami sztuki i z tego powodu zasługują na podziw i uznanie miłośników

poezyi i piękna cielesnego.

Ale taka kobieta stoi zupełnie na uboczu: obyczaje jej są jej wyłączną właściwością i nie mają nic wspólnego z obyczajami nierównie prostszymi i trwalszymi całej masy ludzkiej, która spełnia wzniosłe a ciężkie zadanie: zarabia na chleb codzienny. Tam to, w tej masie pracującej są prawdziwe obyczaje, prawdziwe cnoty i wady narodu.

Co do pani de Burne, której racyą bytu jest tylko jej szyk, — spełnia ona swe zadanie społeczne ubierając się w piękne suknie; nie żądajmy od niej nic więcej. — Pan de Mariolle był bardzo nieostrożny, że ją pokochał i żądał, by osoba, której jedynym obowiązkiem jest kult własnej piękności, zaparła się siebie i wyłącznie do niego należała. Cierpiał nad tem srodze, a mała posługaczka z Fontainebleau nie mogła go pocieszyć. Jeżeli szuka pociechy, radzę mu czytać Naśladowanie Jezusa Chrystusa. To książka pomocna. Cherbuliez mówił mi kiedyś, że musiał ją pisać człowiek, który znał świat i miłość. I ja jestem tego zdania, inaczej bowiem nie mógłbym wytłomaczyć sobie takich dreszczem przejmujących myśli, jak np. »Często pragnąłbym był milczeć i nie być między ludźmi«. Pan de Mariolle się nie zawiedzie, odczuje natychmiast, że i ta książka jest księgą miłości. Niech otworzy ten skarbiec mądrości ludzkiej, a znajdzie tam taką przestrogę:

»Nie wspierajcie się na trzcinie, którą lada wiatr miota i nie polegajcie na niej, bo ciało wszelkie jest jako trawa, a chwała jego przemija, jak kwiat polny«.

BARBEY D’ AURÉVILLY.

Z niemałym trudem przyjdzie mi wyrobić sobie właściwe pojęcie o Barbeyu d’ Aurévilly. Nie traciłem go nigdy z oczu. Jest on dla mnie wspomnieniem dzieciństwa, tak jak posągi na moście jenajskim, u którego stóp bawiłem się kółkiem, w tych czasach gdy to na dzikich i kwitnących stokach Trocadéro zrywało się jeszcze dziewannę, koniczynę i poziomki. Nie miałem wówczas żadnego określonego zdania o tych posągach; wiedziałem niejasno, że mieli to być ludzie i trzymali za uzdy kamienne rumaki. Nie zdawałem sobie sprawy, czy te posągi są piękne, czy brzydkie, czułem jedynie, że są czarodziejskie, tak jak światło słoneczne, które mię rozkosznie pieściło, jak powiewy orzeźwiające, które z radością wdychałem, jak drzewa na pustych wybrzeżach, jak uśmiechnięte wody Sekwany, jak świat cały! To wszystko czułem doskonale; nie domyślałem się tylko, że czarodziejem byłem ja sam, że to ja, maleńki, promienną radością napełniałem cały wszechświat olbrzymi. Muszę powiedzieć, że w dziewiątym roku życia o podmiotowości wrażeń naszych nie miałem najmniejszego pojęcia, to też odczuwałem bez trudu dobro istnienia. Podanie o raju na ziemi jest niesłychanie prawdziwe; nie dziwię się wcale, że jest tak głęboko wyryte w duszy ludzkości. Bo naprawdę, czy nie

przeżywamy wszyscy, każdy na nowo, dziejów Adama, czy nie budzimy się do życia w raju doczesnym, czy dzieciństwo nie jest zawsze pogodnym Edenem? W tych chwilach błogosławionych patrzyłem na oset, wyrastający ze stosów kamieni wśród ulic zalanych słońcem, głośnych śpiewem ptaków, i mówię wam naprawdę, że raj to był dla mnie. Leżał on wprawdzie nie wśród tych czterech rzek, o których mówi pismo Święte, lecz na wzgórzach Chaillot i na urwistych wybrzeżach Sekwany. Wierzcie mi, że ta różnica nie zmienia istoty rzeczy. Raj małych mieszkańców miasta, zbudowany jest z głazów, ciosanych ręką ludzką: niemniej przeto tajemniczy jest i rozkoszny.

Pierwsze moje zetknięcie z panem d’ Aurévilly z tego to rajskiego wieku się datuje. Babka moja, która go trochę znała i w której zawsze podziw budził, na przechadzkach pokazywała mi go, jako osobliwość. Pan ten w nasuniętym na oczy kapeluszu o aksamitnych karmazynowych brzegach, w długim obcisłym surducie z wydatnemi połami, chodząc uderzał szpicrutą po złotym galonie swych wąskich spodni; — mimo to nie budził we mnie żadnych uwag, gdyż wrodzonem było mi wówczas nie szukać przyczyny zjawisk. Przyglądałem mu się, i żadna myśl nie mąciła pogody mego spojrzenia. Rad byłem wówczas, że są osoby, które łatwo można odróżnić — a do tych właśnie należał p. d’ Aurévilly. Ztąd miałem do niego pewne bezwiedne przywiązanie. W sympatyach mych mieli obok niego swe miejsca jeden zatabaczony inwalid z drewnianemi nogami, który chodził o kulach i gdy nas spotkał, witał się ze mną zawsze, następnie stary, bez ręki nauczyciel matematyki, o

czerwonej twarzy i brodzie satyra, który zawsze jakby uśmiechy porozumiewające posyłał mojej bonie; wreszcie pewien starzec wysoki, który od czasu tragicznej śmierci syna chodził ubrany w drelich zdarty z siennika. Te cztery osoby nad innemi miały dla mnie tę przewagę, że doskonale się wyróżniały, i cieszyłem się bardzo, że umiem je poznawać. Jeszcze w tej chwili nie mogę w swych wspomnieniach całkowicie odłączyć pana d' Aurévilly od tamtych, od nauczyciela, inwalida i obłąkanego, za którymi trzema i on podążył w świat cieniów. Wszyscy czterej byli dla mnie osobliwościami Paryża, tak jak posągi na moście jenajskim. Różnica polegała na tem, że ci się poruszali a posągi na moście były nieruchome. O innych różnicach nie myślałem zgoła; nie wiedziałem bowiem dobrze, czem jest życie, — a i teraz po długich nad tem rozmyślaniach, przyznaję, że wiem mało co więcej.

Upłynęło conajmniej lat dwanaście — gdy oto trafem w noc zimową na ulicy du Bac spotkałem p. d'Aurévilly, w towarzystwie Teofila Sylvestre'a. I ja byłem z jednym ze znajomych, który mię przedstawił. Sylvestre, klnąc jak dyabeł, unosił się nad świętym Augustynem, żelaznem okuciem swej laski uderzał o chodnik; Barbey go naśladował, wykrzesał iskry z kamieni i zawołał:

— Brukowe z nas Cyklopy!

Mówił to głosem pięknym, doniosłym i głębokim.

Pozbywszy się dawnej prostoty ducha, z wielkim zapałem wszystko usiłowałem pojąć, to też szukałem znaczenia tych słów, nie mogłem go wykryć i doznawałem przez to prawdziwej przykrości.

Przeznaczonem mi było widzieć p. d'Aurévilly choćby przez chwilę we wszystkich epokach życia. Miałem zaszczyt bywać u niego w małem mieszkanku przy ulicy Rousselet, gdzie przeżył lat trzydzieści w szlachetnie znoszonem ubóstwie i gdzie umarł, otoczony opieką istoty prawdziwie anielskiej.

Ta wąska i brudna, otoczona ogrodami ulica Rousselet, pełna jest wspomnień, drogich sercu prawdziwego Paryżanina. Tam to właśnie zamieszkała pani de la Sablière, gdy wyrzekłszy się świata, poświęciła się pielęgnowaniu chorych. Ta zachwycająca kobieta, która dużo rzeczy kochała w życiu, złożyła Bogu w ofierze tylko resztki swego serca i piękności; przybyła tu już niemłoda, opuszczona przez kochanka i z początkami raka na piersi.

O dwadzieścia kroków od mieszkania, w którem przed dwustu laty kochanka de la Fare'a płakała na dymiących jeszcze zgliszczach swego życia, przed oknem, wychodzącym na ogrody klasztoru Świętego Jana Bożego, rzuciłem niemało gorących słów, pełnych młodości i nadziei. Tam bowiem mieszkał przyjaciel mój Adolf Racot, wówczas pełen marzeń i projektów, serdeczny, dobry, dzielny: zabiło go dziennikarstwo i pisanie romansów na tomy. Umarł niedawno — padł jak wół, przeciążony pracą. Wówczas jednak nieskończoność była przed nami. Z owego okna widzieliśmy dom, gdzie Franciszek Coppée w małym ogródku tworzył swe poezye szczere, proste i miłe, jak ich autor. Paweł Bourget często przesiadywał u niego. Ukończył był właśnie liceum; pod czupryną młodzieniaszka czoło miał poorane od metafizycznych rozmyślań. Coppée i

Bourget odwiedzali Barbeya d'Aurévilly i składali mu w darze rzecz cudowną: swój zachwyt młodzieńczy. O woni kwiatów, ulatująca ze starych murów, młodości, poezyo, sztuko... czarowne obrazy życia! O, ulico Rousselet!

Barbey d'Aurévilly, czerwono odziany, w swym ubogim, pustym i zaniedbanym pokoju wyglądał wspaniale. Trzeba było go słyszeć, gdy mówił — niewinne to było kłamstwo:

— Wysłałem swe meble i dywany na wieś!

Rozmowa jego olśniewała obrazowością i nieporównanymi zwrotami.

— Wiecie, ten człowiek, który kładzie się w szpalerze, na swoim murze, na słońcu... Grzebię w waszych wspomnieniach, żeby je ocucić... Przypatruje się waćpanna księżycowi: to gwiazda hultajów... Był on straszny z wyszczerbioną twarzą, jak paszcza starej armaty... Dobrze to dla Pana naszego Jezusa Chrystusa, że jest Bogiem; jak na człowieka miał za słaby charakter; nie był twardy w karku jak Hannibal... Ochrypłem, słuchając tej pani... Dwie zmarłe kochałem w swem życiu...

To wszystko mówił głosem poważnym z jakimś odcieniem przeraźliwie demonicznym i zachwycająco dziecinnym.

A był to starszy pan w najlepszym tonie, niezmiernie uprzejmy i wykwintny w stosunkach towarzyskich. Oto wszystko, co mogę wam powiedzieć: za bliski jest mym wspomnieniom — śmierć jego zbyt niedawna, nie mogę pogodzić się z myślą, że go już nie zobaczę; napróżno bym więc usiłował skreślić tu jego wizerunek.

Był bezwątpienia zjawiskiem niezwykłem; ale tak jak

Henryk IV na Nowym Moście już nawet nie dziwił nikogo. Jego płaszcz podszyty czerwonym aksamitem zdawał się być czemś, nie powiem zwykłem, ale niezbędnem.

W istocie rzeczy starał się zawsze zadziwiać i bawić tylko siebie samego, i to właśnie czyniło go tak miłym. Tylko dla własnej przyjemności nosił koronkowe krawaty i mankiety z epoki muszkieterów. Nie miał jak Baudelaire, nieznośnej chęci, by zadziwiać sobą, drażnić, być nielubianym. Jego dziwactwa nie były nigdy złośliwe; w ekscentryczności swej zachowywał naturalną prostotę.

Są w jego życiu ciemne strony: mówiono, że przez pewien czas był wspólnikiem magazynu przyborów kościelnych w dzielnicy Świętego Sulpicyusza. Nie wiem, czy to prawda, lecz chciałbym, by tak było. Cieszyłbym się, gdyby ten templaryusz sprzedawał był ornaty. Widziałbym w tem zabawną zemstę rzeczywistości nad pozorami życiowymi. Pewnego wieczora przed laty piętnastu widziałem w Odeonie starego aktora w roli Agamemnona z królewską przepaską na czole i z berłem w ręku. Doznawałem złośliwej radości na myśl, że król królów poślubił dozorczynię krzeseł w teatrze. Daleko bardziej wymyślna to przyjemność wystawić sobie, jak d’Aurévilly przyjmuje zamówienia na bieliznę kościelną.

A jednak w istocie prawdziwie niezwykłe jest nie to, że d’Aurévilly sprzedawał komże, lecz to — że pisał krytyki. Pewnego dnia przyszedł doń Baudelaire, którego Barbey opisał jako zbrodniarza i wielkiego poetę; ukrywając, jak bardzo był z tego zadowolony, powiada do Barbey d’Aurévilly:

— Pan napiętnowałeś mój charakter. Jeśli zażądam zadośćuczynienia, postawię pana w drażliwem położeniu, bo pan, jako szczery katolik, pojedynkować się nie może.

— Panie — odpowiedział Barbey — namiętności swe stawiałem zawsze ponad przekonaniami. Jestem na pańskie usługi.

Pochlebiał on sobie nieco, mówiąc o swych namiętnościach. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość, że nie zawahał się nigdy dać swym zachciankom przewagi nad rozumem. Dwanaście tomów jego pism krytycznych zawierają najdziwaczniejsze wybryki fantazyi. Krytyka jego jest namiętna i gwałtowna, pełna wymysłów, złorzeczeń, obelg, klątw; grzmi piorunami bezustanku. W istocie zaś rzecz to najniewinniejsza pod słońcem. Tu znów ratuje d'Aurévilly'go jego anioł opiekuńczy, szczęśliwe usposobienie dziecięce. Pisze on, jak anioł i jak dyabeł zarazem, ale sam nie wie, co mówi.

Lecz powieści jego należą do najwybitniejszych dzieł swej epoki, dwie zaś, conajmniej, »Zaczarowana« i »Kawaler des Touches« są w swym rodzaju arcydziełami.

Wiadomo, że »Kawaler des Touches« rozgrywa się na tle powstania Szuanów w Normandyi. Dziwnym trafem czytałem tę powieść w ponurą noc zimową w tem samem miasteczku Valognes, które tam właśnie jest opisane. Doznałem bardzo silnego wrażenia. Zdawało mi się, że widzę, jak się odradza to zacieśnione i martwe miasto, jak postacie bohaterskich i brutalnych zarazem szlachciców zaludniają ciemne, milczące pałace o zapadających się, spleśniałych dachach. Zdawało mi się, że słyszę w

zawodzeniu wiatru świst kul rozbójników. Książka ta wstrząsnęła mię do głębi.

Styl Barbey'a d'Aurévilly zdumiewał mię zawsze. Jest gwałtowny a delikatny, brutalny a wytworny. Zdaje mi się, że Saint-Victor porównywał go do czarnoksięzkiego napoju, na który składają się kwiaty i węże jednocześnie, miód i krew tygrysa.

Piekielna to może potrawa: mdła za to nie jest nigdy.

Światopogląd Barbey d'Aurévilly — a był to człowiek najmniej filozofujący na ziemi, jest mniej więcej taki sam, jak pogląd Józefa de Maistre. Dorzucił on don jedynie bluźnierstwo. Przy każdej sposobności zapewniał o swej prawowierności, ale najchętniej wyznawał ją przez bluźnierstwa. Bezbożność jest dlań przyprawą wiary. Tak samo jak Baudelaire, uwielbiał on grzech. Robienie min i grymasów było jedyną jego namiętnością, a brak innych żądz wynagradzał sobie świętokradztwem i bodaj żaden wyznawca tak usilnie nie obrażał Boga. Nie drżyjcie jednak: ten wielki bluźnierca będzie zbawiony. Zachował on w swem bezbożnem zuchwalstwie godnem dobosza i romantyka, cudowną niewinność, świętą czystość, która mu wyjedna łaskę w obliczu mądrości wiekuistej. Gdy święty Piotr ujrzy go, powie: »Oto Barbey d'Aurévilly, który chciał popełnić wszystkie możliwe grzechy, ale nie mógł, bo to bardzo trudna rzecz i trzeba mieć do tego specyalną zdolność; pragnął okryć się zbrodniami, bo zbrodnia jest malownicza; był mimo to najprzyzwoitszym panem na świecie i wiódł życie prawie klasztorne. To prawda, że mówił często brzydkie słowa; ale że sam nie wierzył temu i

inni nie wierzyli mu również, więc pozostaną one jedynie na papierze, a taki grzech można mu wybaczyć. Wszakże i Chateaubriand, który był także naszym zwolennikiem, za życia wyśmiewał się z nas o wiele poważniej«.

KAROL BAUDELAIRE.

Nad miarę surowo obszedł się niedawno z Baudelairem krytyk, mający niewątpliwy autorytet, oparty na uczciwości literackiej. Brunetiére dostrzegł w autorze »Kwiatów grzechu« dziwaka tylko i szaleńca, i wypowiedział to właściwą sobie szczerością. Tak czyniąc, znieważył muzy, bo Baudelaire jest poetą. Ma on, — przyznaję, — narowy szkaradne; w złych chwilach wykrzywia się jak stara małpa. Lubił się popisywać czemś w rodzaju satanicznego dandyzmu, co nam dzisiaj tylko śmiesznem się wydaje. Nie podobać się — było dlań radością, a próżność swą kładł w tem by wydawać się nienawistnym. Są to rzeczy godne politowania; a legendy o nim, urobione przez wielbicieli i przyjaciół nie świadczą o dobrym smaku.

— Czyś jadł pan mózg małego dziecka? — spytał kiedyś Baudelaire pewnego poczciwego urzędnika. — Spróbuj pan, przypomina to świeże orzechy włoskie i jest znakomite.

Innym razem w sali restauracyjnej, uczęszczanej przez

gości z prowincyi, zaczął głośno opowiadać w te słowa:

— Zamordowawszy mego biednego ojca...

Muszę nadmienić, że te historyjki, choć zapewne w rzeczy samej nieprawdziwe, są jednak zupełnie w guście Baudelaire'a i są dla jego osoby znamienne: ton w nich panujący rzeczywiście działa na nerwy. Wszystko to prawda, — mimo to trzeba przyznać, że Baudelaire jest poetą.

Dodam, że jest to poeta bardzo religijny. Opinię jego obciążano niemało: odkryto w jego poezyach nowe zbrodnie przeciw moralności i niezwykłe zwyrodnienie. Jest w tem pochlebstwo i dla niego i dla jego epoki. W zakresie zepsucia, od czasu mamutów i jaskiniowców wszystko było wynalezione: ówczesne zwierzę ludzkie nie obdarzone siłą myśli, wszystko tu jednak już wtedy wymyśliło. Gdy rozpatrzeć rzecz bliżej, Baudelaire nie jest poetą zepsucia, lecz — grzechu; a niemała to różnica. Etyka jego niewiele się różni od etyki teologów. Najlepsze jego poezye są jakby natchnione przez dawną prozę kościelną i litanie brewiarza.

Mary jego snów przykuwają go do siebie i przerażają, jak mnicha. Jak mnich woła każdego rana:

Cedant tenebra lumini
Et nox diurno sideri,
Ut culpa quam nox intulit
Lucis labescat munere.[1]

Baudelaire jest do głębi przejęty myślą o nieczystości ciała; ośmieliłbym się powiedzieć, że pomysł grzechu pierworodnego znalazł w »Kwiatach grzechu« ostatni swój poetycki wyraz. Baudelaire rozważa pożądania zmysłowe z drobiazgową surowością kazuisty i z powagą uczonego. Doniosłe są to dlań sprawy: są to grzechy, a w najmniejszym nawet grzechu jest coś olbrzymiego. Najnędzniejsza prostytutka, spotkana nocą w zaułku przybiera w jego wyobraźni tragiczną wielkość: szatanów siedmiu gości w niej, a całe mistyczne niebo spogląda na grzesznicę i walczy o jej duszę. Baudelairowi się zdaje, że te pocałunki najmarniejsze brzmieć będą całą wieczność; do rozpusty chwilowej wprowadza on ośmnaście wieków historyj dyabelskich.

Słuszność więc mam, mówiąc że Baudelaire jest chrześcianinem; dodajmy odrazu, że jest on tak, jak i Barbey d’ Aurevilly, bardzo złym chrześcianinem. Kocha swój grzech i lubieżnie odczuwa rozkosz niezmierną w zatracie swej duszy. Wie, że będzie potępiony — tem przekonaniem składa należny hołd Mądrości Najwyższej — i policzonem mu to będzie. Ale potępienie wieczne ciągnie go jak przepaść; jego popęd do kobiet nie wykracza po nadto, co jest ściśle niezbędne do stanowczego potępienia. Kochankiem nie jest, również nie byłby też rozpustnikiem, gdyby rozpusta nie była tak specyalnie bezbożna. Do rozpusty nie pchają go zmysły, ale duch, któremu się zdaje, że jest w niej coś szatańskiego. Dałby on święty spokój kobietom, gdyby się nie spodziewał, że w tem co czyni obraża Boga i smuci aniołów.

Są to niewątpliwie uczucia przewrotne: odróżniają one Baudelaire'a od dawnych mnichów, którzy szczerze lękali się namiętnych wizyj nocnych. Przewrotność Baudelaire'a jest wynikiem pychy: w swej dumie pragnąłby, by wszystkie jego postępki, nawet najdrobniejsze rozpustki, miały swą doniosłość. Rad jest, że wszystko to może uważać za grzech i interesować tem niebo i piekło. W istocie posiadał on zawsze tylko pół-wiary. Jedynie myśl jego jest zupełnie chrześciańska; serce i uczucie były chrześciaństwu obce. Opowiadają, że raz jeden z jego przyjaciół, oficer marynarki, pokazał mu fetysza, przywiezionego z Afryki — była to potworna główka, wyrznięta z kawałka drzewa — dzieło jakiegoś nędznego murzyna.

— Porządnie to brzydkie — powiada ów oficer i odrzucił ją z pogardą.

— Co robisz! rzecze Baudelaire z niepokojem. A gdyby to właśnie był Bóg prawdziwy?

Są to najgłębsze słowa, jakie kiedykolwiek w życiu wypowiedział. Wierzył w nieznane bóstwa — po to wprawdzie, by tem przyjemniej bluźnić.

Szczerze mówiąc nie sądzę, by Baudelaire miał kiedy jasne poczucie tego stanu duszy, który tu usiłowałem nakreślić. Mimo to w utworach jego, obok nieprawdopodobnego żakostwa i śmiesznej przesady odnaleźć można szczere dowody takiego właśnie stanu duchowego.

Jednym z przejawów tego, że tak powiem, chrześciańskiego nastroju myśli Baudelaireowskiej, jest u

niego ciągłe kojarzenie miłości i śmierci.

Ale i w tem jeszcze jest on złym chrześcianinem. Obrazy zepsucia, które kreśli kaznodzieja by wzbudzić w nas obrzydzenie do cielesności, stają się dlatego upiora podniecającą przyprawą i ponętą; napawa się on trupią zgnilizną, jakby afrodyzyjską wonią. Najgorsza zaś, że wówczas to właśnie jest poetą i to wielkim poetą. W jednej z najdziwaczniejszych bajek »Tysiąca i jednej nocy« występuje kobieta promiennie piękna, która ma szczególny sposób spożywania ryżu: bierze do ust po jednem ziarnku tylko. Ogień jej spojrzeń i świeżość ust darzą niewypowiedzianą rozkoszą; ale nocą biegnie ona na cmentarze i pożera trupy. To wizerunek poezyi Baudelaire'a. Można żałować, że ta poezya jest piękna — ale prawdy żal nie zmieni.

Skreślmy to wszystko, co wywołane jest manią zadziwiania, pogonią za niezwykłością i dziwacznością, odrzućmy ziarna ryżu spożywane po jednem..., a zostanie postać niepokojąca i piękna, jak ta kobieta z »Tysiąca i jednej nocy«.

Czy jest coś piękniejszego w całej poezyi współczesnej nad tę strofkę, będącą skończonym obrazem wyczerpania miłosnego?

W oczach przygasłych ciche łzy leniwe,
Twarz jej znużona, obłędna rozkoszą,
Ręce opadłe, niby broń zbyteczna —
Wszystko stroiło jej piękność...

Czy jest coś wspanialszego, nawet u Alfreda de Vigny, od tego pełnego litości przekleństwa, które poeta rzuca na »Kobiety potępione«?

Zstępujcie, hej! zstępujcie żałosne ofiary,
zstępujcie wiecznych piekieł drogą bez nadzieje,
padajcie w głąb otchłani, gdzie wszech zbrodni mary,
biczowane tym wichrem, co nie z niebios wieje.

Przewalają się, kłębią, jako burz nawały,
Cienie szalone! gońcie cel swej żądzy! raźniej! —
Nie nasycą się nigdy waszych pragnień szały:
bo w rozkoszach jest waszych źródło waszej kaźni!

Zdala od żywych ludów, błędne, potępione,
jak wilczyce ścigane, pędźcie przez pustacie:
niechaj pełni się los wasz, dusze rozstrojone, —
uchodźcie przed wiecznością, którą w sobie macie![2]

Doprawdy nie usiłowałem pokazać poety w lepszem niż jest świetle: wskazałem zda się, że dość w nim przewrotności i chorobliwości. Sprawiedliwość nakazuje jeszcze dodać, że nie cała jego twórczość jest jednakowo temi wadami zakażona.

We wczesnej młodości Baudelaire podróżował po oceanie Indyjskim, zwiedził wyspę Św. Maurycego, Madagaskar i kwitnącą wyspę Bourbon, gdzie Parny widział jedynie Eleonorę i gdzie Leon Dierx tworzył swe tak piękne opisy przyrody. I w poezyach Baudelaire’a są

wspomnienia pełne uroku tych krain słonecznych, których cudny blask olśnił młodzieńczą duszę poety.

Oto na przykład, cudny wiersz, zwrócony do »Dziewczyny malabarskiej«.

W błękitów, w słońca kraju, kędy cię Twój Bóg stworzył,
Twój los — zapalać fajkę, którą Pan w usta włożył,
Dostarczać świeżej wody, wonności lać do czary,
Rój natrętnych komarów wypłaszać z pod kotary.
A gdy pod tchnieniem ranka westchną jaworów lasy
Zakupywać na rynku banany, ananasy.
Dokąd chcesz, bosą nóżką, błąkasz się dzień calutki
Nucąc z cicha nieznanych, starych piosenek zwrótki
A gdy wieczór nadejdzie w purpury swej szkarłacie
Na spoczynek Twe ciało złożysz na miękkiej macie,
I zaroją się żywo w snach Twych kolibry liczne —
W snach, co jak ty kwitnące i jak ty będą śliczne[3]

Czy nie czuć tu już przed Lotim dziwnego uroku egzotycznych piękności?

To jeszcze nie wszystko. Umiłowanie sztuk plastycznych i kult wielkich malarzy odbiły się u Baudelaire'a w utworach wspaniałych i czystych. Wreszcie nawet w dość podejrzanej i nierównej części jego twórczości zrywa się potężny głos na cześć pracy i nędzy. Baudelaire odczuwa duszę pracującego Paryża, odczuwa poezyę przedmieść, rozumie wielkość nędzarzy i umie wskazać, ile jest wzniosłości nawet w pijanym gałganiarzu:

Często w wieczór przy błysku, co miga czerwono,
Gdy wiatr dmie i potrząsa latarnią oszkloną,
Gdzieś na przedmieściu starem w ulic sieci krętej
Kędy kipią ludzkości burzliwe fermenty,
Zobaczysz gałganiarza — Idzie zadumany,
Jak poeta łbem trzęsie, zawadza o ściany,
Lekceważy policyę, niby swe poddane,
I w wielkie plany serce wylewa wezbrane.
Składa przysięgi, wzniosłe dyktuje ustawy,
Podłych w proch strąca, ofiar podtrzymuje sprawy,
I pod niebem zwieszonem jak baldachim jasny
Upaja się wielkością cnoty swojej własnej.
Tak ci ludzie dręczeni swą nędzą domową
Strawieni pracą, z wiekiem ubieloną głową,
Pod więzią różnych szczątków chylący kark zgięty,
Te wielkiego Paryża wyrzuty i męty,
Wracają przesiąknięci zapachem gałganów
W towarzystwie zsiwiałych w boju weteranów,
Których wąs zwisa, niby szmat chorągwi starej.
— Łuki tryumfu, kwiaty, zwycięzkie sztandary
Stoją przed ich oczyma — o potężny czarze —
I w promienistej orgii, w słońcu, przy trąb gwarze
Oni niosą wśród krzyków tłumu, bębnów wrzawy
Pijanemu miłością ludowi — laur sławy.[4]

Czyż to nie piękne i wspaniałe, czyż można lepiej wydobyć poezyę z powszedniej rzeczywistości? A zauważmy przytem, jak wiersz Baudelaire’owski jest tradycyjnie klasyczny, bogaty. Co do mnie, nie zgodzę się nigdy na to, by widzieć w tym poecie sprawcę wszystkich

nieszczęść, trapiących naszą poezyę współczesną. Myśli Baudelaire'a zawierają dość zepsucia, a przewrotność etyczna skaziła większą część jego dzieła. Przyznam również, że nastrój Baudelaire'owski jest wstrętny, ale »Kwiaty grzechu« teraz i zawsze będą zachwycały każdego, kogo wzruszają świetlane obrazy, zaklęte w rytmach wiersza. Baudelaire był człowiekiem obrzydliwym, ale jest poetą, i przez to jest boski.

1. ↑ Niechaj ciemność ustąpi światłu, noc — gwieździe dziennej, aby grzechy, które noc przynosi, spłynęły łaską dnia.
2. ↑ Tłóm. J. Żuławski.
3. ↑ Przekładał A. M-ski.
4. ↑ Przekładał A. M-ski.

PAWEŁ VERLAINE.

Dziś, tak jak w r. 1789, znów jeden poeta leży w szpitalu. Ale obecnie (a tego nie było właśnie w Hotel-Dieu za czasów Gilberta) łóżko osłonione jest białemi firankami, a ten, kto je zajmuje jest poetą prawdziwym. Nazywa się Paweł Verlaine. Nie jest to bynajmniej młodzieniec blady i smętny, lecz stary włóczęga, zmęczony trzydziestoletnią tułaczką po drogach różnych.

Z wyglądu możnaby go wziąć za wiejskiego czarownika.

Czerwona obnażona czaszka z guzami, jak na starym kociołku, oczy małe, skośne i połyskujące, twarz płaska, nozdrza szerokie; z krótką, rzadką i twardą brodą — tak chyba wyglądałby Sokrates bez filozofii swej i bez panowania nad sobą.

Widok jego uderza i zadziwia. Wydaje się on surowym i pieszczotliwym zarazem, dzikim a poufałym. Jakiś Sokrates pierwotny, albo lepiej faun, satyr, istota napół zwierzęca, napół boska, która przeraża jak żywiołowa siła niepodległa żadnemu znanemu prawu. Tak, to włóczęga, stary włóczęga z dróg i przedmieść.

Należał niegdyś do naszego światka. Wzrósł w uczciwej ubogiej sferze pod okiem matki, biednej bardzo dystyngowanej wdowy, w zaciszu Batignolles. Kształcił się, jak my wszyscy, w liceum, i jak my, zdał bakalaureat, gdy już na tyle przestudyował klasyków, by nimi pomiatać dostatecznie. A ponieważ wyszkolenie wszystkie otwiera drogi, wstąpił następnie do urzędu, do magistratu. W owych czasach baron Haussmann, sam nie wiedząc o tem, na urzędy w prefekturze z łatwością przyjmował długowłosych poetów i początkujących dziennikarzy. W biurze czytywano na głos »Kary« Wiktora Hugo i zachwycano się obrazami Manet’a. Verlaine na papierze urzędowym przepisywał swe »Poematy saturnijskie«. Ja przynajmniej nie mam mu tego za złe. W tych czasach pierwszej młodości Verlaine prowadził taki sam tryb życia, jak Franciszek Coppée, Albert Mérat, Leon Valade i tylu innych poetów, przykutych do pracy biurowej, i wyjeżdżających co niedziela za miasto na wycieczki. Tem życiem skromnem i

jednostajnem, które sprzyjało marzeniom i sumiennej pracy poetyckiej, żyła wówczas większość parnasistów. Jedynym może wyjątkiem w tem gronie był Jose-Marya de Heredia: pozbawiony wprawdzie znacznej części skarbów po przodkach swych, *conquistadorach* mógł jednak mieć jeszcze pozory młodego gentlemana i palić doskonałe cygara. Krawaty jego były równie wspaniałe, jak i jego sonety. Ale w nas tylko sonety zazdrość budziły. Wszyscy bowiem szczerze gardziliśmy dobrami ziemskiemi. Sławę jedynie kochaliśmy, — i to pragnęliśmy sławy dyskretnej, prawie ukrytej. Paweł Verlaine wraz z Catulle Mendésem, Leonem Dierxem i Franciszkiem Coppée był parnasistą z tej pierwszej doby parnaskiej. Nie wiem dobrze dlaczego, pragnęliśmy wszyscy udawać wówczas obojętność. Wielki nasz filozof, Xavier de Ricard, utrzymywał z zapałem, że sztuka powinna być lodowata, a my nie spostrzegliśmy nawet, że wszystko co ten doktryner obojętności napisał, było jedynie gwałtownym wyrazem jego namiętności politycznych, społecznych lub religijnych. Jego czoło godne apostoła, płomieniste oczy, ascetyczna chudość, szlachetna wymowa nie wyprowadziły nas z błędu. Dobre to były czasy: zgoła nie mieliśmy rozsądku. Później de Ricard, zrażony chłodem francuzów z północy kraju, usunął się w okolice Montpellier i tam ze swej pustelni w Mas-du-Diable rozsiewał po Langwedocyi swój rewolucyjny zapał. Paweł Verlaine najwięcej ze wszystkich silił się na beznamiętność. Zaliczał się szczerze do tych, »co rzeźbią słowa jak misterne puhary« i sądził, że nakaże burżujom milczenie swem tryumfującem zapytaniem:

»Wenus Milońska nie jestże z marmuru?«.

Bez wątpienia w marmurze ją wykuto. Ale biedne chore dziecię, wstrząsane bolesnymi dreszczami — tobie nie mniej przeto przeznaczonem jest śpiewać, tak, jak szemrzą liście drżące, ty z życia i świata zaznasz jedynie niepokój ciała twego i krwi...

Porzuć symboliczne marmury, biedny przyjacielu; twój los już zapadł. Nie wyjdziesz z tajemniczego kręgu wrażeń; gdy będziesz sam targał się w ciemnościach, usłyszymy w dole twój straszny głos, twoje krzyki i jęki, i zadziwisz nas naprzemian naiwnym cynizmem, to znów skruchą najszczerszą. *I nunc anima anceps*...

Zaiste w »Poematach saturnijskich« ogłoszonych w 1867 r. tego samego dnia, kiedy Franciszek Coppée wydał swój »Relikwiarz«, nie zapowiadał się jeszcze poeta najdziwaczniejszy, najpotworniejszy, najbardziej mistyczny, najwięcej skomplikowany i najprostszy zarazem, najwięcej szalony, ale stanowczo najbardziej natchniony, najprawdziwszy z poetów współczesnych. A jednak, po przez sztuczność, nienaturalność tych utworów można było odgadnąć w poecie jakąś genialność dziwną, nieszczęśliwą i bardzo zbolałą.

Znawcy zwrócili na ten tom uwagę, i Emil Zola zastanawiał się, podobno, kto zajdzie dalej: Verlaine czy Coppée.

Drugi tom: »Gody« *(»Fêtes galantes«)* pojawił się w roku następnym. Jest to cieniutka książeczka. Ale tu już ukazał Verlaine niepokojącą pierwotność swego talentu, a zarazem wiotką nieśmiałość i wdzięk niepojęty. Cóż to są

owe »Gody«? Odbywają się na Cyterze Watteau. O zmroku jeszcze idą tam do lasu rozmiłowane pary, ale drzewa laurowe, jak mówi pieśń, już ścięto, a zioła magiczne, które wyrosły na ich miejscu, roztaczają woń śmiertelnej niemocy.

Verlaine jest artystą fałszującym nieraz przez wyrafinowanie; rzucił też sporo dysonansów w tych tonach menuetowych, skrzypce jego zgrzytają niekiedy przeraźliwie, ale nagle jedno pociągnięcie smyczka rozdziera nam serce. Zły skrzypek chwycił nam duszę; ot naprzykład gdy wygrywa tę oto: »Pełnię miesięczną«.

Twa dusza jest jak jakiś park szczególny,
gdzie błądzą maski i pajace grzeczne,
przy lutni dźwięku wiodąc tan okólny,
smutne — pomimo szatki niedorzeczne.

Miłość zwycięską i dni życia jasne
sławi piosenka ich, srebrzyście brzmiąca,
ale nie wierzą, zda się, w szczęście własne;
śpiew ich się miesza ze światłem miesiąca,

z blaskiem, co smutno lśni, piękny i szklanny,
w którym śni drzewo i ptak czarnopióry
i łkają dreszczem zachwytu fontanny,
smukłe fontanny, dżdżące na marmury.[1]

Wyraz uczuć jest tu nowy, oryginalny, głęboki.

Jeszcze raz usłyszano Verlaine’a, ale stokroć słabiej tym

razem, gdy w przeddzień wojny, tuż przed tymi dniami straszliwymi, wyśpiewał swą »Dobrą piosnkę« — wiersze szczere, bardzo proste i nieskończenie miłe. Verlaine zaręczył się wówczas, i był najczulszym, najpowściągliwszym narzeczonym. Satyry i fauny muszą tak śpiewać, gdy są bardzo młode, gdy napiły się mleka a las zroszony budzi się o świcie.

Nagle Paweł Verlaine zniknął. Żadnych nie było o nim wieści. Rozpostarło się nad nim głuche milczenie przez lat piętnaście; po ich upływie dowiedziano się, że Verlaine pokutujący ogłosił tom poezyj religijnych w księgarni katolickiej. Co się z nim działo w ciągu tych lat piętnastu? Ja nie wiem. Bo i cóż właściwie o tem wiadomo? Prawdziwa historya Franciszka Villona jest nieznana. A Verlaine przypomina bardzo Villona; są to dwaj nicponie, którym danem było jednak wypowiedzieć słowa najsłodsze na świecie.

O tych piętnastu latach życia Verlaine'a legenda głosi, że poeta stał się wielkim grzesznikiem i wedle słów nieodżałowanego Juliusza Tellier był jednym z tych, »których marzenie doprowadziło do zmysłowego szału«. Legenda dodaje jeszcze, że zepsute dziecko było ukarane za swoje winy i ciężko je odpokutowało. A chcąc uzasadnić taką legendę, przytaczano te np. cudowne w swej prostocie strofy pokutne:

Ciche nad domów dachami
Niebios błękity,
Drzew się nad domów dachami

Kołyszą szczyty.

Dzwon wśród niebiosów gdzieś w górze
Srebrnie rozbrzmiewa,
Ptak wśród gałęzi gdzieś w górze
Swą skargę śpiewa.

Boże mój! Boże! Tam życie
Ciche, bezznojne —
Gwarem dochodzi mnie życie
Miasta spokojne.

O powiedz ty co w łzach toniesz,
W wiecznej żałości.
Gdzieś podział, ty co w łzach toniesz
Skarb swej młodości!?[2]

Zapewne, jest to tylko legenda, ale ona właśnie utrzyma się zawsze. I tak być powinno. Wiersze tego człowieka obrzydliwego a zachwycającego poety straciłyby na wartości i znaczeniu, gdyby naprawdę nie pochodziły z tej gęstej atmosfery, »pozbawionej wszelkiego światła«, gdzie pielgrzym florencki widział grzesznych zmysłowców, których rozum uległ żądzy: *Que la ragion sommetono al talento*.

A po nad to występek musi być prawdziwy, jeśli skrucha ma być szczera. W skrusze i bezgranicznej prostocie wraca Verlaine do Boga, który przyjął jego chrzest i jego pierwszą komunię. Wtedy cały staje się czuciem; nie zna rozmyślań

ani zwątpień.

Żadna myśl ludzka, żaden błysk rozumowania nie zmącił jego pojęcia o Bogu. Nazwałem Verlaine'a faunem. Kto czytał żywoty świętych, wie jak łatwo apostołom pogan przychodziło nawracać faunów — istoty proste i naiwne. Verlaine dał wiersze najbardziej chrześciańskie, jakie wogóle mamy we Francyi. Nie ja pierwszy na to zwracam uwagę. Lemaître już mówił, że niejedna strofa z »Mądrości« przypomina swym nastrojem »Naśladowanie« Tomasza à Kempis. Wiek XVII. zostawił nam niewątpliwie piękną poezyę duchowną. Corneille, Brébeuf, Godeau wzorowali się na »Naśladowaniu« i na Psalmach.

Ale pisali oni w stylu Ludwika XIII., w tonie zbyt hardym, a nawet nieco pyszałkowatym i junackim. Jak Polyeucte z czasów Richelieu'go, ci poeci kając się nawet brali ze sobą pióropusze, koronkami zdobne rękawice i długi płaszcz, który po podniesionym rapirze spływał w kształcie koguciego ogona. Verlaine zaś jest prosty w swej pokorze; poezya mistyczna strumieniem tryska z jego serca; zdobywa się też na słowa godne świętego Franciszka lub świętej Teresy:

Chcę kochać tylko Matkę naszą, Maryę.
Jeszczem był podły i nędzny; źrenice
Wędrówką miałem oślepłe, gdy Ona
Ucałowała oczy me, i dłonie
Złączywszy mi, uczyła mię słów uwielbienia.

Albo te wiersze podobne do tych pobożnych westchnień, których słodycz droga jest mistykom:

O Boże, Boże, ranisz mię miłością,
I rana moja dotąd świeża, żywa.
O Boże, Boże, ranisz mię miłością.

Oto me czoło zrumienione wstydem:
Pod Twoje święte stopy ci je kładę.
Oto me czoło wstydem zrumienione.

Oto me dłonie trudom dotąd obce:
Niech żar w nich płonie i kadzidło wonne.
Oto me dłonie, dotąd obce trudom.

Oto me serce daremne i próżne:
Niechaj się krwawi na cierniach Golgoty.
Oto me serce próżne i daremne.

Oto me stopy wędrownice płoche:
Niechaj przybiegną zwołane Twą łaską,
Oto me stopy płoche wędrownice.

Oto me oczy przewodniki błędu:
Niechaj zagasną we łzach i modlitwie.
Oto me oczy błędu przewodniki.

Szczere, bardzo szczere jest to nawrócenie! Ale krótkotrwałe. Jak pies z Pisma świętego powrócił on

niebawem do swej nieczystości. A ten ponowny upadek natchnął go nowym wierszem, pełnym cudnej prostoty. Cóż począł wtedy? Zarówno szczery w skrusze, jak w grzechu, przyjął obie ostateczności z cyniczną niewinnością. Zgodził się zaznawać kolejno występnych upojeń i trwogi rozpacznej. Co więcej, doznawał ich, właściwie mówiąc, jednocześnie — podwójnym rachunkiem prowadził sprawy swej duszy. Stąd pochodzi ten dziwny zbiór wierszy pod tytułem »Równolegle«. Przewrotne to niewątpliwie, ale przewrotnością tak naiwną, że prawie należy ją wybaczyć.

A przytem tego poety nie można sądzić tak, jak się sądzi ludzi rozumnych. Ma on inne niż my prawa, bo jest jednocześnie czemś więcej i czemś mniej, niż my. Jest niepoczytalny, a zarazem jest to poeta, jaki rzadko przypada jeden na stulecie. Lemaître dobrze go ocenił, mówiąc: »Jest to barbarzyńca, człowiek dziki, dziecko... Tylko że to dziecko ma pieśń w duszy i w pewnych chwilach słyszy głosy, których nikt przed nim nie słyszał...«.

Sądzicie więc, że jest to szaleniec? — i ja tak myślę. Gdybym wątpił o tem, podarłbym te kartki, które wyżej napisałem. Zapewne, jest to szaleniec. Ale zważcie, że ten biedny obłąkaniec stworzył sztukę nową — i można śmiało przypuszczać, że kiedyś powiedzą o nim to, co dziś mówimy o Franciszku Villonie, z którym należy go porównać: »Był to najlepszy poeta swego czasu«!

W utworze świeżo przetłómaczonym przez E. Jaubert’a hrabia Tołstoj opowiada dzieje biednego muzyka, pijaka i włóczęgi, który na skrzypcach wygrać umie, co tylko najcudniejszego zamarzyć można. Błądziwszy całą mroźną

noc zimową, ten boski nędzarz grzęźnie w śniegu konający; wtedy jakiś głos odzywa się doń: »Tyś jest najlepszy i najszczęśliwszy«. Gdybym był Rosyaninem, a raczej gdybym był świętym i prorokiem rosyjskim, czuję, że po przeczytaniu »Mądrości« powiedziałbym biednemu poecie, złożonemu dziś na szpitalnem łożu: »Błądziłeś, aleś wyznał swoje błędy. Byłeś nieszczęśliwy, aleś nigdy nie kłamał. Biedny Samarytaninie, wśród dziecięcego gaworzenia i chorobliwej czkawki danem ci było wyrzec słowa niebiańskie. Myśmy Faryzeusze. Tyś od nas lepszy i szczęśliwszy«.

1. ↑ przełożył Jerzy Żuławski.
2. ↑ przekładał L. Staff.

PANI ACKERMANN.

Miałem zaszczyt i przyjemność znać zmarłą niedawno p. Ackermann. Gdy podczas lata uciekała do Nizzy, widywałem ją w Paryżu w jej małym pokoju przy ulicy *des Feuillantines*, w pokoju pełnym cienia i bladego wielkich drzew odblasku. Z pozoru była to uboga staruszka. Skromna wełniana chusteczka okalała twarz i okrywała siwe włosy, jej ozdobę ostatnią, którą ceniła równie mało jak wszelkie inne. Cała postać jej, ubranie, wzięcie

zdradzało zupełną pogardę i wyrzeczenie się rozkoszy światowych; od razu widać było, że ta niewiasta nigdy z naturą w zgodzie nie była. »Jakto? — zawołał Paweł Desjardins, gdy mu ją pewnego razu na ulicy pokazano, to jest p. Ackermann? Wygląda na kobietę wynajmującą krzesła po kościołach«.

I tak wyglądała rzeczywiście. Ale umiała myśleć śmiało i silnie, a duch jej zuchwały wyzwolił się z próżnych trwóg i lęków gnębiących ogół ludzki.

Ludwika Choquet wychowała się na wsi. Najmilszem zajęciem jej lat dziecinnych było przesiadywać w zacisznym ogrodzie i przyglądać się muszkom, mrówkom, stonogom. Jak wielu innym inteligentnym dzieciom, nauka czytania szła jej z trudnością, katechizm przerażał ją do szaleństwa. Gdy podrosła, pewien dobry kapłan usilnie starał się wytłómaczyć jej doktryny chrześciańskie; Ludwika wykładu słuchała z uwagą, a gdy wykład się skończył — na zawsze i zupełnie wierzyć przestała. Osierocona młodo, zamieszkała w Berlinie w domu uprzejmym i gościnnym, gdzie poznała Aleksandra Humboldta, Varnhagena, Jana Müllera, Boekh’a, uczonych, filozofów. Poglądy jej były już ustalone, umysł zasobny w wiedzę: już wówczas był w niej zaród owego głębokiego pessymizmu, który tak silnie miał później wybuchnąć.

Tam to pokochał ją cichy uczony, Ackermann, który układając słowniki marzył o szczęściu ludzkości. Zgodziła się poślubić go, upewniwszy się przedtem, iż podziela on jej zapatrywanie, że życie jest złe i że zbrodnią jest niem darzyć. Po dwóch latach spokojnego związku Ackermann

zmarł, zatopiony w swych księgach, a jego wdowa usunęła się w zacisze dawnego klasztoru dominikanów w Nizzy. Kazała tam zbudować wieżę, z której roztaczał się przepiękny widok na zatokę błękitną i śnieżne szczyty gór Piemonckich; tam to po 44 latach samotności umarła.

Równie systematycznie, jak czynił to niegdyś stary Rollin w willi swej w *Saint-Etienne-du Mont*, schodziła i ona każdego ranka do ogrodu, by przyjrzeć się jak noc spędziły ulubione jej drzewka owocowe i kwiaty. — Od czasu do czasu zaś, w ciszy swych dni jednostajnych pisała te rozpaczliwe wiersze, które ją przeżyją. — Niepodobna wystawić sobie spokojniejszego trybu życia; ta kobieta o duszy zuchwałej, wiodła tryb najregularniejszy. »Mogę być, mówiła, bardzo śmiała w swych pomysłach filozoficznych — w postępowaniu byłam zawsze ostrożna. Zresztą rzecz to naturalna. Czyny nieostrożne popełniamy wyłącznie z namiętności, a ja znałam jedynie namiętności umysłu. Jedynem jej szczęściem na świecie, jedyną też uciechą zmysłową było śledzić za kwitnieniem drzew migdałowych, i z p. Ernestem Havet rozmawiać o Pascalu. Bez pomocy wiary pełniła też same cnoty, któremi słyną święte matrony i niepocieszone wdowy wychwalane przez Kościół. Wstydliwość jej przechodziła wszelkie granice.

Sama myśl o jakiejś zmysłowej słabostce zgrozą ją przejmowała, z odrazą unikała osób, które posądzała o zbytnie przywiązanie do spraw ciała. Gdy o kobiecie jakiej wyrzekła »jest impulsywna«, była to stanowcza odprawa. Pod tym względem przesadna była jej surowość; z przyjaciółką lat dziecinnych poróżniła się dlatego tylko, że

pani ta, wtedy już sześćdziesięcioletnia staruszka, siedząc przy kominku, sąsiadowi swemu, również bardzo już wiekowemu, podała pogrzebacz w sposób zbyt zmysłowy. Byłem obecny, gdy się to zdarzyło; pamiętam, że rozmawiano o Kancie i o nakazie kategorycznym.

Co do mnie nie zauważyłem nic zdrożnego w postępowaniu obojga staruszków, niemniej p. Ackermann z panią tą zerwała bezpowrotnie. Orzekła że jest »instynktywna«, — i przy tem zdaniu pozostała.

W przyjaźni swej p. Ackermann była prosta i naturalna. Gdy gościła w Paryżu, była zawsze otoczona wybranem gronem przyjaciół, stanowiących dla niej duchową rodzinę. Jak wszystkie piękne dusze kochała młodzież. Dr. Pozzi i Józef Reinach nie zapomną z pewnością, że nazwała ich swemi dziećmi. Ilekroć który z jej młodych przyjaciół żenił się, była w rozpaczy. Podług niej, choć niegdyś sama wyszła była za mąż — z zastrzeżeniami wprawdzie —, małżeństwo było złem najgorszem, w niewinności swej gorszego nawet nie umiała pomyśleć.

Była filozofką, a naiwność filozofów jest bezgraniczna. W jej przekonaniu człowiek żonaty był człowiekiem zgubionym. Pomyśleć tylko! Kobiety, nawet najuczciwsze są tak »impulsywne«. Drżała na samą tę myśl. Kto jej nie znał, nigdy się nie dowie, co to jest purytańska ateistka. A jednak jak dziwne są sprzeczności dusz, jak niepojęte głębie uczuć: jestem prawie pewien, że p. Ackermann, mimo swej woli i wiedzy miała pewne upodobanie do hultajów. Jakbądź, przynajmniej w poezyi — przepadała za Mussetem. A wreszcie ta nieprzejednana przeciwniczka

miłości w małym kajeciku, w którym spisywała tajemnice swej duszy, skreśliła raz następujące zdanie: »Daremnie oskarżamy i złorzeczymy miłości! Siły i zapału w niej jedynie szukać trzeba«. Jak wszyscy samotnicy, była sobą bardzo zajęta, znała tylko swoje utwory i recytowała je często. Miała zawsze przy sobie rękopis małej autobiografii, którą wszystkim czytała i którą w końcu wydrukować dała. Najpiękniejsze jej poezye umieszczone w *«Revue moderne«* przeszły niepostrzeżone. Artykuł p. Caro zwrócił na nie uwagę; odtąd miała p. Ackermann grono gorących wielbicieli.

Należałem do nich, nie zachwycając się jednak więcej od innych. Poezya jej raczej mnie zadziwiała, niż czarowała, a nie umiałem chwalić więcej, niżem odczuwał.

Była na to wrażliwa, a że miała serce szczere i szła prosto do celu, zapytała mię wręcz: Czego to, zdaniem Pańskiem brak w mych wierszach? Dlaczego Pan ich nie lubi?

Przyznałem że mimo ich piękności, przeraża mnie trochę ich chłodna sztywność. Usprawiedliwiałem się, przypisując to wrażenie wrodzonej lekkości mego umysłu.

»Jak dzieci — rzekłem — lubię obrazki, a pani nimi gardzisz, zapewne też umyślnie nie dajesz ich w poezyi«. — Stała przez chwilę zdumiona i z najwyższem zadziwieniem odrzekła:

— Nie rzucam obrazów! co pan mówi, — brak mi obrazowości? Piszę przecież o »łodzi przewodniej« — Łódź czyż to nie obraz? i czyż to nie starczy za wszystko? »Łódź« na wzburzonych falach morskich, »łódź« na cichej

powierzchni jeziora? Czegoż pan chce więcej?

Istotnie, dobra p. Ackermann nie żałowała »łodzi«. Nie skąpiła też »skał i wirów, dolin, gaików, orłów i gołąbków, łona chmur, łona lasów, i łona przyrody«. Język jej poetycki pełen był tych staroświeckich słówek z jej lat dziecinnych.

A jednak wiersze te, o formie przestarzałej, o barwach zblakłych, silnie wraziły się w umysły wybrane; poezya ta znalazła oddźwięk w duszach myślących; ta muza niestrojna i niepiękna nawet stała się ulubioną towarzyszką myślicieli i uczonych. Dlaczego? — Oto p. Ackermann wniosła do poezyi pierwiastki tak w tej dziedzinie rzadkie, że zdawały się jej tylko wyłączną własnością: szczerość i silne przekonania. Kobieta ta w samotni swej, dała nam swój bezwzględnie szczery pogląd na świat i życie. Pod tym względem tylko Sully-Prudhomme równać się z nią może; z mniej rozległym widnokręgiem myśli, lecz z większą mocą była ona tak jak on, prawdziwym poetą filozofem. Miała namiętność myśli, i w tem jest jej wielkość. Czy gdy ukazuje nam zmarłych, jak nieposłuszni na głos anioła wzywającego do zmartwychwstania, odrzucają szczęśliwość wieczną dla tego, że daje ją twórca złego; czy gdy zwracając się do Boga woła: »Wziąłeś mi tego, którego kochałam, jakżeż go poznam wśród Twych zbawionych? zachowaj go — wolę nie widzieć go nigdy«; czy gdy mówi: »przyrodo próżno wśród niezliczonych tworów gonisz za niedościgłym swym ideałem, zrodzisz tylko zawsze zło i śmierć« — we wszystkiem tam dźwięczy nuta głębokich, namiętnych rozmyślań. Jest ona na wskróś poetką przez wyrozumowaną śmiałość swych bluźnierstw;

znikają nam z oczu wszystkie nieudolnie retoryczne zwroty; już odczuwamy jedynie wspaniałą, silną, w swej nagości potężną myśl.

Zachwyceni, wzruszeni, szepczemy słowa poety Alfreda de Vigny: »Kto walczył przeciw niesprawiedliwości niebios ma za sobą uwielbienie i tajemną miłość ludzi«.

Wspomnijmy chociażby skargę chóru »Nieszczęśliwych«, gardzących zmartwychwstaniem i szczęśliwością wieczną, lecz spóźnioną:

Nam przyszła młodość z rękami pustemi,
Nie miała szczęścia dla nas, ni uśmiechów.
Słowa miłości nam na wargach spiekłych
Wyschły jak woda, znikoma, wiosenna.
Na naszych ścieżkach nie zakwitły kwiaty.
Każda podpora, co na pustej drodze
Nam się zjawiła serdeczna, padała
Złamana, gdyśmy jej tknęli. Jak trzcina
Gięła się wszelka naszych serc otucha.
Jakaś zaciekła, niewidzialna ręka
Do przeznaczonej pchała nas otchłani;
Jak kat co swego pilnuje skazańca
Nieubłagana przy nas szła niedola.
Gdzie było czucie w nas — krwawiła rana,
Przypadek ślepy — widział, gdzie nas razić.

Może nam gody niebieskie sądzone,
Bo nie nam piekła trwożyć się napróżno.
I grzech nasz przecież katusz nie zasłużył:

Jeśliśmy grzeszni — cierpieliśmy dosyć!
Lecz odrzucamy nawet tę nadzieję:
Wnijść w Twe królestwo, widzieć Twą wspaniałość —
Nagrody Twoje odpychamy Panie,
I cierpień naszych zapłaty nie chcemy!

I dziwna tylko, że tak spokojne i ciche istnienie wydało takie dzieła rozpaczne. W swojej czystej, zimnej, dominikańskiej celi samotnica z Nizzy, jak święta religii ateizmu, zawodziła nad nędzami, których nie doświadczała, nad bólami całej ludzkości. Cicho śniła swój sen o życiu, wiedząc że jest snem tylko.

A byłoby lepiej wierzyć w rzeczywistość istnienia i w dobroć boską; bo nawet gdyby wiara ta była tylko złudzeniem, to złudzenia tego i śmierć nie rozwieje. Cokolwiek nas czeka, ci którzy wierzą w nieśmiertelność nie lękają się rozczarowania po śmierci. Jeśli, jak to jest niesłychanie prawdopodobne, wierzyli napróżno, jeśli nawet są zawiedzeni — wiedzieć tego nie będą nigdy.

CEZAR BORGIA.

Ród Borgiów potrzebny był, by stać się żywem

świadectwem, do czego zdolne jest zwierzę ludzkie, gdy jest potężne i niczem nieskrępowane. Ci zromanizowani Hiszpanie nie przyszli na świat z innem sercem, z inną duszą, niż ogół śmiertelnych. Choć przywykli do zbrodni, nie oderwali się zupełnie od społeczności ludzkiej, z którą łączyły ich krwawiące węzły. Uczucia przyrodzone wybuchają w nich gwałtownie. Papież Aleksander ma gorące serce ojcowskie: u zwłok swego pierworodnego, płacze jak dziecko, i modli się, jak niewiasta. Córka jego, Lukrecja, umie kochać i szczeremi łzami opłakuje np. drugiego małżonka i brata. Najbardziej wynaturzony z Borgiów, Cezar, choć w całem życiu nie okazał iskry uczucia i śladu litości, jednak w sposobie prowadzenia wojny, w zarządzie zdobytemi krajami, ma taki zmysł ładu, rozumu i umiarkowania, że to samo świadczy już o pewnej piękności umysłu. Nie, Borgiowie nie byli potworami w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Ich indywidualność moralna nie była zbrodniczą z przyrodzenia; pojęciami i uczuciami różnili się mało od swego zwykłego otoczenia, od Gaetanich, Savellich, Orsinich. Były to dusze gwałtowne, w pełni władające i używające życia.

Pożądali wszystkiego — i w tem byli ludźmi; byli przemożni — i w tem leży ich straszna zbrodniczość. Nie ukrywajmy tego przed sobą: społeczność ludzka pełną jest Borgiów, to jest ludzi namiętnie pragnących róść w potęgę i używać życia.

Dzisiejsze społeczeństwo ma ich niemało; tylko nie mają oni temperamentu i boją się policyi. Działanie cywilizacyi osłabia popędy przyrodzone, ale natura ludzka pozostała

bez zmiany, a natura to jest surowa, egoistyczna, zazdrosna, zmysłowa, drapieżna. Te same nienawiści i pożądliwości, które wybuchnęły płomieniem w Watykanie za czasów hiszpańskiego papiestwa, czają się też dziś w czterech na zielono wytapetowanych ścianach najnędzniejszej kancelaryi naszych urzędów.

Lecz tu zwierzę ludzkie jest mniej silne, mniej namiętne, mniej dumne: tygrys królewski przemienił się w kota domowego. Istota rzeczy jest ta sama, chodzi tu o życie, a już to samo jest rzeczą drapieżną.

Cezar był młodzieniaszkiem, gdy ojciec jego, kardynał Rodriguez Borgia, drogą przekupstwa zasiadł na tronie papieskim. Był to starzec twardy i przebiegły, niesłychanie rozpustny jeszcze i chciwy władzy. Instynkt jego był nieomylny, jak u zwierząt: cynizm — wspaniały. Na tronie Piotrowym, u boku swego posadził piękną Julię Farnese, którą lud rzymski, dodając bluźnierstwo do zgorszenia, nazywał żoną Chrystusa, *»sposa del Christo«*, a brata Julii, owego Farnese, którego papież oblókł w purpurę, zwał kardynałem kotyliona, *»cardinal della Gonella«*. Rzymianie słuchali tego i uśmiechali się tylko. W owych czasach od nizin do szczytów naród cały był w szale cielesnym. Ten stary opasły kapłan był wielki w swem zepsuciu, gdy na Lukrecyi uroczystościach weselnych lał likiery i wina za gorsety szlachcianek rzymskich, lub po kolacyi, siedząc obok córki, przyglądał się tańcom nagich kurtyzan, przy świetle wbitych w ziemię pochodni. A tymczasem fale Tybru każdej nocy wyrzucały zwłoki ludzkie i codziennie słychać było o czyjejś chorobie i

śmierci. Ojciec święty miał zupełnie niezawodne sposoby, by pozbywać się nieprzyjaciół. Po za tem był dobrym chrześcianinem, nigdy nie błądził w rzeczach wiary i wszelkiemi siłami starał się powiększać dobra Piotrowe. Ale nadewszystko kochał swe dzieci i obdarzał je godnościami i zaszczytami: córkę swoją Lukrecyę mianował strażniczką pieczęci papieskiej, regentką Watykanu, gubernatorem Spolety.

W piętnastym roku życia, Cezar był arcybiskupem Pampeluny, w siedmnastym kardynałem Walencyi. Ambasador księcia Ferrary, odwiedziwszy go w domu jego na Transtevere, tak go przedstawia w swej relacyi: »Wybierał się właśnie na polowanie, ubrany był wspaniale, w jedwabie, z bronią u boku, zaledwie niedostrzegalna tonsura zdradzała osobę duchowną. — Rozmawialiśmy, jadąc obok siebie. Jest to człowiek wyższego umysłu i doskonałego charakteru; jest przytem nadzwyczaj skromny«. — Współcześni zawsze sławili skromność Cezara i jego siostry Lukrecyi. Rzecz tylko w tem, co przez to oznaczyć chcieli, i czy nie zwali skromnością wytwornej wstrzemięźliwości ich słów i ruchów.

W takim razie Cezar zasłużył na te pochwały; pomimo że nie obce mu były nauki świeckie i duchowne, że był teologiem, humanistą, a nawet poetą, — był bardzo milczący i zamknięty w sobie. Ci, co go bliżej znali, nazywali go »panem bardzo samotnym i tajemniczym«, *»molto solitaro e segreto«*. Lubował się w wspaniałych tkaninach, pięknych klejnotach, kamieniach drogocennych; w szaty świetne przybrany, kręcąc w palcach złotą kulkę,

napełnioną wonnościami przechadzał się, snując w umyśle te plany wielkie, któremi później miał się zachwycać Machiavel. W tym kraju i w tych czasach, gdy piękność była chlubą, Cezar był olśniewająco piękny; ród Borgiów w latach dojrzałych szpeciła tusza, w pierwszej młodości byli jednak wszyscy prześliczni.

Ten piękny, jasnowłosy książę, *»blondo e bello«*, marzył o zrzuceniu ciążącej mu purpury i o przypasaniu miecza. Ale miecz, którego pożądał, miecz jeneralskiego kapitana milicyi papieskiej, był we władaniu brata jego, starszego syna papieża, księcia Gandii — a ten z pewnością nie da go sobie wydrzeć.

W dwudziestym roku życia Cezar popełnił swoją pierwszą zbrodnię, a było to arcydzieło zbrodni. Obaj bracia spotkali się na uczcie w domu swej matki *Madonny Vanozza*. Była to uczta pożegnalna; obaj mieli nazajutrz Rzym opuścić: Cezar, aby wziąć udział w koronacyi króla Neapolu, Gandia — dla przyjęcia inwestytury nowych dóbr, nadanych mu przez papieża. Uczta skończyła się późno w nocy. Cezar na mule, Gandia konno wyjechali razem udając się w kierunku Watykanu; przed pałacem kardynała Sforzy książę Gandii pożegnał brata i zapuścił się w wąską uliczkę. —

Do siebie nie wrócił już więcej. Przez dwa dni papież kazał go szukać wszędzie; — nadaremnie. Trzeciego dnia posłano trzystu rybaków, by przeszukali dno Tybru; jeden z nich wydobył z toni zwłoki księcia Gandii z przebitą szyją, dziewięcioma ranami pokłóte. Boleść ojca była straszna i bezgraniczna; ten człowiek namiętny, do głębi serca

wstrząśnięty, jęczał i płakał bez ustanku. Pycha jego skruszyła się razem z weselem: błagał Boga o przebaczenie, a równocześnie zarządził śledztwo; chciał wiedzieć prawdę, niecierpliwie pragnął wyjaśnienia tajemnicy.

Każdy dzień nowe przynosił wskazówki, znaleźli się świadkowie, którzy widzieli morderców, jak podtrzymywali chwiejące się na koniu ciało i rzucili je do rzeki... już, już miano znaleźć winowajców. Wtem nagle papież zawiesił śledztwo; obawiał się, że już wie za dużo, nie chciał wiedzieć, kto był mordercą syna, nie chciał znać imienia, które już cały Rzym po cichu powtarzał.

»Jego Świątobliwość już nie szuka więcej«, mówi jeden ze świadków, »i wszyscy w Watykanie twierdzą, że musi już wiedzieć prawdę«.

W trzy tygodnie później Cezar powraca do Rzymu. Święte Kollegium zgromadza się w Watykanie, gdzie oczekiwał już papież, by stosownie do zwyczaju dać błogosławieństwo papieskie synowi, którego od czasu morderstwa nie był widział. Doszedłszy do stóp tronu, Cezar pochylił głowę, ojciec otworzył mu ramiona, i milcząc, pocałował go w czoło, poczem zstąpił z tronu. *Eo deosculato descendit de solio*. Całując to czoło kainowe, nieszczęsny ojciec musiał odczuć całą boleść i gorycz, jaką może objąć dusza ludzka, i milczenie jego pełne jest wymownej, bezgranicznej rozpaczy. Ale Aleksander VI. to człowiek ulegający wrażeniom; uczucia nawet najsilniejsze przemijają w nim szybko. Niezadługo zapomni o krwawych zwłokach na dnie Tybru, i mimowoli podziwiać będzie syna, który nie uląkł się ni ojca, ni Boga; pozna w nim krew

swego rodu. Papież zdejmie z Cezara purpurę, która nie przystoi takiemu śmiałkowi, a obdarzy go za to dostojeństwami i dobrami zgładzonej ofiary. Cezar będzie strażnikiem kościoła, a gdy zdobędzie Romanię i zawładnie znów miastami, które były dziedzictwem Piotrowem, serce ojca zadrży z miłości i szczęścia.

W trzy lata później na wieść o powrocie syna, papież tak jest wzruszony i zgorączkowany, że nie udziela już audyencyj, płacze i śmieje się naprzemiany.

Czy te uczucia nie zdradzają natury bardzo prostej i dzikiej? Czy nie tak wystawiamy sobie dusze jaskiniowców?

Największą zbrodnią Cezara pozostanie zawsze zabójstwo księcia Gandii, lecz i inne mordy jego, np. Alfonsa de Bisceglie, drugiego męża Lukrecyi, mają zawsze praktyczny tylko cel na względzie. Cezar zabijał zawsze chłodno, bez fantazyi, z czystego wyrachowania; chyba niepodobna zbrodni obmyślić przezorniej. We wszystkie swe zamiary ten jasnowłosy kładł rozum niezwykły i żądzę nadludzką.

Cezar, zręczny tancerz, między dwoma szturmami prowadzący symboliczne balety, był prawdziwym Herkulesem.

W dzień św. Jana, 24 czerwca 1500 roku, stosownie do mody przez Aragończyków wprowadzonej od czasów Kalliksta, odbywała się w Rzymie walka byków. Cezar z odsłoniętą twarzą, w zwykłym stroju, pieszo wszedł na arenę, uzbrojony jedynie krótką szpadą i *muletą*. W pięciu spotkaniach zmierzył się z pięcioma bykami i zabił

wszystkie, ostatniego położył jednem pchnięciem szpady przy namiętnych okrzykach rozentuzyazmowanego tłumu.

Na uroczystościach weselnych z powodu trzeciego zamęścia Lukrecyi Borgii, 2 stycznia 1502, odbywały się ponownie walki byków na placu św. Piotra. Tym razem Cezar konno wjechał na arenę i natychmiast, lancą natarłszy na byka trupem go położył. Również potykał się później pieszo otoczony »quadrillą« z dziesięciu Hiszpanów.

W burzliwem życiu największą rozkosz znajdował zapewne w niespożytej sile swych mięśni; widywano go często, jak skręcał sztaby żelazne, łamał podkowy i rwał nowe, grube liny.

Kronikarze wzmiankują, że po zdobyciu Ceseny, co niedziela otoczony towarzyszami bitew i hulanek, udawał się na pobliskie wzgórza, gdzie wedle ludowego romańskiego zwyczaju odbywały się zapasy siłackie. Niepoznany brał w nich udział, zachęcając towarzyszów, aby za jego przykładem mocowali się z chłopstwem.

Kobietami gardził; poślubiwszy Karolinę d'Albert, córkę króla Nawarry, opuścił ją w kilka dni po ślubie i nigdy nie widział jej więcej. W jednej z wypraw swoich w Romanii upodobał sobie piękną żonę kapitana weneckiego i kazał ją porwać; w Kapui zachował dla siebie najpiękniejsze branki, w namiocie jego widywano piękną, wysoką dziewczynę, której nikt nie znał nazwiska, ni pochodzenia, i która towarzyszyła mu na wyprawach wojennych. Matka dwojga jego nieślubnych dzieci nieznana jest nawet z imienia; żadna kobieta nie była nigdy na chwilę przedmiotem jego myśli. Ale człowiek ten piękny i silny w jednym dniu stracił

przy kobiecie zdrowie swe i piękność. W dwudziestym piątym roku życia twarz jego pokryła się krostami i pryszczami, które nie zniknęły aż do śmierci. Oczy jego stały się podobne do zaropiałych jam. Odtąd był odrażający.

Wiadomo, że ze śmiercią Aleksandra VI. upadła potęga Cezara. Zdradzony przez Gonzalva z Korduby, książę Romanii musiał zrzec się państw zdobytych. Dwa lata był jeńcem Ferdynanda Katolickiego, a gdy udało mu się zbiedz z zamku Medina del Campo, ofiarował usługi swemu szwagrowi, królowi Nawarry i w szale boju dał się zabić pod Vianą.

W jego krótkiem życiu więcej podziwiano nawet świetną jego inteligencyę, niż chłodną zbrodniczość. Był to wódz znakomity i zręczny polityk. Machiavel podziwiał w nim człowieka, szukającego w każdej sprawie prawdziwej rzeczywistości. »Jest to«, wyrażał się o księciu Romanii, »pan świetny i pyszny, a w czynach wojennych tak śmiały, że największe wyprawy niczem się dlań zdają. Gdy chodzi o zdobycie sławy i powiększenie swych dzielnic, nie zna ni spoczynku, ni znużenia, ni niebezpieczeństwa. Zdaje się być wszędzie równocześnie, umie zaskarbić sobie miłość żołnierzy, potrafi zebrać najlepsze wojsko w całej Italii, a te okoliczności, w połączeniu z wyjątkowem szczęściem, czynią zeń zwycięską i potężną osobistość«.

Nie ulega wątpliwości, że Cezar Borgia był najzręczniejszym człowiekiem swego wieku.

Niewątpliwe są dowody, że Cezar był łagodny dla swych poddanych, nie obarczał ich podatkami, w potyczkach był zawsze pierwszy na czele swych hufców, nie odtrącał

nikogo, kto zwracał się doń z prośbami o uwolnienie jakiegoś jeńca, wygnańca, czy opornego żołnierza — lub błagał jego łaski i szczodrobliwości. Natomiast na zdzierców i łupiezców nie znał litości. Był na tyle zręczny, że umiał być sprawiedliwym i ludzkim, gdy tego zachodziła potrzeba.

Był on połączeniem najczarniejszej duszy z świetnym i rozległym umysłem. Czyż dlatego powiemy, że był wielkim geniuszem? Nie, ostatecznie bowiem nic nie zbudował; demon, który nim władnął, zgładził szybko jego dzieła i własne jego życie. Dobrze jest przypomnieć sobie pocieszające słowa pewnego historyka-optymisty, że tylko wielkość moralna ma dar istotnej twórczości.

POWIEŚĆ I CZARNOKSIĘSTWO.

Przyznajmy się, że wszyscy w głębi serca mamy pociąg do cudowności. Najrozsądniejsi z nas kochają ją nieświadomie, nie mniej od innych. Właśnie my, rozumni, kochamy cudowność miłością beznadziejną. Wiemy, że jej niema, jesteśmy tego pewni — i to nawet jest jedyna rzecz, co do której mamy pewność; gdyby cuda istniały, nie byłyby cudami — cud jest cudem właśnie dlatego tylko, że nie istnieje. Gdyby umarli wracali do życia, byłoby to dla nas zjawisko zwykłe, nie cud bynajmniej. Gdyby ludzie

mogli przemieniać się w zwierzęta, jak Lucius z starożytnej bajki, byłaby to dla nas przemiana naturalna, któraby nas nie zadziwiała, zarówno jak przemiany owadów. Niema możności wyjść za szranki przyrody; świadomość ta jest rozpaczliwa. Rzeczywistość nam nie wystarcza, pragniemy nadzwyczajności, ale rzeczy nadzwyczajne nadzwyczajnemi są tylko dopóty, dopóki się nie urzeczywistnią. Mérimée opowiada przygodę Don Juana, który przechadzając się nad brzegiem Tagu z cygarem w ręku, poprosił o ogień przechodnia z przeciwległego brzegu. »Z miłą chęcią« rzekł tenże, i wyciągając rękę przez całą szerokość rzeki, podał Don Juanowi zapalone cygaro. Don Juan nie zdziwił się, gdyż z powołania swego postanowił niczemu się nie dziwić. Gdyby był filozofem, mógłby był także oszczędzić sobie zdziwienia. Gdy w Paryżu słyszymy przez telefon głos przyjaciela, który z Marsylii wsiadając na okręt, przesyła nam pożegnanie, — nie uważamy tego za cud, i w rzeczy samej było to czarodziejstwem tylko wtedy, gdy nie było jeszcze możliwe.

Jedno z dwojga: albo przygoda Don Juana jest nieprawdziwa, co zresztą dość prawdopodobne, — albo jest prawdziwa, a w takim razie jest równie naturalna, jak porozumiewanie się przez telefon, tylko może nieco mniej powszednia. Mérimée każe się nam domyślać, że ów przechodzień z cygarem, to dyabeł we własnej osobie. Być może. I na to, będąc człowiekiem zgodnym, przystać mogę. Ale jeżeli dyabeł istnieje, jest on, tak jak my wszyscy, częścią przyrody, która wszystko w sobie ogarnia, a wtedy

już niema nic dziwnego, że wyciągnąć może rękę przez całą szerokość rzeki. Wprawdzie podręczniki fizyologii nie mówią o tem jeszcze, ale to tylko dowód ich niedokładności. Wszak pewna, że nie wszystkie zjawiska niezwykłe są opisane w książkach.

W piękne noce letnie przechadzam się niekiedy po wybrzeżach Sekwany w cieniu olbrzymich czarnych koronek kościoła Notre-Dame, wzdłuż ciemnych wód, gdzie drgają miliony odbitych świateł. Księżyc płynie w obłokach; pod arkadami mostu słychać szum połyskujących ponuro fal, myśl błąka się wtedy koło wszystkich okropności życia i koło wszystkich czarów śmierci. Jeśli dyabeł podaje ogień nietylko wielkim bezbożnikom i gwałcicielom cnoty niewieściej, jeśli zechce uwieść także i spokojnego filozofa: to, być może, pewnego wieczoru grzecznie poda mi swe cygaro z jednego brzegu Sekwany na drugi. Wówczas — w myśl swych zasad — uznam to zdarzenie za fakt naturalny i zakomunikuję je Akademii Umiejętności.

To postanowienie świadczy, jak sądzę, o inteligencyi dość pewnej siebie i o umyśle, nie dopuszczającym żadnych niespodzianek. Mimo to wiem, że są chwile, gdy chłód rozumu nas mrozi. Są godziny, gdy się nie chce wcale być rozumnym; i przyznaję, że te chwile nie są wcale najgorsze. Niedorzeczność jest jedną z radości życia; dlatego też ze wszystkich książek na świecie, najtrwalsze i najpewniejsze powodzenie mają bajki i to bajki zupełnie nierozumne: »Ośla skóra«, »Kot w butach«, »Tysiąc nocy i jedna« i nawet »Odyssea«, która również jest bajką dziecinną.

Przygody Ulissesa są pełne ślicznych niedorzeczności, takich, jak te, które odnajdujemy również w »Podróżach żeglarza Sindbada«.

Cudowność jest kłamstwem; — wiemy o tem, i chcemy, żeby nam kłamano. A to jest zadanie coraz trudniejsze. Stary Homer i poeci arabscy już nas nie bawią. Żeby módz nas porwać dziś, na to trzeba wyobraźni niesłychanie pomysłowej, trzeba umysłów bardzo uczonych i przemyślnych; takimi są np. Edgar Poë, w swych »Opowiadaniach fantastycznych«, albo Gilbert-Augustin Thierry w swych: »Larmorze«, »Marfie« i »Kosie złotej«.

Stary Apulejus jest również niepoślednim bajarzem i, — przyznać to muszę — dostarczył mi rozkosznego złudzenia cudowności. Powiem wam wszystko otwarcie: Apulejus — to mój grzech; lubię go bez szacunku i to lubię bardzo. On tak znakomicie kłamie! tak dobrze odwraca porządek rzeczy przyrodzonych, a ten widok w chwilach przewrotności napełnia nas radością. On tak całkowicie podziela znieprawiony pociąg do niedorzeczności, to pożądanie czegoś nierozumnego, które każdy z nas kryje w jakimś zakątku swej duszy! Gdy harmonia świata znuży was swą nieubłaganą stałością, gdy życie wyda się wam jednostajnem, a przyroda nudną, otwórzcie »Złotego osła« i podążcie za Apulejusem a raczej za Luciusem w jego niezwykłych podróżach. Od pierwszej chwili ogarnia was atmosfera szaleństwa i szaleć wam każe; musicie podzielać wybryki tego dziwacznego podróżnika:

»Znajduję się więc wśród Tessalii, tej klasycznej ziemi czarów, sławnej stąd na świecie całym... Nie wiedziałem, gdzie zwrócić swe pragnienia i ciekawość; każdą rzecz rozważałem z pewnym niepokojem. Wszystko, com widział w mieście, wydawało mi się odmiennem, niż mi wzrok wskazywał. Zdawało mi się, że wszystko, co tam jest, było wynikiem jakichś dawnych czarów, wywartych przez piekielne zaklęcia. W każdym kamieniu, wyobraźnią rozpoznawałem obróconego w kamień człowieka; ptaki brałem za ludzi pokrytych piórami; drzewa nadbrzeżne — za ludzi odzianych liśćmi; kryniczne źródła wypływały dla mnie z ciał ludzkich. Sądziłem, że portrety i posągi zaczną chodzić, mury przemówią a woły będą wróżyć przyszłość«.

Czyż dziwna, że potem został przemieniony w osła? Przecież Święty Augustyn prawie w to uwierzył.

»I my także — mówi on w »Państwie Bożem«, słyszeliśmy we Włoszech podobne opowieści o różnych miejscowościach tego kraju. Mówiono, że po zajazdach szynkarki, biegłe w rzucaniu czarów, podawały niekiedy podróżnym ser tak zaczarowany, że kto go spożył, przemieniał się natychmiast w zwierzę juczne. Tym zaklętym nieszczęśliwcom kazano dźwigać ciężary, a po ciężkiej służbie powracali oni znowu do swej pierwotnej postaci. W czasie trwania czaru dusza ich nie stawała się zwierzęcą;

zachowywali swój dawny ludzki rozum. Apulejus w książce p. t. »Złoty osioł« mówi, że taka przygoda jego samego spotkała; działaniem pewnych ziół przemieniony został w osła, zachowując jednak umysł człowieka. Nie wiadomo, czy autor zapisał tu zdarzenie prawdziwe, czy też wysnutą przez siebie bajkę.«

Istotnie — Apulejus podaje bajkę, bajkę naśladowaną z greckiego; nie on to nawet wymyślił Luciusa i jego przemianę, ale on to dodał do niej jeszcze ziarna szaleju.

Interesująca to postać — ów Apulejus: opisuje go nam p. Paweł Monceaux w swej dokładnej, fachowej a zarazem miłej w czytaniu monografii.

Ten Afrykanin, współczesny Cezarowi Antoninowi, umysł lekki, nie głęboki, błyskotliwy i w głębi rzeczy nie bardzo oryginalny, improwizował głównie i kompilował. Był to duch nieco szalony, ale trzeba pamiętać, że w tych czasach wszyscy byli po trosze szaleni. Jakaś chorobliwa ciekawość zapalała wyobraźnię wszystkich współczesnych. Cuda Apolloniusa z Tyany przejęły dreszczem świat cały; bojaźliwa wiara w czary mąciła najlepsze umysły. Plutarch wywołuje cienie na kartach historyi; cuda wstrząsają łatwo niewzruszoną duszą Tacyta; przyrodnik Plinius jest równie łatwowierny jak ciekawy. Flegon Trallijczyk dla jednego z Cezarów, zamiłowanego w astrologii, napisał książkę »O cudach«. Opowiada tam szczegółowo przygodę zmarłej, która uciekła z pogrzebowej komnaty, aby udać się do łoża młodego cudzoziemca. Ten Trallijczyk był ceniony jako

kronikarz i geograf.

Szczęśliwa gwiazda Apulejusa pozwoliła mu się urodzić w tem szalejącem środowisku i obdarzyła go zadziwiającą zdolnością wynajdywania rzeczy niedorzecznych i niemożliwych. Zgłębiał on wszystkie nauki i wyniósł z nich jedynie niedorzeczne zabobony. Fizyka, medycyna, astronomia, nauki przyrodnicze — wszystko to jednakowo wiodło go do czarnoksięstwa. A ponieważ miał wyobraźnię żywą i styl suggestywny, stworzył arcydzieło powieści fantastycznej.

Ten człowiek zdolny, płochy i próżny zostawił po sobie pamięć czarnoksiężnika i cudotwórcy. W epoce wielkich sporów religijnych, gdy chrześcianie i poganie prześcigali się w cudach, ojcowie Kościoła wspominali autora »Przemian« zawsze z nienawiścią i bojaźnią. Już Lactantius w połowie III wieku wspomina o całem mnóstwie cudów Apulejusa; święty Hieronim stawia go obok Apolloniusa z Tyany; święty Augustyn, który nie odróżnia go od bohatera jego powieści, ubolewa, że takiego człowieka przeciwstawiano, a nawet przekładano nad Chrystusa. W tych czasach wyznawcy gasnących już bogów czcili krasomówcę z Madaury, jako jednego z ostatnich swych mędrców. Było to rzeczą naturalną, że przywiązali się oni do filozofa, zamiłowanego w symbolach i dopuszczonego do wszelkich tajemnic. Posąg Apulejusa wznosił się w Konstantynopolu w Leuxipie, a »Antologia« w następujących słowach go opiewa:

»Apulejus z zadumą w oczach ciche z muzą łacińską odprawia związki. Syrena Auzońska wtajemniczyła go w mądrość niewysłowioną«.

W tym dwuwierszu trudno poznać autora czarnoksięskiej i bardzo swawolnej powieści, która nieraz wbrew rozumowi mnie zachwyca. Bardziej zadowolnić może charakterystyka, jaką nam, nie rozpływając się w górnolotnych pochwałach dla swego bohatera, daje P. Monceaux. Apulejus według niego, to przedewszystkiem wprawny krasomówca; ten piękny »zuchwałą pięknością południowca« i wymowny, ale nieco pospolity samochwalca umiał zapanować nad swymi słuchaczami; przez swą nadzwyczajną zręczność oszukując innych, sam się oszukiwał; zmuszając innych do wiary, sam wierzył wszystkiemu.

A jednak w pracach po nim pozostałych tu i ówdzie są ustępy, nacechowane prawdziwą powagą filozoficzną, w których brzmi jakby ostatnie echo tej nieprzewyższonej dotąd nigdy mądrości greckiej. Od dłuższego czasu nie odczytywałem małej rozprawki »O demonie Sokratesa«, ale zachowałem o niej dotąd miłe wspomnienie. Apulejus wierzył w demony. Według niego zamieszkują one sfery powietrzne aż do pierwszej sfery, gdzie zaczyna się eter.

Wolno nam roić takie mrzonki. Ludzie byliby bardzo nieszczęśliwi, gdyby im zabroniono marzyć o niepoznawalnem. Gdym czytał niegdyś tę rozprawę »O demonie Sokratesa«, najbardziej wzruszyła mię jednak podana tam definicya rodu ludzkiego i przepisałem ją sobie

wówczas. Znalazłem ją w starych notatkach, prawie cudem, bo nigdy nie zbieram systematycznie materyałów, a zapisany papier przejmuje mię wstrętem i obrzydzeniem. Oto, jak Apulejus określa istotę człowieka:

> »Ludzie czynni rozumem, potężni mową, mają duszę nieśmiertelną, zmysły znikome, umysł płochy i niespokojny, ciało nędzne i ułomne, obyczaje ich są różnorodne, błędy jednakowe, śmiałość wytrwała, a nadzieja uporczywa, ich trudy są daremne, powodzenie niestałe; choć każdy z osobna śmiertelny, nieśmiertelni są przez ciągłość gatunku; pokolenia ich płyną bez ustanku, bo czas ich trwania jest krótki; mądrość ich jest spóźniona, śmierć rychła. W swem żałosnem życiu zamieszkują ziemię.«

Czyż nie czuć w tem poważnego, męzkiego smutku, przypominającego pierwszy aforyzm Hippokratesa?

A nawet i ta sama powiastka, w której tylko co podziwiałem zachwycającą niedorzeczność i wymowną cudowność, czyż nie posiada myśli filozoficznej, nawet w swych pustotach. Może Apulejus w swej »Metamorfozie« był tylko zdolnym tłómaczem zasad palingenezy; w lekkiej formie przedstawił może naukę o próbach i pokutach w szeregu następujących po sobie żywotów? Może przemiana Luciusa jest tylko dotykalnym wyrazem trudów życia ludzkiego, nieustannie przekształcających złożone pierwiastki naszej jaźni, którą stokroć mniej znamy, niż poznać pragniemy. Może w

książce tak na pozór zabawnej i szalonej, głęboka mądrość jest ukryta? Któż to wie?

MITRYDATES.

Z trzech braci Reinach'ów najstarszy Józef odznaczył się w polityce jako publicysta i deputowany; drugi, Salomon, jest archeologiem, słusznie cenionym dla swego zapału i ścisłej wiedzy; najmłodszy, Teodor, próbował sił w różnych dziedzinach, a wreszcie zwrócił się do historyi. Nie będę tu przypominał zadziwiających tryumfów akademickich, jakie odniósł w r. 1875, 1876 i 1877; świadczą one wprawdzie o wielkich zdolnościach, nie są jednak, mojem zdaniem, do pozazdroszczenia. Mają tę ujemną stronę, że rzucają na młodzieńca zbyt silne światło i stawiają go na piedestale, na którym niepodobna się utrzymać.

Rzecz to bardzo niebezpieczna okazać na początku zdolności niezwykłe, gdyż nie można władać niemi stale. W tem trudność cała. Mniej się ją odczuwa, gdy się jest uczonym, to jest człowiekiem pracowitym i skromnym. Prawdziwy uczony musi być skromny: im więcej zdziałał, tem lepiej widzi, ile jest jeszcze do zrobienia. A p. Teodor Reinach, to dusza całkowicie oddana wiedzy.

Jego naukowe wawrzyny były jeszcze zupełnie świeże, gdy zabrał się do przekładu Hamleta naprzemian prozą i

wierszem, tak jak jest w oryginale.

Pomysł zda się doskonały i prosty; nie sądzę jednak, by go Reinach szczęśliwie uskutecznił. Wątpię nawet, czy jest to możliwe. Możnaby w takim utworze zastosować wiersz giętki, swobodny, przeplatany prozą rytmiczną, taki, jaki jest np. w »Księżniczce Malenie«. Ale nawet czy i to jest możliwe? Czy podobna tak głęboko odczuć poetę, by ściśle oddać pełną harmonię jego pieśni? Zresztą, wcale nie o to mi chodzi. Wspomniałem o tej próbie Teodora Reinacha, dlatego, że wybór tematu, ścisłość przypisków, dokładność komentarzy w zajmującej przedmowie umieszczonej na czele pracy, wszystko to już tu zdradza nam uczonego. Pod tym względem bardzo niewielu tłumaczy we Francyi pojęło swe obowiązki tak sumiennie, jak Teodor Reinach; byłby on niewątpliwie zadowolony, gdyby inni poszli w jego ślady.

Nieco później Reinach wydał »Historyę żydów od rozproszenia aż do naszych czasów« jakoteż kilka rozpraw w »Reuve des Etudes juives.« Zajmował się bardzo starożytnościami helleńskiemi i wschodniemi; w osobnej pracy »Trzy państwa w Azyi Mniejszej« (1888), studyował numizmatykę Kapadocyi, Bitynii i Pontu. Na tę pracę zwracamy tu szczególną uwagę, bo była dla autora przygotowaniem do »Historyi Mitrydatesa«, rusztowaniem niezbędnem dla wzniesienia pomnika.

Dodajmy dla ścisłości, że było jednem z rusztowań, bo potrzebne były też inne. Źródła do dziejów Mitrydatesa są trojakie: 1) Medale, które Reinach zbadał w dziele wyżej wspomnianem i które dostarczyły autorowi danych co do

chronologii. Oprócz tego udzieliły mu pewnych wskazówek co do obyczajów i sztuk pięknych, jakoteż i co do zarządu prowincyj. Wreszcie, na niektórych pięknych tetradrachmach, wybitych w Poncie, w Pergamie lub w Grecyi znajduje się wizerunek Mitrydatesa. 2) Napisy. Teodor Reinach zebrał dwadzieścia jeden napisów greckich i łacińskich. 3) Autorowie. To źródło jest najobfitsze ze wszystkich. Ale tego rodzaju dokumenty powinny być poddane ścisłej krytyce. Wiadomo, że dzieła pisarzy, którzy zajmowali się dziejami Mitrydatesa współcześnie lub mało co po nim, do nas nie doszły.

Nie posiadamy pamiętników Sulli, lub Rutiliusa; zaginęły dzieła Siseny, historya Sallustiusa, poemat Archiasa, oraz te rozdziały Liviusa, w których był opis wojny z Mitrydatesem. Zmuszeni jesteśmy korzystać z prac o sto pięćdziesiąt do trzysta lat późniejszych od panowania Mitrydatesa; te zaś prace tyle tylko mają wagi, co i te zaginione dokumenty historyczne, na których się wzorowały. Starożytni pisarze nie wskazywali, z których źródeł czerpali, i tylko dzięki bardzo usilnym i starannym badaniom udało się Reinach'owi poznać, z jakich dokumentów korzystali dla swych opowiadań Plutarch, Appianus lub Dio Kassyusz. Nie będę się wdawał w szczegóły tych poszukiwań, należą one do krytyki fachowej. Te kilka słów, które o tem powiedziałem, płyną z naturalnego zainteresowania dobremi metodami pracy.

Nie jestem kompetentny do oceny prac ściśle naukowych, i one właściwie nie powinny być przedmiotem tych szkiców literackich, które wymagają łatwych i

urozmaiconych tematów. Na szczęście, często się zdarza, że prawdziwy uczony, w naturalnym rozwoju swych poszukiwań, dochodzi do uogólnień, z których wrażliwe umysły mogą bezpośrednią wyciągnąć przyjemność i korzyść. Nie omieszkam wówczas przejąć się ideami tego uczonego i podzielić się tem, co zdołałem objąć. Najszczęśliwszym się czuję, gdy wypada mi mówić o pracach takiego Renan'a, Darmsteter'a, Gastona Paris'a, Pawła Meyer'a, Oppert'a lub Maspero. Jeżeli »Mitrydates« Teodora Reinach'a z metody swej należy do dziedziny zupełnie fachowej, to jednak dla ważności przedmiotu, dla zajmującego toku opowieści i bogactwa uogólnień, należy również do literatury historycznej. Jest to piękne dzieło, przystępne prawie wszędzie, miejscami zaś przykuwa i rozognia czytelnika więcej niż można wyrazić. Bo w istocie, Teodor Reinach doskonały wybrał temat: nowy a obszerny. Dzieje Mitrydatesa nie były nigdy przedmiotem oddzielnego studyum; dzieje te zaś są olbrzymie i tragiczne.

Wszak za naszych jeszcze czasów chłopi i rybacy z Jeni-Kale pokazują obok Kerczu, — starożytnej Pantukapei, skałę nadmorską, podobną do krzesła, i nazywają ją: »Tronem Mitrydatesa«. Człowiek, którego legenda umieszcza jako olbrzyma na tym ogromnym i pierwotnym tronie, jest też i w dziejach wielki i groźny.

Pers z rodu, potomek tych Mitrydatesów, którzy umierając po życiu dłuższem, niż inni śmiertelni, zostawiali w haremach dzieci nieletnie — Mitrydates, przezwany później Eupator i Dionysos, wychowywał się w

rodzinnej swej Synopie i dobiegał lat trzynastu, gdy ojciec jego, Mitrydates Euergetes zginął w jednej z tych tragicznych a zwykłych intryg pałacowych, które kierowały po wsze czasy następstwem tronu w despotyach wschodnich. Matka jego, syryjka Laodike, znudzona w gineceum, uznała, że Euergetes żyje za długo; wschodnie prawo mordu uczyniło ją władnącą sułtanką. Młody Mitrydates dziwne począł miewać na łowach wypadki; na stole swym węszył podejrzane potrawy — i przejrzał wkrótce, że matka uznała teraz, iż to on rośnie za szybko. Uciekł więc do gęstych lasów Paryadrysu, gdzie nieznany i samotny wiódł twardy żywot myśliwego i zabójcy. Opowiadają o nim, że podobny do kamiennych olbrzymów, rzeźbionych w pałacu Sargona, mógł zdusić w swych ramionach młode lwięta. Po siedmiu latach dniem i nocą spędzonych wśród lasów i skał, powrócił do Synopy, gdzie miano go za zmarłego. Upomniał się o swe dziedzictwo, siłą i podstępem wyrwał je matce, która zdążyła już roztrwonić trzy czwarte ziemi i skarbów. Szybko odbudował państwo i »zagarnął pod swoją władzę lub przynajmniej pod swoje zwierzchnictwo całą kotlinę morza Czarnego«.

Nie było to państwo, ale raczej zbiorowisko narodów. Mówiono tam dwudziestu dwoma, czy też dwudziestu pięcioma językami. Temu królestwu morza *Pontus Euxinus*, który nadawał mu nazwę, nadawał też jedność.

Dalszy ciąg jest znany, nie mogę go tu nawet w skróceniu powtórzyć, ponieważ stanowi on, jak mówi Racine, »poważną część historyi rzymskiej«. Znane jest

zerwanie stosunków z Rzymem, z którym Mitrydates początkowo starał się żyć w zgodzie; zdobycie Azyi Mniejszej, zakończone wyrżnięciem ośmdziesięciu tysięcy Rzymian; protektorat nad Grecyą, i ten wielki plan, naśladowany z Aleksandra, by zjednoczyć świat helleński ze światem wschodnim, plan, który boleśnie się skończył pod Cheroneą i pod Orchomeną; po wojnie z Sullą — wojny z Lukullusem i Pompejusem, w których — według słów Monteskiusza — »Mitrydates, to nie władca już zwalczony przez rozpustę i pychę, jak Antyochus i Tigranes, lub przez trwogę, jak Filip, Perseus i Jugurta, lecz król wielkoduszny, który jak lew na widok swych ran, czerpie w porażkach tem większą do boju zaciekłość«.

Wiadomo wreszcie (i na tem chciałbym zatrzymać się dłużej), że po klęsce pod Nikopolis, gdzie całą jego konnicę wymordowali legioniści Pompejusa, stary król umknął sam na koniu ze swą nałożnicą Hypsikrateą, przebraną za wojownika, któremu mogła dorównać w odwadze. Mitrydates uciekał wzdłuż gór kaukazkich, dotarł do zbuntowanego Bosforu i zdobył go na nowo. Było to ostatnie jego państwo. Tu, zmuszony Azyę ustąpić wrogowi, którego od lat czterdziestu zwalczał z nieugasłą nienawiścią, powziął zamiar, by przez Tracyę, Macedonię i Panonię uderzyć na Zachód, zabrać z sobą Scytów sarmackich i Celtów naddunajskich i całą nawałnicą narodów napaść na Italię.

Mitrydates rozwija ten plan olbrzymi w trzecim akcie tradycyi Racine’a, w rozmowie, naśladowanej z Appianusa:

»Na Rzym uderzyć myślę, dzieci moje —

A dalej ciągnie:

»Nie sądźcie, by Rzym wiecznie odgradzały
Od krain naszych niedosiężne wały.
Znam dobrze drogę, którą iść nam snadnie.
Jeśli mi tylko zgon rychły nie padnie
Za trzy miesiące — nie potrwa to dłużej —
U Kapitolskich stawię was podnóży.
Żali wątpicie, że nim dwa dni miną,
Nawy z Euksynu już na Dunaj wpłyną...«

»Wątpię o tem!« zawołał książe Eugeniusz Sabaudzki, który wiódł był wojnę z Turkami. Natchniony zwycięzca z pod Zenty miał słuszność, gdy wątpił, by flota wojenna mogła w ciągu dwóch dni przebyć przestrzeń, dzielącą Kercz od ujść Dunaju, i by liczna armia w ciągu trzech miesięcy zdołała przebyć siedemset mil lądu od Bułgaryi do Rzymu. Ale te fałszywe obliczenia przypisać należy tylko Racine'owi, który, jak się zdaje, nie był wielkim wojownikiem. On to je całkiem niewinnie u siebie w domu ułożył przy stole. Żadne świadectwo starożytne nie pozwala obwiniać o te błędy samego Mitrydatesa, który nie jest przecież odpowiedzialny za ozdoby, któremi podobało się poecie przystroić jego plany. Wiadomo tylko, że stary król »zamierzał się posuwać północnym brzegiem Euxynu, zabierając po drodze Sarmatów i Baktrów, później iść w górę Dunaju, gdzie znów plemiona gallijskie, z którymi

starał się utrzymać przyjazne stosunki, tłumnie zaciągać się miały pod jego sztandary. W ten sposób stać się miał naczelnym wodzem barbarzyńców Północy, miał przejść Panonię i ze szczytów Alp paść jak lawina na Italię, pozbawioną wojsk, osłabioną waśniami politycznemi i społecznemi«. Ten plan, którego ogrom zadziwiał starożytnych, nie zachwyca bynajmniej historyków współczesnych. Jeszcze Michelet, entuzyasta, pisze o tem z pewnem przejęciem; ale Mommsen, który bynajmniej nie grzeszy zapałem, widzi w tem szaleństwo godne politowania. »Zamierzone wtargnięcie ludów wschodnich do Italii, — pisze on, — było poprostu śmieszne. Był to poprostu wybryk bezsilnej rozpaczy«. Teodor Reinach inaczej sądzi. Przypomina on, że Cymbrowie o czterdzieści lat zaledwie wcześniej pokazali, że mur alpejski nie jest nieprzebyty; mniema, że w r. 63 przed erą chrześciańską najście na Italię, rozdartą wojną domową, mogło sprowadzić na Rzym takie same klęski i hańbę, jakich doznano pięć wieków później pod mieczem Alaryka. To przypuszczenie jest możliwe. Ale nad tem możnaby dyskutować bez końca.

Zdradzony przez syna, opuszczony przez swe ludy, Mitrydates już podczas przygotowań do wielkiego swego przedsięwzięcia, odebrał sobie życie w twierdzy pantykapejskiej. To jedno już potępia cały zamiar: na samym wstępie spowodował zgubę swego twórcy. W każdym razie był to nieprzyjaciel groźny, umiał nienawidzieć! »Posiadał on godną szacunku zdolność nienawiści«, mówi Mommsen, a Reinach dodaje: »W tym

przeczulonym mózgu nienawiść stawała się genialnością«. Rzymianie zawsze go się obawiali i jego śmierć ucieszyła ich też nie mało. Żołnierze, gdy szli oznajmić o tem Pompejusowi, przystroili się w wieńce laurowe, jakby zwiastować mieli zwycięstwo.

Trudno było rozpoznać trupa groźnego despoty. Był tak zeszpecony, że jedynie po dawnych bliznach, można było go rozpoznać. Pompejus kazał go pochować w grobach królewskich w Synopie. Ale głównie wybuchami swej radości Rzymianie uczcili należnie Mitrydatesa Eupatora.

Kilka lat później Rzym doznał nowej radości z powodu śmierci innego znów wroga. Tym razem wrogiem była kobieta. W Wiecznem Mieście po śmierci Kleopatry odbywały się tańce i modły ofiarne tak, jak po śmierci Mitrydatesa. Bo ze zgonem Kleopatry ginął wreszcie ten Wschód wojowniczy, który walczył był z Rzymem o przewagę nad światem i kosztował Italię tyle trudów, życie tylu żołnierzy i obywateli.

Reinach odczuwa dla Mitrydatesa zainteresowanie takie, jakiego mimowoli doznaje malarz wobec długo studyowanego modelu. Dąży za królem Pontu we wszystkich jego wyprawach z pewnem uwielbieniem zmieszanem ze zgrozą. Spogląda z podziwem na tę wolę nieugiętą i silną, na tę energię niewyczerpaną, na ten umysł podstępny i zuchwały, na ten zapał nieposkromiony, który w porażkach czerpie siły nowe: toż starożytni porównywali do węża, który, gdy zmiażdżą mu głowę, jeszcze podnosi ku górze groźny swój ogon. A jednak, gdy autor się skupia, by wydać sąd ogólny, sprawiedliwość i prawda dziejowa

nakazuje mu oględność w zachwytach. W tych oto słowach świetnie się streszcza pogląd historyka na tego niezwykłego tyrana:

> »Mimo zdolności licznych, pracy niezmordowanej, mimo śmierci bohaterskiej, brak czegoś Mitrydatesowi, by go można było zaliczyć do istotnych geniuszów dziejowych: brak mu szczerego i wytrwałego dążenia do jakiegoś wyższego ideału. Co właściwie uosabia ten, którego nazywano Piotrem Wielkim starożytności? Czy sprawę wolności, kultury helleńskiej, czy też przeciwnie reakcyę despotycznego i fanatycznego Wschodu przeciw Zachodowi wolnomyślnemu i oświeconemu? Nie wiemy tego, a i on sam nie wiedział. Widzieliśmy, że w pierwszej połowie swego panowania grał rolę szermierza hellenizmu, naśladował Aleksandra w stroju i obyczajach. Przez chwilę nawet zdawało się, że urzeczywistnił swoje marzenia lub co najmniej przywrócił świetne czasy królestwa Pergamu: Azya wyzwolona, nawet stara Grecya w radosnem upojeniu unosiły na swych ramionach opatrznościowego zbawcę z odległych brzegów Euxynu. Ale koniec panowania daje nam obraz zupełnie odmienny. Pod maską helleńską, która wkrótce na wsze strony pęka, znajdziemy jeszcze bohatera, ale bohater to barbarzyński: odrzuca pożyczoną tylko cywilizacyę, burzy własnemi rękami zbudowane przez siebie miasta, zrozpaczony odwołuje się do religijnego i

narodowego fanatyzmu starych ludów Azyi i koczujących hord Północy; odtąd wcielać będzie ich nieprzejednaną nienawiść nietylko do zaborczego Rzymu, ale też i do całej cywilizacyi śródziemnomorskiej. Który z nich jest Mitrydates prawdziwy? Czy ten z Chersonezu i Pergamu, czy ten z Artaxaty i Pantykapei? Przypuszczałbym, że ani jeden, ani drugi, i że w obu tych rolach, w których kolejno dochodzi do mistrzostwa, Mitrydates był w istocie jedynie ambitnym egoistą, królem aktorem, który w Olimpie i w Aweście, we wspomnieniach Aleksandra i w szczątkach Daryusza, w despotyzmie i w demagogii, w barbarzyństwie i cywilizacyi, szukał jedynie środków panowania, lub zjednywania ludzi: sam zaś w istocie nie podzielał nigdy namiętności, z których korzystał, i był niewzruszony wśród burz, które sam wywołał.«.

Teodor Reinach ukazuje nam Mitrydatesa, jako władcę państwa, które było burzone i odbudowane kilkakrotnie i nieustannie zmieniało kształt swój i miejsce. Ukazuje nam tego władcę tylu istnień ludzkich, jak prowadzi z równym zawsze zapałem wojny, pełne zadziwiających zwycięstw i zadziwiających porażek. Ukazuje króla Pontu po kolei jako zdobywcę, dyplomatę, założyciela miast, administratora, kolonizatora, opiekuna handlu, sztuk pięknych — i tępiciela ludów.

To jeszcze nie koniec. Z upodobaniem przedstawia nam, o ile to było możliwe, życie domowe Mitrydatesa, jak na

złotem łożu rozciągnięty obok barbarzyńskich wodzów, noszących tak pożądany tytuł Przyjaciół i Najlepszych Przyjaciół króla, gromadzi on na ucztach mowców i retorów helleńskich. A nie są to bynajmniej obrazy najmniej zajmujące w książce. Mitrydates nie był, niewątpliwie, promiennym geniuszem. Mommsen odmawia mu nawet szerszej inteligencyi, a Teodor Reinach przyznaje, że nie był to prawdziwie wielki człowiek. Ale w każdym razie była to, jak mówimy dziś, silna indywidualność. Postać to wybitna i niezmiernie wypukła. Gdy się doń zbliżyć, podziwiać trzeba zwierzę ludzkie tak pysznie zbudowane i namiętne, przebiegłe i silne, takie sprytne i barbarzyńskie, obdarzone tyloma przymiotami strasznymi.

Profil jego zachowany jest na tetradrachmach. Był piękny, miał silne rysy, włos kręcony; wzrostu był olbrzymiego: rozmiary jego zbroi dziwiły Pompejusa; jego rynsztunek, zawieszony w świątyni w Delfach i w Nemei, wprawił w podziw zwiedzających, bo zdawał się być zdjęty z jakiegoś Tytana. Z iskrzącą tyarą na głowie, obyczajem wschodnim ubrany w kosztowne szaty i szerokie perskie pantalony, wydawał się w blasku klejnotów ziemskim obrazem bogów-gwiazd, Ormuzda i Amerii, którym na ofiarę lasy po górach zapalać kazał. Ten zda się, święty posąg wschodni, był jednak najzwinniejszym jeźdźcem w całej armii, i nie miał równego sobie w rzucaniu pocisków.

Zwykle wstrzemięźliwy, raz przy stole postanowił zmierzyć się z pewnym atletą na brzuch i gardło, i z tego pojedynku wyszedł zwycięsko. Ten olbrzym miał niektóre

zamiłowania subtelne. Lubował się w pięknych zastawach ze złota i srebra, co w owych czasach było zbytkiem powszechnym u wszystkich wybitnych osób. Zebrał bogaty zbiór rzniętych kamieni. Lubił wytworne mowy, i sam umiał wymownie przemawiać w kilkunastu językach. Wreszcie, jego wiadomości lekarskie były, zdaje się, dosyć rozległe i gruntowne, do recept swych mieszał jednak dużo przepisów czarnoksięskich.

Jak wszyscy władcy Wschodu, mordy wśród rodziny miał za rzecz powszednią. Czterej jego synowie: Aryarates, Mitrydates, Machares i Ksyfares, zgładzeni zostali z jego rozkazu. Ale należy uprzytomnić sobie cały łańcuch zbrodni w tym rodzie i pamiętać, że własna matka chciała go zamordować, i że jedyny syn, Farnakes, którego zostawił przy życiu, stał się wreszcie przyczyną jego śmierci.

Podobno kochał bardzo córkę swą, Drypetynę; była to potworna kaleka, mająca po dwa rzędy zębów w każdej szczęce; tę kazał wprawdzie zasztyletować przez eunucha, lecz jedynie dlatego, by nie wpadła żywcem w ręce Rzymian.

Dwie inne córki, Mitrydatis i Mysa, z tego samego powodu zginęły wraz z nim w Pantykapei. Po doznanej porażce kazał wymordować cały harem — było to wówczas rzeczą zupełnie powszednią.

Przed odwrotem, gdy wróg się już zbliżał, zabijano w obozie kobiety, tak jak dziś niszczy się zbyteczny tabor wojenny. Gdy Lukullus rozbił pod Kabirą wojska pontyjskie, Mitrydates, uciekając do Komany, wysłał eunucha Bakchidesa do Farnacyi z rozkazem, by

zamordowano wszystkie kobiety w haremie. Wśród nich były dwie siostry królewskie, niezamężne i więcej niż czterdziestoletnie: Roksana i Statyra, oraz dwie jego żony, obie rodem z Jonii: Berenika z Chios i Monima ze Stratonicei. Monima odrzuciła była niegdyś piętnaście tysięcy sztuk złota, za które Mitrydates pragnął ją kupić. Zmusiła ona władcę pontyjskiego, by przysłał jej dyadem królewski. Był to upominek niezbyt kosztowny zresztą: u Mitrydatesa łatwo było o tytuł królowej.

Znaleziono później w archiwach Nowego Zamku pod Kabirą, listy Monimy i Mitrydatesa, których rozpasany ton raził surowych Rzymian. Dumna córa Jonii, zamknięta w haremie, zdala od Grecyi, pod strażą barbarzyńskich żołnierzy, gorzko opłakiwała ojczyznę swą i wolność. Bakchides przyniósł kobietom rozkaz śmierci oraz przyzwolił, by każda z nich wybrała dla siebie najszybszy i najmniej bolesny rodzaj zgonu. Berenika kazała sobie przynieść puhar z trucizną. Matka, która jej nie opuszczała, pragnęła podzielić jej losy. Obie wypiły truciznę; matka najpierw umarła; Berenikę, by skrócić jej straszne kurcze konania, udusił Bakchides. Roksana i Statyra również wybrały truciznę. Statyra przeklinała brata, Roksana, przeciwnie, wychwalała go, że wśród niebezpieczeństw, które i jemu groziły, nie zapomniał o nich i zapewnił im śmierć spokojną, wolną od hańby. Monima, naśladując prawdopodobnie tragiczne królowe w dramatach swej ojczyzny, zdjęła z głowy przepaskę królewską, owiązała nią szyję i powiesiła się, jak Fedra, na klamce. Ale słaba tkanina pękła pod ciężarem ciała.

Plutarch zachował, czy też może zmyślił, bolesne słowa, które wyrzec miała wówczas ginąca królowa: »Fatalny dyademie, nawet tej usługi wyświadczyć mi nie możesz!» I odsłoniła łono na cios zabójczy. Tak po długoletnich udręczeniach zginęła Monima ze Stratonicei.

Na tej tragedyi domowej urwać dzieje wielkiego Azyaty, z którym walczyli Sulla, Lukullus i Pompejus — brutalne to niewątpliwie. Ale ten obraz otrutych, duszonych i zarzynanych przez eunucha kobiet odsłania może lepiej, niż wszystkie opisy wojen, istotnego Mitrydatesa, starego króla Pontu, tyrana, syna Wschodu.

CESARZ JULIAN.

Chciałbym zatrzymać się nieco nad znakomitą pracą Gastona Boissier »Zgon pogaństwa«, a zwłaszcza nad rozdziałami, poświęconymi politycznej i religijnej działalności cesarza Juliana. Julian to człowiek istotnie niezwykły. Był jeszcze dzieckiem, gdy umarł jego wuj, Konstantyn; sam tylko z bratem Gallusem ocalał od rzezi, której ofiarą padła cała jego rodzina; wzrastał w jednostajnem choć nie surowem więzieniu w Cezarei. Zamknął go tam Konstancyusz, nie mogąc postanowić, czy

go zgładzić, czy zachować przy życiu. Ten tryb życia książąt wschodnich mógłby go był uczynić niedołężnym i okrutnym. Gallus istotnie nie oparł się jego działaniu; zniedołężniał na ciele i umyśle. Julian z niewoli swej wyszedł rozumny i dobry, dzielny i czysty, jak gdyby wychowywał się był wśród stoików. Trudno o coś kapryśniejszego nad despotyzm. Julianowi, gdy ten doszedł wieku męzkiego, Konstancyusz pozwolił studyować w Atenach i w Konstantynopolu. Ale życie młodego księcia było nieustannie zagrożone; każdej chwili mógł się spodziewać śmierci — lub Cezarowej purpury. Przypadła mu purpura. Zawdzięczał ją kochance swej, pięknej i mądrej cesarzowej Euzebii. Od słabego Konstancyusza potrafiła uzyskać dlań tytuł Cezara i rządy nad Gallią. Niema wątpliwości co do natury stosunku, łączącego Euzebię i Juliana. Ale ze wszystkich mężczyzn, co los swój zawdzięczyli miłości, Julian był może jedynym, który zupełnie się nie starał przypodobać kobietom. Euzebia musiała mieć niezwykły — jak na płeć swą — gust, skoro przywiązała się do młodzieńca obyczajów tak surowych. Julian nie był piękny: mały i krępy, przez umyślne zaniedbanie lubił wydawać się jeszcze niezgrabniejszym. Miał kozią bródkę, której grzebień nigdy nie tykał, uważał bowiem, że brudna broda jest cechą filozofa. Nie myślał również o strzyżeniu włosów. Miał brudne paznokcie, ręce poplamione atramentem — i tem się popisywał.

Miał szczególne, zresztą niewinne, upodobanie wydawać się szorstkim, niezgrabnym gburem. Porównywał się sam żartobliwie do zrzędy z komedyi. Ponieważ jego rodzina

pochodziła z Mezyi, lubił powtarzać, że jest dzikim wieśniakiem z Istryi. Euzebia kochała go takim, jakim był; jej to zawdzięczał życie i władzę. A gdy pojechał do Gallii, dała mu podarek, który go więcej ucieszył, niż purpura. Ofiarowała mu książki, cały wielki księgozbiór pełen dzieł poetów i filozofów. Julian był jej za to wdzięczny, i gdy ułożył panegiryk na cześć cesarzowej, nie zapomniał o tej hojności, tak dlań miłej:

> »Euzebia — pisze on, — dała mi takie mnóstwo książek, że mogłem nimi w zupełności pragnienie swe zaspokoić, choć nienasycenie byłem chciwy tej umysłowej strawy; dzięki jej Gallia i Germania stały się dla mnie skarbnicą sztuki helleńskiej. Nie rozstając się nigdy z mym skarbem, nie mogę też zapomnieć, z czyich rąk go otrzymałem. W czasie wypraw jedna z tych książek musi mi towarzyszyć, na równi z przyborami wojennymi«.

Ten młody Cezar, biblioman i filozof, który z żalem porzucił był krótki płaszcz Ateńczyka, z początku pociesznym był żołnierzem. Maszerował zgarbiony, ze spuszczoną głową, jak uczniak, w takt marsza pyrryjskiego z trudem stawiał kroki, a gdy w pancerzu oddawał się ćwiczeniom wojskowym, mruczał pod nosem: »Takem do tego zdatny, jak wół do karety!« A w przestankach wzdychał: »O Platonie!« Był to, jak go określa dobry Ammianus Marcellinus »młody uczeń Muz, wychowany jak drugi Erechteus na łonie Minerwy, w spokojnych

ogrodach Akademii«.

Miał on jednak silną wolę i wytrwałą; po kilku tygodniach stał się dzielnym żołnierzem, zdolnym dowódcą. Jego wyprawy do Germanii godne są Trajana. W ciągu czterech lat, Julian trzy razy przeszedł Ren, oswobodził dwadzieścia tysięcy jeńców rzymskich, zdobył czterdzieści warowni i stał się panem całego kraju. Mimo to pozostał dawnym uczniem Ateńskim, naśladowcą filozofów. Wiodąc swe wojska z miasta do miasta, zdumiewał barbarzyńców łagodnością i prostotą. W ulubionej Lutecyi, gdzie był główny jego obóz, wiódł surowe, pełne rozmyślań życie, które według jego mistrzów, neo-platoników, jest właśnie życiem najdoskonalszem. Pościł i modlił się, aby dostąpić łaski obcowania z bogami, i w istocie miewał widzenia, które spisał Ammianus Marcellinus. Tam to w pałacu »Termy«, którego ruiny obecnie co wieczór słuchają piosenek studenckich, żołnierze okrzyknęli Juliana Imperatorem. W braku stosownej korony ofiarowali Julianowi dyadem kobiecy, który odrzucił z łagodną pogardą filozofa. Podali mu następnie nagłównik koński, którego również nie przyjął. Żołnierze byli w niemałym kłopocie, gdy jakiś włócznik zdjął swój łańcuch, znak chorążych, i włożył go na głowę nowego Augusta.

Obeszło się bez wojny domowej, bo śmierć Konstancyusza nastąpiła w samą porę, i Julian, uznany przez całe państwo, miast walczyć z poprzednim imperatorem, musiał go tylko pochować.

Opowiadają, że gdy pewnego dnia w mieście którego

nazwy nie pamiętam, Julian świeżą przyobleczony purpurą przejeżdżał wśród okrzyków ludu, jakaś ociemniała staruszka wyciągnęła rękę do młodego Cezara i zawołała proroczym głosem: »Oto ten, który przywróci świątynie bogów!« Ale wówczas Julian był chrześcianinem, jak i jego ojciec. Na rozkaz Konstancyusza od dzieciństwa wdrażano go do nabożeństw galilejskich; otrzymał był nawet pierwsze święcenia i wykładał ludowi Pismo Święte w kościele w Cezarei. Mimo to kobieta owa miała słuszność; ten lub inny szlachetny nieprzyjaciel chrześcian, Libanius lub Maksym z Efezu, mógł był ją ogłosić za natchnioną z nieba, albo uwierzyć, że sama Minerwa, jak za czasów Homera, wzięła na się postać ludzką, by wybrańca swego zagrzać do prawych czynów. Julian powołany do władztwa, miał w czasie swych świetnych kilkunastomiesięcznych rządów, spełnić to, co przepowiadała ociemniała staruszka. Tylko przymus czynił zeń wyznawcę Chrystusa; dzieckiem jeszcze nienawidział chrześciaństwa, ponieważ to była wiara jego prześladowców i zabójców całej jego rodziny. Zwiedzając w Nikomedyi groby męczenników, rozmyślał nad tajemnicami Dobrej Bogini i nad boskością Słońca. Z pozoru chrześcianin, w głębi serca był hellenistą. »Wprost odmiennie niż w bajce, mówi Libanius, był to lew, który przybrał skórę osła«. I Libanius dodaje jeszcze, że Julian zostawszy Imperatorem, zerwał jak lew szalony wszystkie więzy, łączące go z chrześciaństwem.

Niepodobna dokładnie zliczyć liczby chrześcian i pogan w państwie, w chwili wstąpienia Juliana na tron. Przypuszczać można, że w Egipcie i w całej prowincyi

Afrykańskiej siły liczebne chrześcian i pogan były prawie równe. Wiadomo zaś, że w Azyi, przeciwnie, ludność miast była przeważnie chrześciańska. W Syryi, w Poncie, w Kapadocyi, w Galacyi, nawet wieśniacy byli chrześcianami. W Europie chrześciaństwo nie przeniknęło jeszcze do wsi; tam »pagus« — wioska — pozostała pogańską: wszak dawnej ginącej religii nadała nawet swą nazwę. Ale wiejskie obrządki Gallii i Italii nie miały nic wspólnego z oświeconym mistycyzmem retorów i filozofów-hellenistów. Co do miast Zachodu, to te, w których panował język grecki, były przeważnie chrześciańskie, te zaś, w których panowała łacina, — były pogańskie. Ale takie rozgraniczenie ściśle nie da się przeprowadzić. Wogóle chrześcianie niewątpliwie przewyższali liczbą hellenistów i pogan razem wziętych.

Oni to zajmowali urzędy i posady, ustępując hellenistom jedynie w organizacyi nauczania, co wprawdzie w społeczeństwie ówczesnem niemałą było potęgą. W takim stanie rzeczy, polityk nie próbowałby przywracać ołtarzy, skruszonych przez Konstantyna.

Julian nie był politykiem. Był to człowiek głęboko wierzący, a nawet natchniony. Przywrócił dawny kult i obrządki ofiarne dla miłości bogów, a wcale nie przez wzgląd na ludzi. Jako głęboki teolog i surowy moralista, szedł za głosem swego sumienia i za popędem wiary, podniecanej przez posty i bezsenność. Nie sypiał wcale. W nocy kładł się na prostym sienniku i zaraz wstawał, by pisać lub rozmyślać. Dreszcz przechodzi na myśl o cesarzu, który nigdy nie sypia. Jego pisma są świadectwem podniecenia

mistycznego. Oto, co mówi np. w jednym małym traktacie teologicznym:

> »Od dzieciństwa czułem gorącą miłość dla promieni boskiej gwiazdy. W dzieciństwie jeszcze rozmyślałem nad światłem sfer eteru i pragnąłem nietylko spoglądać na nie w dzień, ale nawet w nocy, gdy niebo było pogodne i czyste, porzucałem wszystko, by podziwiać cuda niebieskie. Wpadałem wówczas w taki zachwyt, żem nie słyszał, gdy do mnie mówiono, i traciłem świadomość własną«.

Nikt nie będzie wątpił o szczerości tych wynurzeń. Julian był człowiekiem religijnym. Co do tego niema dwóch zdań. Trudniej o wiele wypowiedzieć stanowczo, jaką to mianowicie wiarę wyznawał. Gaston Boissier mniema, że miał on swój własny, sztuczny kult, którego dogmaty jeden po drugim wysnuł ze swego zgorączkowanego umysłu. Ale nie można pojąć, jak taki kult dał się wprowadzić w życie w przeciągu kilku miesięcy. Sądziłbym więc raczej, że Julian przywrócił starą religię w tej formie, która wówczas właśnie była przyjęta.

Religia ta nie było to bynajmniej pogaństwo, jeżeli pod tą nazwą rozumieć chcemy gminne bałwochwalstwo; nie był to również politeizm, dawno w umyśle oświeconych Rzymian zastąpiony przez pojęcie jedynego boga i boskiej opatrzności. Był to hellenizm, i tą właśnie nazwą oznaczano wówczas tę religię. Julian był subtelnym teologiem; za przykładem swych mistrzów, dowcipnie tłómaczył mity

starożytne. Nowatorem nie był jednak zgoła. Pojęcia jego o słońcu i o matce bogów wzięte są z Porfirosa i z Jamblichosa. W wielu miejscach swych pism zaznacza wyraźnie, że nie zamierza odstępować od zasad Jamblichosa. »Idźmy — mówi — świeżymi śladami człowieka, którego po bogach czczę i uwielbiam na równi z Platonem i Arystotelesem«. A w innem miejscu: »Otwórz pisma boskiego Jamblichosa, a znajdziesz w nich szczyt mądrości ludzkiej«. Porfiros i Jamblichos byli to nietylko filozofowie neo-platonicy, ale też cudotwórcy i magowie. Gdy się modlili, ciało ich o dziesięć łokci wznosiło się nad ziemię, a twarz i odzież przybierały blask złota. Ci neo-platonicy nadali religiom Grecyi ostatnią, wyszukaną i dziwaczną formę. Tę właśnie formę przywrócił Julian, ale nie on ją wynalazł. Dochodzimy do wniosku, że w owej chwili rozwoju ludzkości umysł religijny musiał wybierać wyłącznie między mistycyzmem neo-platoników i dogmatyzmem chrześcian. I jeśli porównamy te dwa sposoby pojmowania bóstwa, zauważymy łatwo, że nie różnią się tak bardzo, jak to sądzili teologowie. Nie twierdzimy wprawdzie za przykładem Emila Lamé, zdolnego i oryginalnego historyka, że Julian był chrześcianinem lepszym od samych chrześcian, ale przyznajemy, że ten odstępca był w swych myślach i obyczajach bardzo blizki tego Kościoła, na którego zgubę działał, a który zwycięzki przez czternaście wieków przeklinał jego pamięć. Nie jest to prawdą, by przewaga chrześcian nad Julianem polegać miała na tem, że ich Bóg »był jedyny i powszechny, opiekun wszystkich ludów bez

różnicy i bez wyboru«. Jedyny a potrójny Bóg Juliana bardzo jest podobny do Trójcy świętego Anastazego i chrześcian hellenistów. Julian i Libanius byli to platonicy; Bazyli i Atanazy — również. Cóż uczynił w rezultacie ten zacny uparciuch Julian? Zastąpił Trójcę chrześciańską tryjadą aleksandryjską, jedynego Boga chrześcian — jedynym bogiem filozofów, Logos, Słowo, syna Bożego — przez słońce, Pismo święte i Objawienie — przez tłómaczenie mitów, chrzest — przez dopuszczenie do tajemnic, wiekuistą szczęśliwość świętych — przez nieśmiertelność bohaterów i mędrców. Te pojęcia, gdy patrzymy na nie z oddalenia, zdają się jak siostry podobne do siebie, a niepoznające się wzajem. A gdy zwrócimy uwagę na etykę Juliana, to jeszcze bardziej uderza, że ze źródeł aleksandryjskich wypływa ten sam ideał ubóstwa, czystości, ascetyzmu, co i ze źródeł chrześciańskich. Odstępca wiódł żywot świętego. Ammianus Marcellinus, świadek całego jego życia, podaje, że Julian po śmierci swej żony, Heleny, zaniechał zupełnie stosunku z kobietami. »Wstrzemięźliwość tę, — dodaje łagodny Ammianus — w wysokim stopniu ułatwiało mu to, że w pałacu, tak samo jak w obozie, dużo pościł i mało sypiał«.

Jak ojcowie, kościoła, Julian z zasady nie znosił i unikał zabaw cyrkowych. Uważał za wstyd patrzeć na tańczące kobiety, lub na pląsających chłopców, pięknych jak one. Sypiał na rogoży, jak asceta, a nawet i niechlujstwo brody i paznokci trąci u niego cnotą chrześciańską.

A jednak hellenizm ze swymi giętkimi dogmatami, z bogatą filozofią, z poetycznemi tradycyami, nadałby może

duchowi ludzkiemu bardziej urozmaicone i łagodniejsze barwy... Ciekawą rzeczą byłoby widzieć, czemby się stała współczesna ludzkość, gdyby się była rozwijała pod płaszczem Dobrej Bogini, a nie pod cieniem Krzyża. Niestety, kwestya to niemożliwa do rozstrzygnięcia. Dzieło Juliana się nie powiodło i wraz z nim upadło. A z nim upadły i te nadzieje, o których z szlachetnym i czystym entuzyazmem pisał Libanius:

> »Teraz zaprawdę wróciliśmy do życia; tchnienie szczęścia przebiega całą ziemię od chwili, gdy istny bóg w ludzkiej postaci panuje nad światem, gdy na nowo zapalają się ognie na ołtarzach, gdy w powietrzu unosi się dym ofiarny«.

Nad tem jednak zastanowić się można, czy rzeczywiście usiłowania Juliana były tak nierozumne, jak to dawniej powiadano. Zdaje się, że na początku przynajmniej nie napotykały przeszkód. Po miastach zapał był wielki i cesarz musiał osobnym edyktem zakazać oklasków, którymi witano go, gdy wchodził do świątyń. Tak samo, jak za panowania Konstantyna, liczne były nawrócenia (acz teraz w przeciwnym kierunku); między innymi nawrócił się biskup Ilionu, Pegasos. Te rezultaty osiągnięto w czasie bardzo krótkim, bo panowanie Juliana właściwie liczyć trzeba na miesiące, a nie na lata. Z drugiej strony wiadomo jednak, iż trudności piętrzyły się z dnia na dzień i stan sprawy w chwili śmierci imperatora był gorszy, niż przy wstąpieniu na tron. Mimo to nie można twierdzić, że zamiar

był niemożliwy do wykonania. Tego nie wiemy wcale. A zresztą czyż nie przychodził w porę dla społeczeństwa, które odczuwało konieczną potrzebę religii powszechnej a jednocześnie zaczynało się nużyć bezustannymi sporami sekt chrześciańskich?

Jeśli Julian mylił się, (a ostatecznie mylił się, bo nie dopiął celu), to błądził jak człowiek uczciwy. Widzieliśmy jego niewątpliwą szczerość. Jednoczył w sobie tolerancyę i wiarę, a to jest rzadkie i piękne. Usiłowano mu odmówić umiarkowania wobec bogów. Książę Broglie chciał go przedstawić jako prześladowcę; ale miał z tem niemało kłopotu, co u tak zdolnego historyka jest wskazówką fałszywego punktu wyjścia. Julian występował zawsze przeciw środkom gwałtownym, i pod tym względem jest w świecie rzymskim wyjątkiem:

> »Postanowiłem, — mówi on — z chrześcianami postępować łagodnie i względnie; zakazałem używać przymusu, wlec gwałtem do świątyni, lub zmuszać do czynów sprzecznych z przekonaniem własnem.«

Nigdy nie zadał kłamu tym pięknym słowom, i jeszcze na krótko przed śmiercią mówił:

> »Tylko słuszność powinna przekonywać i oświecać ludzi, a nie razy, obelgi i męki. Zawsze zatem wzywam zwolenników prawdziwej religii, aby nie wyrządzali chrześcianom żadnej krzywdy, by nie pozwalali sobie względem nich na gwałty i przymus.

Raczej litość niż nienawiść trzeba mieć dla ludzi, którzy są tak nieszczęśliwi, że błądzą w sprawach pierwszorzędnej wagi«.

A najciekawsze to, że Julian był jednocześnie żarliwym wyznawcą i filozofem, przejętym zasadami ludzkości. Był jedynym w swoim rodzaju wzorem fanatyka i toleranta zarazem.

Ten cesarz stronny i dobroduszny zarazem, by bronić swej religii prawowiernej, ucieka się do rozumowań subtelnych i do filozoficznej ironii. Szydzi z tych, których mógłby skazać na śmierć, a że drwi dowcipnie, mówią o nim, iż nie zna tolerancyi. Wychowany w gwałtowności rzymskiej i w bizantyjskiem okrucieństwie, nauczył się jednak szczędzić życie ludzkie i szanować swobodę myśli. Jest wszechwładnym Cezarem, a gdy chce ukarać poddanych, którzy obrazili jego i bogów, pisze na nich satyrę w rodzaju traktatów Lukiana. A jest to polemista niebezpieczny, bo mimo mistycyzmu i astrologii, nie brak mu dowcipu.

Na początku panowania z chytrą pobłażliwością przyzywa biskupów, wypędzonych przez Konstancyusza. Byli to aryanie i ich chce zwrócić przeciw Kościołowi. »Wiedział on bowiem, — mówi Ammianus, — że chrześcianie we wzajemnych swych kłótniach gorsi są niż dzikie zwierzęta«. Bez prześladowań wyrządził chrześcianom dotkliwą szkodę: odebrał im prawo nauczania retoryki. Niech pozostawią hellenistom, — mawiał on — objaśnianie Homera i Platona, a niech idą do kościołów

swych wykładać Łukasza i Mateusza. Powziął on nawet, by dowieść fałszu proroctw Chrystusowych, drastyczną myśl odbudowania świątyni Jerozolimskiej. Umarł jednak w Persyi, zanim mógł urzeczywistnić ten zamiar. Podbił już był Armenię, Mezopotamię, przeszedł Tygrys i wziął Ktezyfon, gdy otrzymał śmiertelny postrzał w wątrobę. Ammianud Marcellinus, świadek jego śmierci, zapisał ostatnie jego słowa. Zapewne historyk ubarwił je nieco, a może wogóle cała przemowa jest zmyślona. Mimo to, oddaje ona istotne myśli Juliana; biograf mógł się był przejąć niemi w długiej i ciągłej zażyłości. Jest to testament tego niezwykłego człowieka. Przynosi mu zaszczyt, więc przytoczę go tu w całości:

»Przyjaciele moi i towarzysze! Natura żąda ode mnie zwrotu tego, czego mi użyczyła; oddaję to jej z radością dłużnika, który się uiszcza z długu, a bynajmniej nie z boleścią ani z wyrzutami, tak jak to większość ludzi nieodłącznie czyni w położeniu, w którem się znajduję. Filozofia przekonała mię, że dusza jest tylko wtedy szczęśliwa, gdy wyzwoli się z pęt cielesnych; i należy się raczej cieszyć niż smucić, gdy najszlachetniejsza cząstka nasza opuszcza to, co ją poniża i upadla. Zauważyłem również, że bogowie często zsyłają śmierć ludziom wybranym, jako najwyższą nagrodę dla uwieńczenia ich cnót. Biorę więc śmierć jako łaskę; bogowie chcą mi oszczędzić przeciwieństw, któreby może kazały mi zniżyć się, albo popełnić jaki czyn niegodny. Umieram bez

zgryzot, gdyż życie moje wolne było od zbrodni, zarówno w niedoli, gdy trzymano mię zdala od dworu, jak i wtedy, gdy wyniesiono mię na tron. Władzę, którą posiadałem, uważam za emanacyę potęgi boskiej; sądzę, że była w mych rękach czysta i nieskazitelna, bo narodami, powierzonymi mej pieczy, rządziłem łagodnie, a wypowiadałem i prowadziłem wojny jedynie w imię słuszności. Jeżelim nie dopiął celu, to dlatego, że powodzenie zależy od woli bogów. Byłem przekonany, że szczęście ludów jest jedynym celem sprawiedliwych rządów i nienawidziłem władzy despotycznej, tego nieszczęsnego źródła upadku obyczajów i państw. Kochałem zawsze pokój; ale gdy ojczyzna mię wzywała do broni, byłem posłuszny, jak syn uległy bezwzględnym rozkazom matki. Patrzałem niebezpieczeństwu w oczy i spotykałem je z radością. Nie będę ukrywał, że dawno już przepowiedziano mi śmierć gwałtowną. I dlatego składam dzięki wiekuistemu Bogu, że nie dał mi paść z ręki spiskowców, ani zaznać cierpień przewlekłej choroby, lub okrucieństw jakiego tyrana. Wielbię łaskę jego nademną, że zsyła mi chlubną śmierć wśród pełnego chwały przedsięwzięcia. Sądząc rzecz bezstronnie, przyznać trzeba, że zarówno nikczemnie jest przyzywać śmierci, gdy żyć należy, jak i żałować życia, gdy czas jest umrzeć«.

Czyż nie Marek Aureliusz to mówi? Próbowałem dać tę zbyt krótką apologię Juliana, bo sądzę, że nietylko

autorowie duchowni bezwzględnie się z nim obeszli, ale i u współczesnych historyków-myślicieli nie znalazł słusznego sądu. August Comte bardzo ostro się o nim wyraża. Słyszałem, jak Renan orzekł o nim krótko: »Julian! to był wstecznik!«. Być może, ale był on jako Cezar — człowiekiem uczciwym, i jako teolog — człowiekiem rozumnym. Zgadzam się, że zbłądził, pragnąc utrzymać to, co było skazane na zagładę nieodwołalną, ale zarazem w obronie straconej sprawy rozwinął przymioty najrzadsze. Wreszcie — jest-że to mało zjednoczyć pod purpurą zalety filozofa, kapłana i żołnierza?

KLEOPATRA.

Paweł Stapfer w dziele: »Szekspir a starożytność« oblicza, że Kleopatra była bohaterką dwóch tragedyj łacińskich, szesnastu francuskich, sześciu angielskich i przynajmniej czterech włoskich. Nie umiałbym wymienić nawet tych francuskich szesnastu, wystarczy gdy wspomnę: *Kleopatrę w niewoli* Jodelle'a (1552), *Miłostki Marka Antoniusa i Kleopatry* przez Belliard'a (1578), *Kleopatrę* Mikołaja Montrena (1594), *Kleopatrę* Benserade'a (1636), *Marka Antoniusa* przez La

Thoriller'a (1677), *Śmierć Kleopatry* Chapelle'a (1680), *Kleopatrę* Marmontel'a (1750), *Kleopatrę* Aleksandra Soumet'a (1824) i *Kleopatrę* pani de Girardin (1847), nie mówiąc o mającej się ukazać »Kleopatrze« Wiktoryna Sardou i nie licząc *Śmierci Pompejusa* wielkiego Corneille'a, gdzie Corneille przedstawia nam Kleopatrę cnotliwą, pożądającą ręki Cezara, a przez wspaniałomyślność tylko biorącą w obronę wodza zwyciężonego pod Farsalą. Powiernica jej Chermiona wobec tak wzniosłego uczucia mówi: »Miłość widocznie nie ma nad Tobą potężnej władzy«. A Kleopatra odpowiada: »To przywilej mego szlachetnego królewskiego pochodzenia«. Trudno pojąć, jak Corneille mógł napisać coś równie śmiesznego; ale zastanowiwszy się widzimy, że to wynika z wzniosłości jego geniuszu. Nie będąc nawet głębokim, jak Szekspir, znawcą duszy ludzkiej, nasz stary poeta rozumiał jednak, że nigdy Kleopatra nic podobnego pomyśleć ani powiedzieć nie mogła, ale pragnął ją upiększyć, uczynić godną tragicznej sceny, przystosować do typu przekazanego przez Arystotelesa, a zwłaszcza chciał ją przedstawić według własnego gustu, a był to gust szlachetny. Szafował pięknemi zdaniami i uczuciami wzniosłemi, ale aż nadto widoczna, że poczciwiec czerpał je w swym kałamarzu. Dziś już trudno wystawić sobie stan umysłu, w jakim pisał swe tragedye, w przerwie między dwoma procesami, bo jako adwokat i Normandczyk pieniaczem był niemałym. Dla wielkich tego świata miał głębokie uszanowanie, a jego pojęcia o księżniczkach nie były zgodne z fizyologią. Odmienny był geniusz Szekspira:

to też jego Kleopatra jest postacią żywą. Wiktoryn Sardou niezmiennie zachwyca się Corneille'm i bardzo słusznie, boć ostatecznie jest to wielki Corneille. Zachwyt ten raz jeszcze zaznacza on w liście otwartym, w którym broni się od zarzutu, jakoby nie uznawać miał wielkiego Willa, sądzi jednak, że miejsce, zajęte przez piewcę Hamleta na jednej z naszych ulic, należałoby się raczej autorowi »Polyeucte'a«. Oczywiście biust Corneille'a byłby w Paryżu na należnem miejscu, i kto czci sławy narodowe, z szacunkiem spoglądałby na to surowe i chmurne oblicze. Co do Szekspira, jest to poeta całej ludzkości, i miejsce jego jest wszędzie, gdzie są ludzie zdolni odczuć prawdę i piękno; jest on, jak Homer, ponad narodowością.

Sardou nie powinien narzekać, że spotyka się z nim na bulwarze Haussmann'a; może tylko żałować, że rzeźbiarz zrobił mu tak szpetne nogi.

Znam Wiktoryna Sardou i wiem, że ma on smak wytworny, a kształty wadliwe muszą obrażać jego poczucie piękna i przykro mu jest patrzeć na postać tak niezgrabną. Ja sam, ilekroć przechodzę przez ten wspaniały a monotonny bulwar, również cierpię nad tem i nieraz litowałem się nad krawcem, anglikiem, którego sklep jest tuż za posągiem; fachowa znajomość rzeczy dokładniej jeszcze ukazywać mu musi potworność, którą niezręczny rzeźbiarz obdarzył jego wielkiego ziomka.

Zaiste jest to Szekspir źle ubrany!

Listem swym Sardou chce jednak dowieść, że nigdy nie myślał lekceważyć Szekspira. Utrzymywano, jakoby Szekspirowi odmówić miał talentu; jest to fałsz stanowczy.

Sardou nie mógł powiedzieć tego, byłby to nonsens, a kto kiedykolwiek rozmawiał z Sardou, wie dobrze, że on nigdy głupstw nie mówi. Jest to umysł bogaty i subtelny; mózg jego to prawdziwa biblioteka, muzeum sztuki; interesuje się on wszelkimi objawami życia, obyczajami, właściwościami czasu i miejsca. Nie znam jego »Kleopatry«, lecz jestem pewien, że jest to rzecz źródłowa, że w najdrobniejszych szczegółach wskrześnie przed nami przeszłość tajemnicza.

Dzieje Antoniusa i Kleopatry są same przez się niezrównane i tak wzruszają przepychem rozkoszy i tragizmem, że nawet artyzm Szekspira nic do nich dodać nie może. Trzeba o tem czytać w Plutarchu. Stary Plutarch opowiada znakomicie.

Kleopatra nie była zbyt piękna, nie była ani młodsza, ani piękniejsza od tej czystej Oktawii, której na śmierć i życie zabrała Antoniusa.

> »Sama jej piękność — pisze Plutarch — nie była tak niezrównana, by nie można było znaleść piękniejszej od niej, ani tak uderzająca, by odrazu wzrok zachwyciła; ale rozmowa, obcowanie z nią było tak miłe, że nie podobna było nie uledz jej czarowi; piękność jej, połączona z dowcipem, z łagodnem i uprzejmem usposobieniem, dodawała uroku wszystkiemu, co mówiła, tak że niepodobna mu było się oprzeć. Rozkoszą już był sam dźwięk jej głosu, który był jak instrument muzyczny o kilku rejestrach; tak właśnie mówić umiała kilkoma językami: z Egipcyanami, Arabami, Hebrajczykami,

Syryjczykami, Medami i Partami rozmawiała w ich języku bez tłómacza«.

Zwyczajem aleksandryjskim, była wytwornie wykształcona. Miłym dla niej darem Antoniusa była biblioteka Pergamska, złożona z 200.000 tomów; potworem była tylko w oczach napuszonych poetów, przyjaciół Augusta. Oni to utrzymywali, że oddawała się niewolnikom, choć nic podobnego nie było wiadomo; przypisywali jej licznych kochanków: Gnejusa Pompejusa, Cezara, Delliusa, Antoniusa i Heroda, pięknego króla Judei. Pewnym historycznie jest tylko jej stosunek z Cezarem i Antoniusem; o innych nic nie wiadomo, zwłaszcza romans z Herodem zdaje się być baśnią, puszczoną przez Józefa Flaviusa. Kleopatra była kobietą niebezpieczną i pod tym względem można podzielać o niej sąd starego profesora, o którym wspomina Heine. »Mój stary profesor« — pisze Heine — »nienawidził Kleopatry i gorliwie zwracał nam uwagę, że zgubiła ona Antoniusa, który oddawszy się jej, zburzył całą swą działalność polityczną, ściągnął na siebie troski domowe i popadł w nieszczęście«.

Jest to szczera prawda. Kleopatra zgubiła Antoniusa, przyczyniła się może i do zguby Cezara: złote są słowa starego profesora. Nie wystarcza to jednak, aby nazwać ją za Propertiusem królową-gamratką: *»regina meretrix«*. Rzymianie nienawidzili Egipcyanki, napędziła im bowiem strachu. Horacy i Propertius przyznają, że Rzym drżał w przeddzień bitwy pod Actium; to też śmierć Kleopatry była dla Wiecznego Miasta hasłem wesołych uroczystości.

»Teraz pora radować się, zbyt długo nie można było myśleć o tem, gdy królowa gotowała zniszczenie i zgliszcza dla Kapitolu i Państwa. Naszemu Jowiszowi śmiała przeciwstawiać psią mordę swego Anubisa i zagłuszać chciała dźwięk trąb rzymskich zgrzytliwymi tonami egipskiej piszczałki. Na Kapitolu pomiędzy wizerunkami i trofeami Mariusa chciała rozbić swe namioty!« Zginął nareszcie nienawistny potwór, należało ucztować, tańczyć, nieść bogom ofiary!

I to przed kobietą, przed drobną kobietą drżał Senat i lud rzymski. Mówimy, że była drobna; — nie wiemy tego istotnie; kierujemy się tylko paru niepewnemi wskazówkami. By uniknąć zasadzek eunucha Pothinosa, kazała zanieść się do Cezara w worku z grubej tkaniny, malowanym w pstre pasy; takich worków używano w podróży do przechowywania materaców i kołder. Wyskoczywszy z worka, Kleopatra stanęła przed zachwyconym wzrokiem Rzymianina; w takiej okoliczności więcej wdzięku i czaru przypisać możemy kształtom drobnym i gibkim; posągowa postawa niezbyt się nadaje do takiej sytuacyi. W jednym ze swych anegdotycznych obrazów Gerôme odmalował tę scenę i kierując się tylko swem natchnieniem, przedstawił, o ile pamiętam, Kleopatrę drobną i zgrabną. Za taką właśnie jej postacią nie przemawiają jednak żadne dokumenty historyczne. Niema też autentycznego portretu Kleopatry; oblicze królowej zniknęło bez śladu z tej ziemi, na którą sprowadziło tyle nieszczęść i żałoby. Kleopatra jest wprawdzie kilkakrotnie z synem swym, Ptolomeusem Cezarionem, wyobrażona na

płaskorzeźbach świątyni w Denderah; ale są to hieratyczne postacie sztuki tradycyjnej, których typ jest z góry określony i zgoła nie trzyma się natury. W bogini Hathor, w bogini Izys, sztywno stojącej z zaplecionymi włosami, z tuniką jakby przylepioną do ciała, jakże rozpoznać tę szaloną kochankę, z Antoniusem nocami biegającą po wertepach Rhakotidy przyglądać się bójkom majtków pijanych! Co zaś do pięknej rzeźby, spotykanej często po pracowniach, H. Houssaye ostrzega nas, by w niej nie szukać rysów pięknej córy Lagidów. »Ta płaskorzeźba — pisze Houssay — znaleziona, zdaje się w 1862 roku, nie miała żadnego napisu; jakiś egiptolog, może żartem, zaopatrzył ją inicyałami Kleopatry, i odtąd znajduje się w handlu jako autentyczny portret ostatniej królowej Egiptu.«

Ten żart przypomina mi też cokolwiek późniejszą pomyłkę; w 1866 pewien Włoch wystawił w pustem mieszkaniu przy ulicy Jacob zbiór starożytności rzymskich i egipskich; był też między niemi obrazek, dosyć miernie i bez stylu wykonany, wyobrażający kobietę z wężem u nagiego łona. Włoch zaklinał się na wszystkie świętości, że jest to autentyczny portret Kleopatry, ten sam, który niesiono przed tryumfalnym rydwanem Oktawiana; w zachwycie swym wyprawiał dzikie skoki przed obrazem, przyglądał mu się ponurym wzrokiem, przesyłał pocałunki, wykrzykiwał nieustannie: »ach, jakaż piękna, jakaż piękna!« Przyjechał z zamiarem sprzedaży tego malowidła w Paryżu, i rwał włosy z rozpaczy i oburzenia, gdy mu mówiono, że jest to nieudolna praca jakiegoś artysty amatora, akademika w Rzymie lub Wenecyi, obraz z

początku bieżącego wieku. A jednak tak było napewno.

Istnieją także medale Kleopatry; numizmatycy znają około piętnastu typów różnorodnych: wszystkie są po większej części źle odbite i na wszystkich Kleopatra ma rysy ostre i pospolite, nos niepomiernie długi. Znanem jest głębokie zdanie Pascala: »Gdyby nos Kleopatry był krótszy, inną byłaby postać świata«. — My nie będziemy wierzyć medalom muzeum wiedeńskiego i brytyjskiego. Powiemy, że stało się tu coś takiego, jak na przestawieniu sztuk czarodziejskich, gdzie odrazu wszystkie nosy wydłużają się na wszystkich obrazkach; możemy śmiało kpić z numizmatyki, która tu kpi sobie z nas. Twarz, dla której Cezar zapomniał o władztwie nad światem, nie mogła być śmiesznym nosem oszpecona.

Fakt jest niezbity, że Cezar kochał Kleopatrę; boski Juliusz przekroczył już był pięćdziesiątkę, syt był sławy i rozkoszy, wyczerpał wszystkie silne wzruszenia i radości, które życie dać może, wytworna twarz jego przybrała już spokojną bladość marmuru. Zdawać by się mogło, że dla takiego człowieka pozostało już życie umysłowe; jednak wbrew temu, co o tem mówi Mommsen, Cezar kochał Egipcyankę do szaleństwa. Bo szaleństwem było sprowadzać ją do Rzymu, a większem jeszcze wznosić jej posąg, jako bóstwu, w świątyni Wenery. Wśród ogrodów Cezara, położonych na prawem wybrzeżu Tybru, Kleopatra zajmowała willę z synem swym i dworem; dyktator zamieszkiwał w jednym z gmachów publicznych na Drodze Świętej, ale często odwiedzał willę, do której schodzili się też i jego przyjaciele. Tam Marek Antonius po raz pierwszy

ujrzał Kleopatrę. Przyjmowała także Attyteusa i Cycerona, pogodzonego z Cezarem. Cycero był wielkim amatorem ksiąg i zabytków; skarby te były rzadkością w Rzymie, lecz było ich dostatkiem w Aleksandryi, prosił więc Kleopatry o dostarczenie mu kilku rękopisów i waz kanopskich. Kleopatra przyrzekła, i poleciła tę sprawę zaufanemu dworzaninowi swemu Ammoniusowi. Mimo to księgi nigdy nie nadeszły, i Cycero zachował stąd urazę do królowej. Kleopatra w czasie pobytu swego w Rzymie przedstawia się w zupełnie innem świetle, niż ją zwykle widzimy. Skromna, spokojna, pozbywa się przepychu azyatyckiego i tylko pracom umysłowym się oddaje, długie godziny spędzając na rozmowie z Cyceronem. Te czarowne chwile w willi nad Tybrem przerwał sztylet Brutusa; po zgonie Cezara, Kleopatra pośpiesznie opuszcza Rzym, gdzie rozszalały krwawe walki bratobójcze, i wraca do Egiptu.

Tam to pocznie się najszaleńsza i najstraszniejsza z przygód miłosnych, romans Marka Antoniusa i Kleopatry. Sara Bernhardt przedstawiła nam Kleopatrę (a z jakim wdziękiem i z jakim czarem!) jako Egipcyankę, ale Kleopatra była Greczynką, Greczynką z urodzenia i z ducha. Wychowana w obyczajach i w sztuce greckiej, miała wdzięk, wymowę, wykwintne obejście i przemyślną śmiałość swej rasy; nigdy bogowie Egiptu nie zawładnęli jej duszą uśmiechniętą, nigdy nie żyła w półsennym majestacie wschodniej królowej. Greczynką też była przez swój gust wykwintny i przez dziwną giętkość charakteru.

W Rzymie zachowywała wszelką przystojność, i po jej

śmierci nawet najzaciętsi wrogowie, przyjaciele Augusta, brutalnie po rzymsku szkalując jej pamięć, przyznać musieli, że w willi Cezara, w cieniu pinij i cyprysów, w ogrodzie nad Tybrem, postępowała bez zarzutu.

Była Greczynką, ale była zarazem i królową, to jest istotą wyjętą z praw miary i harmonii, z owego losu przeciętnego, upragnionego przez Greków, których poeci łacińscy i w tem mieli naśladować dosłownie i niewolniczo. Była nadto królową wschodnią, a więc istotą potworną. Okrutnie ukarała ją za to Nemezis bogów, ta Nemezis, którą Grecy stawiają wyżej od samego Zeusa, bo jest ona poczuciem rzeczywistości i możliwości, uznaniem tego, co jest koniecznością istnienia. Stworzona do tajnych sztuk żądzy i miłości, kochanka i królowa, naturalna a zarazem potworna, Kleopatra — to Chloe grecka, której los nie uczynił pasterką. By od ruchów pięknego ciała, od tchnienia ust ślicznych zależeć miały losy świata, to nie jest w stylu greckim, i na to Nemezis bogów nigdy się nie godzi. Śmierć ostatniej córy Lagidów odkupiła zbrodnię Aleksandra Macedońskiego, tego Greka półbarbarzyńskiego, który w pijanych zwycięstwach wwiódł ducha helleńskiego do zmysłowego i okrutnego Wschodu. Kleopatra miała pewne poczucie miary i harmonii; zachowała nawet jakby instynkt piękna, prawdy i rzeczywistości, o ile na to pozwalały jej wszechpotęga, zbrodnia dziedziczna jej rodu, i szał otaczającego ją świata, pogrążonego w orgii zmysłowej, gdzie hellenizm co krok potrącał o barbarzyństwo. Nieszczęściem jej i sławą straszną było, że królową będąc, była czarującą, że była

stworzoną na kochankę, na Lesbię, Delię lub Leukonoe, a nie mogła bez wywołania wojny otworzyć cudnych swych ramion.

Nie była zapewne wzorem cnoty; nie będę w tym względzie szperał mozolnie jak archeologowie po tekstach greckich i łacińskich, nie będę dochodził, co Kleopatra uważała za dozwolone lub wzbronione; sądzę, że pozwalała sobie bardzo dużo, ale zgodzę się też z Henrykiem Houssaye, który oględnie utrzymuje, że niepodobna podać spisu kochanków królowej. Aby takie listy układać, trzeba być zaciekłym bibliomanem, jak starożytny Aelianus lub poczciwy Peignot, którzy jednak więcej, niż rozsądek każe, wierzyli starym dokumentom. Pewnem jest, że burzliwej, namiętnej miłości Antoniusa odpowiedziała nieprzyćmionym jeszcze blaskiem źrenic i żarem zmysłów, nie wyczerpanych jeszcze rozpustą. Wiemy, że kochała zwycięzcę z pod Filippów i Farsali, że kochała go do zgonu. Inne jej miłostki zatarły się bez śladu, jak troski nieznane tylu miliardów istot, które przez wieki kochały, cierpiały i umierały na naszym globie, jak miłosne dreszcze tylu kochanek, które w ciągu wieków kochały lub zdradzały na tej ziemi, a nie zostawiły nawet, tak jak pompejańska dziewczyna, odcisku swych piersi w popiele. Przed poznaniem Antoniusa ta kobieta inteligentna, dumna, ambitna i mściwa była więcej królową, niż kochanką. Idąc śladem Faraonów i Ptolomeuszów, zabudowała Aleksandryę przepysznemi gmachami; umiała też stawić czoło intrygom eunuchów, buntom domowym i ludowym; śmiałym podstępem umiała wrócić znowu do miasta i

zamku, z którego raz ją wygnano. Potrafiła utrzymać w karbach pretensye, które sobie Rzym rościł do jej państwa. Jeśli nawet użyła do tego celu swej piękności i wdzięku, to zważmy, że uroda, która tak usidliła Cezara, nie była niezrównana, przyznajmy, że bez wielkiej inteligencyi i bystrej polityki nie byłaby mogła tego dokonać. Po Cezarze, wdzięk ten zręcznie kierowany zjednał jej Antoniusa. Ale tym razem związała się z wodzem, którego losem być miało posiąść świat cały, lub ocknąć się bez schronienia nad głową. Gra była trudna i wątpliwa; aby ją wygrać, trzeba było zimnej krwi. Antonius nigdy nie miał jej wiele, Kleopatra zabrała mu resztę, uczyniła go zupełnie szalonym, stała się równie, jak on, szalona, — i oboje walczyli o życie i państwo w chwilach przytomnych owego szaleństwa, które znali dobrze Grecy i uważali za chorobę duszy i zmysłów, chorobę podobną do opętania z napadów gwałtowności i smutku naprzemian. Pierwszym błędem Antoniusa i Kleopatry było, że niedoceniali wroga, tego mizernego jąkały i tchórza, okrutnika już w wieku, kiedy się pierwszy wąs sypie, zimniejszego i obojętniejszego, niż posiwiali w poważnych pracach politycy. Trzeba było walczyć: była to walka lwa z lisem. Lew miał też dział lwi: wszystkie prowincye Wschodu aż do Illiryi; mały lis, przebiegłe dziecko, Oktawian, dostał tylko zrujnowaną Italię, Hiszpanię, Gallię, Sycylię i Afrykę wówczas zbuntowaną. Tyle grotów godzących w jednego tchórza. Ale był to tchórz cierpliwy i ambitny, miał więc za sobą najsilniejsze dźwignie świata.

Marek Antonius zaś w sile wieku, po zgonie Cezara był

pierwszym wodzem w państwie. Pierwszą jego wyprawą wojenną było poskromienie zbuntowanych żydów. Uczestniczył potem przy boku wielkiego Juliusza w walkach w Gallii, w północnej Italii, Illiryi; dowodził prawem skrzydłem wojska cezarowego pod Farsalą. Pobity pod Modeną, on to rozstrzygnął bitwę pod Farsalą. Cezar cenił go, jako swego najwybitniejszego wodza. Nie miał on rozwagi, bystrej spostrzegawczości i metodyczności Cezara, miał jednak wiele innych pięknych zalet wojownika, miał w sobie serce prawdziwego wodza, znał dobrze duszę żołnierza. Legioniści kochali go i ślepo szli za nim; był porywająco śmiały; ufając sobie, wzbudzał ufność w wojsku. Bardzo wesoły z usposobienia, wesołość tę udzielał żołnierzom, co zdwajało ich siły, kazało im zapomnieć o cierpieniach i niebezpieczeństwach. Jadł, pił, żartował z nimi; wojsko go uwielbiało. Nie należy Antoniusa sądzić według tego, co o nim mówi Cycero w swych »filipikach«. Cycero był adwokatem, a w sprawach politycznych należał do najzacieklejszych umiarkowańców. Poza tem porządny człowiek i dzielny literat. Antonius nie był ordynarnym żołdakiem, nadętym gburem, pijanym zawadyaką, jak go mówca ten przedstawia. Był to człowiek inteligentny — w dzisiejszym znaczeniu tego słowa; był inteligentny w mowie, boć nie grzeszył rozumnymi czynami, ani sam, ani z Kleopatrą razem. Nie był też bez wykształcenia, wymowy uczył się w Grecyi. Jako mowca nie miał wytwornego spokoju i powagi Cezara; mówił obrazowo i nierównomiernie; ten rodzaj wymowy nazwalibyśmy dziś wymową romantyczną. Antonius lubił

— tak podaje Plutarch — styl azyatycki, wówczas bardzo modny, a tak zgodny z jego życiem wystawnem, pełnem przepychu i zmian niesłychanie gwałtownych. Plutarch ma słuszność; we wszystkiem Antonius przepadał za stylem azyatyckim, za wschodnią barwnością. Nizkie czoło, gęsta broda, męzka i silna budowa — czyniły go podobnym do wizerunków Herkulesa, to też chętnie podawał go za swego przodka. Wolał jednak wśród wspaniałego korowodu, w rydwanie ciągnionym przez lwy uosabiać indyjskiego Bakchusa. Tak też wkroczył do Efezu; przed nim szły kobiety w strojach bachantek i młodzieńcy przedstawiający Panów i Satyrów. W całem mieście widać było tylko tyrsy uwieńczone bluszczem, słychać było dźwięki fletni, syrinxów, i okrzyki na cześć nowego, dobrego boga. Zapewne, wspaniała humanitarność Cezara obcą była towarzyszowi Oktawiana i Lepidusa. Był i on niepowściągliwie okrutny, jak większość Rzymian w owych czasach zbrodniczych, ale nigdy nie był, jak Oktawian, okrutny na zimno. Umiał być wspaniałomyślnym, szczodrym; uczucia szlachetne i subtelne nie były mu obce. Nawet wrogowie jego przyznawali, że w Grecyi wymierzał sprawiedliwość z wielką łagodnością; chciał, by go nazywali przyjacielem Greków, a więcej jeszcze przyjacielem Ateńczyków. Po zwycięstwie pod Filippami własną zbroją nakrył zwłoki Brutusa, by pogrzebem wojskowym uczcić ciało zwyciężonego wroga. Gdy w dniach grozy stary towarzysz jego, Ahenobarbus, w przeddzień bitwy opuścił go i przeszedł na stronę Oktawiana, Antonius byłemu przyjacielowi odesłał

wszystkie skarby jego, a Ahenobarbus tą szlachetnością wstrząśnięty zmarł z żalu i wstydu podobno.

Człowiek ten był niewolnikiem kobiet. Jego ostentacyjnie rozrzutna miłość dla kurtyzanki Cytheris gorszyła Rzymian; ten Herkules i Bakchus indyjski drżał przed gwałtowną, surową Fulwią; później znów nie pozostał obojętnym na niewinną piękność Oktawii. Kochał kobiety namiętnie, ale miłość nie czyniła go głupcem, co jest wcale rzadkie. »Dużo — mówi Plutarch — wdzięku i wesołości było w jego miłostkach.« I oto ten człowiek — miłośnik Azyi i Wschodu — przyzwał Kleopatrę na sąd swój do Tarsu. Ten Azyata, niezdolny do przeprowadzenia długo knowanych zamysłów, marzył dla siebie o państwie wschodniem, ze stolicą w jakiemś wielkiem mieście barbarzyńskiem. Wszystko, co wschodnie, było mu miłe: wschodnie skarby, bóstwa potworne, rozpusta, przepych, wonie, poezya. Kleopatra ukazała mu się; ujrzał ją, a raczej poznał, gdyż musiał widywać ją w Rzymie wówczas, gdy była dyskretna, skromna, surowa, jak matrona rzymska. Teraz zaś stanęła przed nim królowa Egiptu w hieratycznym przepychu żywej Izydy. I oto na śmierć i życie uwielbił tę Greczynkę w stroju bogini.

Galera Kleopatry na Kydnosie jest dla świata dotąd najwyższym obrazem rozkoszy i przepychu. Wczoraj złudzenie sceniczne dało nam ją ujrzeć, spoczywającą pod purpurowymi żaglami, w postaci cudnej artystki, w którą się wcieliła czarodziejka Nilu. Ale nie odtąd datuje się dla mnie czarowna wizya Kleopatry, — i nie od dnia, gdym

słyszał, jak José Maria de Heredia czytał swój wspaniały sonet:

W słońcu, które rozżarza przepych nieb bezbrzeżny,
trójwiosłowiec srebrzysty bieli czarne tonie;
z smugą pian płyną za nim kadzidlane wonie,
fletów dźwięk i szelest jedwabiu lubieżny.

Na lśniącym przodzie, gdzie się stroszy łeb jastrzębia,
Kleopatra, królewskie rzuciwszy namioty,
w świetnej zorzy zachodu stoi, niby złoty
wielki ptak, co za łupem w przestrzeń wzrok zagłębia.

Oto Tars, gdzie jej czeka wojownik niezbrojny:
śniada Lagida w eter wyciąga upojny
wonne ręce, po których szkarłat różem świeci.

Lecz jej oko nie widzi, że — na znak jej doli —
poza nią, w toń posępną listki róż, powoli
strząsają Śmierć i Żądza, dwoje boskich dzieci.[1]

Wzruszenie moje jest dawniejsze, sięga czasów mej pierwszej młodości, którą, sam to czuję, zbyt często wspominam. Było to w ostatnim roku mego pobytu w gimnazyum, zimą, w piątek, w czasie śniadania. Nigdy boleśniej nie odczuwałem pospolitości i brzydoty życia; po refektarzu rozchodził się brzydki zapach smażenia, chłodny powiew przenikał nogi marznące w wilgotnem obuwiu, ściany ociekały wilgocią, a przez zakratowane okna widać

było szare niebo i cienkie smugi deszczu. Uczniowie, siedząc przed czarnym marmurowym zatłuszczonym stołem, brzękali widelcami, a jeden z towarzyszów, jak to było zwyczajem, z katedry czytał na głos ustępy z historyi starożytnej Rollina. Patrzyłem, nie jedząc, na źle wytarty talerz, na szklankę, w którym był jakiś osad jakby zgniłego drzewa; wodziłem wzrokiem za służbą, obnoszącą wielkie półmiski kompotu ze śliwek suszonych, których sos ściekał im na palce. Wszystko napełniało mnie obrzydzeniem. Wśród szczęku talerzy od czasu do czasu dochodził mię głos czytającego; usłyszałem imię Kleopatry i tylko strzępy cudnych zdań: *»Miała stanąć przed Antoniusem w wieku, w którym kobieta łączy wdzięk umysłu z rozkwitem swej urody... Osoba jej ponętniejsza nad wszelki przepych szat i strojów... Wpłynęła na fale Kydnosu... Okręt jej lśnił od złota, żagle były purpurowe, wiosła srebrne...* A potem słyszałem pieściwe słowa: *...fletnie, wonie, Nereidy, Amory*... Cudna wizya stanęła mi wtedy przed oczami, krew uderzyła mi do głowy, w skroniach mi szumiało, czułem obecność chwały i piękności, byłem w ekstazie. Wyrwał mnie z niej prefekt, człek brzydki i grubiański, zadając mi pensum za to, żem nie wstał na znak dany. Było mi to obojętne, — widziałem był Kleopatrę.

Plutarch ma racyę, utrzymując, że Marek Antonius w miłostki swe kładł dużo miłej wesołości; jego to pomysłu były te wszystkie nieporównane szaleństwa, wycieczki nocne w przebraniach, wyprawy rybackie po Nilu i uczty wspaniałe. On to był Egipcyaninem, Azyatą; ona, kochanka niezrównana, chciała zawsze tylko tego, co chciał on,

przejęła gusta i zwyczaje żołnierskie, aby go nie stracić i z nim być razem zawsze. Z nim piła, polowała, ucztowała, towarzyszyła mu na manewrach. Plutarch powiada: »założyli towarzystwo pod nazwą Nieporównanych *(Amimetobioi)* i codzień, raz jedno, raz drugie wyprawiało uczty«. Osiem dzików było zawsze w kuchni na rożnie: o każdej porze jeden przynajmniej był gotów do podania na stół. Ten nieporównany tryb życia przerwała wojna Perska i małżeństwo Antoniusa z Oktawią. Po trzech latach rozłąki wznowiono go znowu z większym jeszcze żarem i namiętnością.

Potem przyszła wojna, Actium i nagła ucieczka Kleopatry wśród bitwy, ta ucieczka niewytłómaczona, w której admirał Jurien de la Gravière widzi zręczny manewr wojenny, a którą Wiktoryn Sardou czyni tak dramatyczną, pokazując, że zakochana królowa umyślnie tą ucieczką w haniebnej porażce gubi kochanka, by go wyłącznie dla siebie zachować. Admirał chce mieć z Kleopatry dobrego żeglarza, dramaturg — patetyczną kochankę; obaj ją kochają, a zwłaszcza nasz admirał. I ja kocham ją od czasów gimnazyalnych; zdaje mi się jednak, że uciekła była, zdjęta nagłym, szalonym strachem. Antonius widzi, jak ucieka Antoniada, Kleopatry galera o purpurowych żaglach, ściga ją, nikczemnie porzuca bitwę — co u takiego, jak on żołnierza, jest bohaterstwem — dopędza Antoniadę, wbiega na pomost i siada na przodzie okrętu, kryjąc twarz w dłoniach. W Aleksandryi, Antonius po stracie władzy i sławy zachowuje jeszcze niezwykłą fantazyę. Nad morzem wznosi sobie chatkę, swoje

Timonium i tam, jak Tymon Ateński, chce żyć samotnie. Udaje mizantropa, ale jest mizantropem niezwykle romantycznym i namiętnym. Wkrótce, uprzykrzywszy sobie chatkę i samotność, znów zbliża się do królowej i tworzy z nią bardziej melancholijne, lecz niemniej przepychem rozrzutne stowarzyszenie tych, »co chcą umrzeć razem« *(Synapothanumenoi)*. Z Antoniusa artysta niepospolity. Nie ulega wątpliwości, że królowa kochała Antoniusa do śmierci i po śmierci jego, ale pewnem jest również, że chciała opętać Oktawiana; że nie była kobietą pewną, nietrudno chyba tego się domyśleć. Choć miłości zimnego Oktawiana zdobyć już nie zdołała, potrafiła jednak oszukać podejrzliwego człowieka. Potrafiła weń wmówić, że pragnie żyć jeszcze, choć już postanowiła odebrać sobie życie. Umarła po królewsku. Kiedy żołdacy Oktawiana weszli do jej komnaty, znaleźli ją na złotem łożu, przybraną w szaty królowej i bogini. Iras, jej służebna, leżała martwa u jej nóg, druga Charmiona, słaniając się, drżącą ręką poprawiała dyadem na czole królowej.

— A to pięknie, Charmiono! — wściekle krzyknął żołdak.

— Bardzo piękne, istotnie — odrzekła — i godne córy tylu królów — i padła martwa u stóp łoża.

Scena ta jest tak szlachetnie tragiczna, że niepodobna myśleć o niej bez drżenia zachwytu. Należy się wdzięczność tej, co taki stworzyła obraz i przekazała go pamięci poetów i artystów. Kleopatrę kochano w Aleksandryi; po jej zgonie nie strącono jej posągów, nie była więc tak zła, jak utrzymywali jej wrogowie. A i o tem

pamiętać trzeba, że piękność jest także jedną z cnót na świecie.

1. ↑ Przełożył Jerzy Żuławski.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: Jacques Anatole Thibault i tłumacza: Ludwik Bruner.*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Pisma krytyczne - całość

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Salicyna
- Lilibalu
- Vearthy
- Wieralee
- Tommy Jantarek
- Mudbringer
- Draco flavus
- Joanna Le
- Seboloidus
- Matlin
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium